

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

DAMA KAMELIOWA

Aleksander Dumas (syn)

Moim zdaniem, tworzyć żywe postacie można jedynie wtedy, gdy posiada się wielostronną znajomość ludzi, podobnie jak mówić jakimś językiem można jedynie wtedy, gdy go się uprzednio poważnie studiowało.

Nie będąc jeszcze w tym wieku, kiedy się tworzy, zadowolam się opowiadaniem.

Zapewniam więc czytelnika, że ta historia jest prawdziwa i że z wyjątkiem bohaterki wszystkie osoby działające jeszcze żyją.

Zresztą są w Paryżu świadkowie, którzy mogliby potwierdzić większość faktów, jakie tu zebrałem, gdyby moje świadectwo nie było wystarczające. Niezwykły zbieg okoliczności sprawił, że tylko ja mogłem je opisać, gdyż tylko ja byłem wtajemniczony w szczegóły końcowe, bez których nie sposób byłoby stworzyć opowieści ciekawej i pełnej.

Oto jak dowiedziałem się o tych szczegółach. Dwunastego marca 1847 roku przeczytałem na ulicy Laffitte wielki żółty afisz, donoszący o wyprzedaży mebli i rzadkich przedmiotów zbytku. Licytacja ta była następstwem zgonu. Afisz nie wymieniał nazwiska osoby zmarłej, licytacja miała się odbyć przy ulicy d'Antin nr 9, dnia szesnastego, między godziną dwunastą a piątą.

Afisz zawiadamiał poza tym, że w dniach trzynastym i czternastym można obejrzyć apartament i meble.

Byłem zawsze amatorem rzadkości. Postanowiłem skorzystać z okazji, choćbym miał tylko obejrzyć wystawione rzeczy, nic nie kupując.

Nazajutrz udałem się na ulicę d'Antin nr 9.

Mimo wczesnej godziny w apartamencie znajdowali się już zwiedzający i zwiedzające, które, jakkolwiek przybyły własnymi eleganckimi powozami, ubrane w aksamity i kaszmiry, oczami pełnymi zdumienia i nawet podziwu oglądały zbytek wystawiony na pokaz.

Później pojąłem ów podziw i zdumienie, ledwo bowiem zacząłem się rozglądać, przekonałem się bez trudności, że jestem w mieszkaniu kobiety lekkich obyczajów. Otóż, jeżeli jest coś, co panie z towarzystwa pragną przede wszystkim zobaczyć — a były tam właśnie panie z towarzystwa — są to mieszkania owych kobiet, które jadąc powozem obryzgują błotem ich powozy, które, podobnie jak one, mają swą lożę w Operze i Komedii Włoskiej i które popisują się w Paryżu zuchwałą jaskrawością urody, klejnotów i skandalów.

Ta, w której mieszkaniu się znajdowałem, już nie żyła: najbardziej cnotliwe kobiety mogły zatem wkroczyć do jej pokoju. Śmierć oczyściła powietrze tego wspaniałego lupanaru, a zresztą owe panie mogły w razie potrzeby usprawiedliwić się tym, że przybyły na licytację, nie wiedząc, do kogo. Przeczytały afisze, chciały obejrzyć to, co one zapowiadały, i zawczasu dokonać wyboru. Nic prostszego; a to nie przeszkadzało im wcale tropić poprzez wszystkie wystawione cuda śladów życia kurtyzany, o którym opowiadano im zapewne wiele dziwnych rzeczy.

Niestety, tajemnice zmarły wraz z boginią i mimo najlepszej woli panie z towarzystwa mogły wytropić jedynie to, co przeznaczono na sprzedaż po zgonie lokatorki, a nic z tego, co było na sprzedaż za jej życia.

Zresztą, można tu było porobić sprawunki. Umebłowanie zadziwiało wspaniałością. Meble Boule'a z różanego drzewa, wazony z sewrskiej i chińskiej porcelany, figurynki saskie, satyna, welury i koronki — niczego nie brakowało.

Przechadzałem się po mieszkaniu podążając za szlachetnie urodzonymi, które zaspokajały swą

ciekawość. Chciałem już wejść za nimi do pokoju obitego perską tkaniną, gdy one wyszły stamtąd prawie natychmiast, uśmiechając się i jakby wstydząc się swej ciekawości. Z tym większym zainteresowaniem wszedłem do pokoju. Była to gotowalnia, ozdobiona najbardziej wyszukаныmi drobiazgami, gdzie rozrzutność zmarłej osiągnęła, rzekłbyś, swój szczyt.

Na wielkim stole, stojącym wzdłuż ściany, połyskiwały wszystkie skarby Aucoca i Odiota. We wspaniałej kolekcji wszystkie przedmioty, tak nieodzowne dla kobiety tego autoramentu, były wyłącznie ze złota lub srebra. A przecież kolekcja ta musiała powstawać stopniowo, zaś źródłem jej była nie jedna chyba i nie ta sama miłość.

Ja, którego nie gorszył widok gotowalni kurtyzany, bawiłem się oglądaniem drobiazgów, i to wszelakich. Niebawem spostrzegłem, że wszystkie pięknie cyzelowane przybory zdobne są w rozmaite inicjały i zgoła odmienne korony.

Patrzyłem na te przedmioty, z których każdy reprezentował w moich oczach sprzedajność biednej dziewczyny, i mówiłem sobie, że Bóg był jeszcze łaskaw dla niej, skoro nie dopuścił do tego, by dosięgła ją normalna kara, i pozwolił jej umrzeć w zbytku i przepychu, nim przyszła starość, pierwsza śmierć kurtyzan.

Albowiem cóż jest bardziej żalosne niż rozpustna stałość, zwłaszcza gdy chodzi o kobietę? Wyzuta z wszelkiej godności, nie budzi żadnego zaciekawienia. Wieczna pokuta nie z racji źle obranej drogi, lecz złej kalkulacji i marnotrawstwa pieniędzy, jest jedną z najbardziej zasmucających rzeczy, z jakimi można się spotkać. Znałem pewną byłą kurtyzanę, której pozostała tylko córka, prawie równie piękna jak jej matka w latach młodości, jeśli wierzyć jej współczesnym. Biedna dziewczyna, której matka mówiła: „Jesteś moją córką” jedynie po to, aby kazać się żywić na starość, tak jak ona żywiła ją w dzieciństwie. To biedne stworzenie, któremu na imię było Ludwika, posłuszne matce, sprzedawało się bez chęci, bez namiętności i przyjemności, uprawiając ten zawód jak każdy inny, gdyby ktoś wyuczył ją zawodu. Przedwcześnie i stale uprawiana rozpusta zgasła w tej chorowitej dziewczynie świadomość dobra i zła, którą może i otrzymała od Boga, ale której nikomu nie przyszło na myśl rozwinąć.

Nigdy nie zapomnę tej młodej dziewczyny, która zjawiała się na bulwarach prawie co dzień o tej samej godzinie. Matka towarzyszyła jej zawsze i tak nieodstępnie, jak zwykle matki towarzyszą swym córkom. Byłem wówczas młody i skory do przyjęcia łatwej moralności mojej epoki. Przypominam sobie jednak, że obraz tej skandalicznej „opieki” przejmował mnie pogardą i niesmakiem.

Dodajmy, że nigdy żadna twarz dziewicy nie tchnęła taką niewinnością, takim wyrazem melancholijnej boleści. Można by powiedzieć: postać Rezygnacji.

Pewnego dnia twarz dziewczyny rozjaśniła się. W mroku wyuzdania, którego program układała matka, wydało się grzesznej istocie, że Bóg zesłał jej szczęście. Ostatecznie, czemuż to Bóg, który nie obdarzył jej siłą, miałby ją zostawić bez pocieszenia, zdaną na dźwiganie bolesnego ciężaru życia? Pewnego więc dnia spostrze gła, że jest w ciąży, i to, co było jeszcze w niej bezgrzeszne, zadrgało z radości. Dziwne są drogi, na których dusza szuka schronienia. Ludwika czym prędzej podzieliła się z matką radosną nowiną. Wstyd powiedzieć — a przecież nie lubując się w rozważaniach o moralności, opowiadamy wydarzenie prawdziwe, które lepiej może byłoby przemilczeć, gdybyśmy nie sądzili, że należy od czasu do czasu ukazywać męczeństwo istot potępionych bez wysłuchania i skazanych na pogardę bez sądu — wstyd zatem powiedzieć, ale matka odrzekła córce, że ledwo im starcza na dwie osoby, cóż dopiero, gdy będzie ich troje, że takie dzieci są niepotrzebne i że ciąża to tylko strata czasu.

Nazajutrz położna, o której można tylko powiedzieć, że była przyjaciółką matki, odwiedziła

Ludwikę. Dziewczyna poleżała kilka dni w łóżku i wstała bardziej jeszcze blada i słaba niż dawniej. W trzy miesiące później ktoś zlitował się nad nią i postanowił ją uleczyć moralnie i fizycznie. Ostatni wstrząs był jednak zbyt dotkliwy i Ludwika umarła na skutek poronienia.

Matka żyje jeszcze, ale jak, Bóg raczy wiedzieć.

Historia ta przypomniała mi się wtedy, gdy oglądałem przedmioty ze srebra. Wszelako na tych rozmyślaniach czas jakiś musiał upłynąć, bo w mieszkaniu nie było już nikogo poza mną i dozorcą, który stojąc przy drzwiach śledził uważnie, czy czegoś nie próbuję ukraść.

Podszedłem do poczciwca, któremu przysparzałem tyle niepokoju.

— Proszę pana — rzekłem — czy nie mógłby mi pan powiedzieć, jak się nazywała osoba, która tu mieszkała?

— Panna Małgorzata Gautier.

Znałem tę dziewczynę z widzenia i z nazwiska.

— Jak to? — odpowiedziałem dozorczy. — Małgorzata Gautier umarła?

— Tak, proszę pana.

— Kiedyż to?

— Chyba ze trzy tygodnie temu.

— A czemu pozwolono oglądać mieszkanie?

— Wierzący są zdania, że to może podnieść ceny wystawionych przedmiotów. Osoby zwiedzające mogą zawczasu zobaczyć, jaka jest wartość tkanin i mebli. Rozumie pan, to zachęca do kupna.

— A więc ona miała długi?

— O, i to niemałe, proszę pana.

— Ale licytacja zapewne je pokryje?

— Tak, i to z nadwyżką.

— A komu przypadnie ta nadwyżka?

— Jej rodzinie.

— Ma więc rodzinę?

— Podobno.

— Dziękuję panu.

Dozorca skłonił się, uspokojony co do moich intencji. Wyszedłem.

„Biedna dziewczyna! — mówiłem sobie wracając do domu. — Umarła chyba w opuszczeniu, bo w jej świecie ma się przyjaciół tak długo, jak długo ma się zdrowie.” I mimo woli litowałem się nad losem Małgorzaty Gautier.

Może to się wyda śmieszne wielu ludziom, muszę jednak wyznać, że mam niewyczerpaną pobłażliwość dla kurtyzan, pobłażliwość, której nigdy nie usiłowałem poddać dyskusji.

Któregoś dnia, idąc do prefektury, aby odebrać paszport, ujrzałem na jednej z przyległych ulic dziewczynę prowadzoną przez dwóch żandarmów. Nie wiem, czym ta dziewczyna zawiniła, tyle tylko mogę powiedzieć, że płakała gorzkimi łzami, tuląc do siebie i całując kilku miesięczne dziecko, z którym wskutek aresztowania musiała się rozstać. Od owego dnia nie umiem już gardzić kobietą, którą oceniłem jednym tylko spojrzeniem.

Licytacja była wyznaczona na szesnastego marca.

Dzień przerwy między zwiedzaniem apartamentu a licytacją miał pozwolić tapicerom zdjąć obicia, firanki itp.

W owym czasie wróciłem z podróży. Rzecz oczywista, śmierć Małgorzaty nie była jedną z wielkich nowin, jakie przyjaciele komunikują natychmiast temu, kto powrócił do stolicy wiadomości. Małgorzata była ładna, o ile jednak wytworne życie tych pań robi wiele szumu, o tyle śmierć ich przechodzi bezgłośnie. Są to słońca, które zachodzą tak samo, jak wzeszły, to znaczy bez blasku. Gdy umierają młodo, kochankowie ich dowiadują się o tym jednocześnie, w Paryżu bowiem wszyscy prawie kochankowie dziewczyny obracającej się w pewnym świecie znają się dobrze. Poświęca się jej kilka wspomnień i życie jednych i drugich toczy się dalej, nie zmaćcone ani jedną łzą.

Dzisiaj, kiedy się ma dwadzieścia pięć lat, łzy stają się tak rzadkie, że nie można ich darować pierwszej lepszej. Co najwyżej oplakiwani są krewni, którzy za to płacą, i to zależnie od ceny, jaką płacą.

Co do mnie, to chociaż inicjały moje nie widniały na żadnym z przedmiotów codziennego użytku, instynktowna wyrozumiałość, naturalna litość, o której wspomniałem poprzednio, skłaniały mnie do rozpamiętywania jej śmierci dłużej, niż na to zasługiwała.

Przypomniałem sobie, że spotykałem Małgorzatę bar dzo często na Polach Elizejskich, gdzie zjawiała się co dzień punktualnie w małym niebieskim powoziku, zaprzężonym w dwa wspaniałe gniadosze. Dostrzegałem w niej zawsze dystynkcję, wyróżniającą ją spośród kobiet jej podobnych, dystynkcję, której dodawała blasku uroda naprawdę wyjątkowa.

Tym nieszczęsnym istotom, gdy wyjeżdżają na miasto, towarzyszy najczęściej byle kto.

Ponieważ żaden mężczyzna nie chce się afiszować publicznie z kochanką, a samotność je przeraża, zabierają z sobą na spacer te mniej szczęśliwe, które nie mają powozu, albo jedną z owych starych elegantek, których elegancji nic nie uzasadnia. Do nich to należy się zwracać bez lęku, gdy chce się zdobyć jakiegokolwiek wiadomości o kobiecie, której towarzyszą.

Inaczej było z Małgorzatą. Na Pola Elizejskie przybywała zawsze sama, głęboko skryta w swoim powozie, zimą otulona w wielki szal z kaszmiru, latem ubrana w dość skromne suknie. I chociaż na swym ulubionym szlaku spacerowym spotykała wielu znajomych, kiedy przypadkiem uśmiechała się do nich, uśmiech ten dostrzegali jedynie oni — tak uśmiechać się mogła tylko księżna.

Nie kazała się wozić tam i z powrotem między placem i wylotem Pól Elizejskich, jak to czyniły i czynią jej koleżanki. Para koni unosiła ją szybko w stronę Lasku Bulońskiego. Tu wysiadała z powozu, przechadzała się godzinę, wsiadała z powrotem i konie rażnym klusem wiozły ją do domu.

Wszystkie te epizody, których nieraz bywałem świadkiem, powracały w moich wspomnieniach i bolałem nad śmiercią dziewczyny, jak boleje się nad szczątkami pięknego dzieła.

Otóż rzadko widuje się piękność równie czarowną jak piękność Małgorzaty.

Wysoka i szczupła ponad miarę, posiadała w dużym stopniu sztukę skrywania tej nadmiernej „łaskawości” natury przez proste ułożenie noszonych strojów. Jej kaszmirowy szal, którego jeden koniec dotykał ziemi, pozwalał widzieć po obu stronach szerokie falbany jedwabnej sukni; pękata mufka, którą przyciskała do piersi, kryła jej ręce, a górna część sukni była tak zręcznie zmarszczona, że najbardziej wybredne oko nie mogło nic zarzucić linii ramion.

Cudowna głowa stanowiła przedmiot szczególnej kokieterii. Była mała, tak że miało się wrażenie, iż jej matka — jak by powiedział de Musset — postarała się o to, aby wykonać ją jak najbardziej

misternie.

Wyobraźcie sobie w owalu niewysłowienie subtelnym czarne oczy uwieńczone brwiami o łuku tak czystym, że zdawały się narysowane. Osłońcie te oczy woalem długich rzęs, które opadając rzucają cień na różową cerę policzków. Nakreślcie nos delikatny, prosty, pełen finezji, o nozdrzach nieco rozchylonych, zmysłowych. Narysujcie usta regularne, które we wdzięcznym wykroju warg ukazują zęby białe jak mleko. Powleczone cerę aksamitnym puszkami nie tkniętych brzoskwiń — a otrzymacie całość tej uroczej głowy.

Włosy czarne jak dżet, sfalowane, rozbiegały się znad czoła dwoma szerokimi pasmami i łączyły w tyle głowy odsłaniając koniuszki uszu, zdobnych w diamenty wartości czterech do pięciu tysięcy franków każdy.

Że bujne życie Małgorzaty nie skaziło wyrazu dziewiczej, nieomal dziecięcej twarzy — to możemy tylko stwierdzić, nie mogąc tego pojąć.

Małgorzata miała swój portret wykonany przez Vidala, jedyne malarza, którego pędzel mógł ją odtworzyć. Po jej śmierci ów portret był przez parę dni do mojej dyspozycji: podobieństwo było tak zdumiewające, że wizerunek ten pomógł mi opisać szczegóły, których pamięć nie potrafiłaby może zachować.

O niektórych sprawach, zawartych w tym rozdziale, dowiedziałem się później, jednakże notuję je już teraz, aby nie wracać do nich, gdy zacznie się właściwa opowieść o tej kobiecie.

Małgorzata bywała na wszystkich premierach i wszystkie wieczory spędzała w teatrze lub na balu. Ilekroć wystawiano nową sztukę, zjawiała się nieodmiennie w parterowej łoży i trzy rzeczy zawsze spoczywały przed nią na balustradzie: lornetka, torebka z cukierkami i bukiet kamelii.

Przez dwadzieścia pięć dni w miesiącu kamelie były białe, przez pozostałe pięć — czerwone, i nikt: ani bywalcy teatru, ani znajomi Małgorzaty, ani ja, który o tym wspominam, nikt nie umiał wytłumaczyć tej zmiany kolorów.

Nie uznawała żadnych innych kwiatów poza kameliami. Toteż u pani Barjon, jej kwiaciarki, nazwano ją w końcu Damą Kameliową, które to przezwisko przylgnęło do niej na zawsze.

Ponadto wiedziałem, jak i wszyscy ci, którzy obracają się w pewnym świecie paryskim, że Małgorzata była kochanką najelegantszych młodzieńców, że mówiła o tym głośno i że oni sami chętnie się tym, co dowodzi, że kochanka i kochankowie byli nawzajem z siebie zadowoleni.

Jednakże od trzech lat bez mała, to znaczy od czasu podróży do Bagnères, żyła już wyłącznie ze starym cudzoziemskim księciem. Ogromnie bogaty, pan ten postanowił odgrodzić ją możliwie najszczelniej od przeszłości, czemu Małgorzata poddała się jakoby dość chętnie.

Oto co mi opowiedziano na ten temat.

Wiosną 1842 roku Małgorzata była tak słaba i wycieńczona, że lekarze zalecili jej wyjazd do wód. Udała się do Bagnères.

Tutaj, wśród kuracjuszy, znajdowała się córka owego księcia, panna, która, nękana tą samą chorobą co Małgorzata, z twarzy była tak do niej podobna, że można je było wziąć za dwie siostry. Tylko że młoda księżniczka była w trzecim stadium gruźlicy i w kilka dni po przybyciu Małgorzaty — zmarła. Pewnego ranka ksiązę, przywiązany do Bagnères tak jak zwykliśmy się przywiązywać do ziemi kryjącej część naszego serca, ujrzał Małgorzatę na zakręcie alei.

Doznał wrażenia, że oto przechodzi widmo jego dziecka. Podeszedł do niej, wziął ją za rękę, ucałował ze łzami w oczach i nie pytając, kim jest, poprosił błagalnie, by pozwoliła patrzeć na siebie i kochać w niej żywy obraz zmarłej córki.

Małgorzata, przebywając w Bagnères jedynie w towarzystwie pokojówki i nie mając zresztą żadnych powodów, by obawiać się kompromitacji, przystała na prośbę księcia.

Jednakże znaleźli się w Bagnères ludzie, którzy ją znali i którzy udzielili księciu wyjaśnień co do właściwej profesji panny Gautier. Był to dla starca cios. Tu kończyło się podobieństwo do jego córki, ale było już za późno. Młoda kobieta stała się potrzebą jego serca i jedynym pretekstem, jedynym usprawiedliwieniem jego życia.

Nie uczynił jej żadnego wyrzutu, nie miał po temu prawa, ale zapytał ją, czy czuje się zdolna zmienić swe życie, gdy ofiaruje jej w zamian wszystko, czego tylko mogłaby zapragnąć. Zgodziła się.

Trzeba powiedzieć, że w owym czasie Małgorzata była chora. Przeszłość wydawała jej się jedną z głównych przyczyn choroby i łudziła się nadzieją, że Bóg pozostawi jej urodę i zdrowie w zamian za nawrócenie się i pokutę.

Istotnie, u schyłku lata kuracja, spacerowanie i sen prawie przywróciły jej zdrowie. Księżę odwiózł ją do Paryża i tutaj w dalszym ciągu odwiedzał ją tak jak w Bagnères.

Ten związek, którego ani geneza, ani istotne motywy nie były znane, wywołał w Paryżu sensację: księżę, słynący z wielkiej fortuny, teraz zadziwiał swą szczodrobliwością.

Zbliżenie między starym księciem i młodą kobietą składano na karb rozwiązłości, charakterystycznej dla bogatych starców. Przypuszczano wszystko, wyjąwszy to, co było prawdą.

Tymczasem ojcowskie uczucie dla Małgorzaty miało źródło tak czyste, że wszelkie stosunki poza tymi, które płyną z serca, byłyby w jego oczach kazirodztwem. Nigdy nie powiedział w jej obecności słowa, którego nie mogłaby usłyszeć jego córka.

Dalecy jesteśmy od myśli, aby spodziewać się po naszej bohaterce czegoś więcej, niż było w istocie. Powiemy tylko, że dopóki przebywała w Bagnères, obietnica, jaką dała księciu, nie była trudna do spełnienia i została dotrzymana. Ale po powrocie do Paryża dziewczynie, przywykłej do urozmaiconego życia, do balów, a czasem nawet orgii, zaczęło się wydawać, że umrze z nudów w samotności, przerywanej jedynie wizytami księcia. I wspomnienia dawnego życia zaczęły ożywać w jej umyśle i sercu.

Dodajmy, że Małgorzata wróciła z podróży piękniejsza niż kiedykolwiek, że miała dwadzieścia lat i że choroba, uśpiona, lecz nie pokonana, podsyciała w niej ciągle owe gorączkowe żądze, które prawie zawsze są wynikiem chorób płucnych.

Tak więc ogromną boleść odczuł księżę tego dnia, gdy jego znajomi, bez ustanku czyhający na jakiś gorszący wybryk ze strony młodej kobiety, przyszli mu powiedzieć i udowodnić, że w godzinach, kiedy była pewna, iż on jej nie odwiedzi, przyjmowała wizyty, które czasem przeciągały się do następnego dnia.

Po pierwszych pytaniach księcia Małgorzata przyznała się do wszystkiego, po czym bez żadnej ubocznej myśli poradziła mu, aby przestał się nią zajmować, gdyż nie czuje się zdolna dotrzymać podjętych zobowiązań i nie chce korzystać z dobrodziejstw człowieka, którego oszukuje.

Księżę nie pokazywał się przez cały tydzień — to było wszystko, na co mógł się zdobyć. Ósmego dnia wrócił do Małgorzaty, zaczął ją błagać o łaskę, godząc się na to, by była taka, jak jest, byle tylko mógł ją widywać, i zaklinał się na własne życie, że nigdy nie zrobi jej żadnego wyrzutu.

Oto jak przedstawiały się sprawy w trzy miesiące po powrocie Małgorzaty, a więc w listopadzie albo grudniu 1842 roku.

Szesnastego marca, o pierwszej po południu udałem się na ulicę d'Antin.

Już w bramie słycać było wołania licytatorów.

W mieszkaniu zastałem mnóstwo ciekawych.

Znajdowały się tu wszystkie znakomitości półświatka. Kilka wielkich dam lustrowało je ukradkiem, korzystając i tym razem z pretekstu, jakim była licytacja, aby móc się przyjrzeć z bliska kobietom, których nie miały by nigdy sposobności spotkać, a którym w skrytości ducha zazdrościły może łatwych rozkoszy.

Księżna F. ocierała się o pannę A., jedną z najbardziej nieszczęśliwych spośród współczesnych kurtyzan. Markiza T. wahała się, czy ma kupić mebel, który właśnie licytowała pani D., najelegantsza i naj słynniejsza żona wiarołomna naszych czasów. Książę Y., ten sam, co to w mniemaniu Madrytu rujnuje się w Paryżu, a w mniemaniu Paryża rujnuje się w Madrycie, w rzeczywistości zaś nie wydaje nawet całości swych dochodów, rozmawia z panią M., jedną z najdowcipniejszych naszych gawędziarek, która raczy od czasu do czasu zapisać to, co opowiada, i podpisać to, co pisze. Jednocześnie książę Y. zamienia poufale spojrzenia z panią N., pięknnością spacerującą zazwyczaj po Polach Elizejskich, prawie zawsze ubraną w róż i błękit, posiadaczką powozu ciągnionego przez dwa czarne konie, które Tony sprzedał jej za dziesięć tysięcy franków i... za które zapłaciła. Wreszcie panna R., która samym tylko talentem zarabia dwa razy tyle, ile wynosi posag pań z towarzystwa, i trzy razy tyle, ile inne zarabiają na swych amorach, raczyła mimo zimna przybyć dla kilku sprawunków i wcale nie była tą, na którą najmniej spoglądano.

Moglibyśmy wymieniać inicjały wielu jeszcze osób zebranych w salonie apartamentu, wielce zdziwionych tym, że znalazły się pod jednym dachem, ale nie chcemy nużyć czytelnika.

Powiedzmy tylko, że wszyscy byli w świetnym humorze i że wśród obecnych tu kobiet wiele znalazło się takich, które niegdyś znały zmarłą, a teraz zdawały się w ogóle jej nie pamiętać.

Śmiano się głośno. Licytatorzy przekrzykiwali się nawzajem, kupcy, rozparci w ławach ustawionych przed stołami, na próżno domagali się ciszy, aby móc spokojnie załatwiać swe sprawy. Nigdy żadne zebranie nie było bardziej różnobarwne ani bardziej hałaśliwe.

Przesuwałem się skromnie wśród tego rozgardiaszu, trawiony smutkiem na myśl, że biedna istota, której meble sprzedawano na opłacenie długów, zgasła w sąsiednim pokoju. Przyszedłszy raczej po to, aby obserwować, niż aby kupować, patrzyłem na wierzycieli, których twarze rozjaśniały się, ilekroć jakiś przedmiot osiągał cenę, jakiej się nie spodziewali.

Uczciwi ludzie, którzy do niedawna spekulowali na prostytucji kobiety, zarabiając na niej sto procent, a w ostatnich jej chwilach nękali ją pozwami sądowymi — teraz, po jej śmierci, przybyli po to, aby zebrać owoce swych szacownych kalkulacji i odsetki haniebnego kredytu.

Jakże wiele racji mieli starożytni, czyniąc jednego boga patronem kupców i złodziei!

Suknie, kaszmiry, klejnoty rozchwytywano z niewiarygodną szybkością. Czekałem, jako że nic mi nie odpowiadało.

Nagle usłyszałem:

— Książka, świetnie oprawiona, o złoconych brzegach, zatytułowana *Manon Lescaut*. Na pierwszej stronie jest jakiś napis. Dziesięć franków.

— Dwanaście — odezwał się jakiś głos po dłuższej chwili milczenia.

— Piętnaście — powiedziałem, nie wiedząc dlaczego. Chyba ze względu na ów „jakiś napis”.

— Piętnaście — powtórzył licytator.

— Trzydzieści — rzucił pierwszy nabywca tonem, który zdawał się prowokować do podwyższenia stawki.

Zanosilo się na walkę.

— Trzydzieści pięć! — wykrzyknąłem tym samym tonem.

— Czterdzieści.

— Pięćdziesiąt.

— Sześćdziesiąt.

— Sto.

Wyznam, że gdyby mi chodziło o efekt, zwycięstwo moje byłoby całkowite, po ostatnim bowiem zawołaniu zapadło imponujące milczenie: patrzano na mnie, chcąc jakby dociec, kim jest jegomość tak bardzo zdecydowany posiadać licytowany tom.

Akcent brzącający w moim głosie przekonał, zdaje się, mego antagonistę. Wolał wycofać się z walki, której jedynym skutkiem byłoby wymuszenie na mnie dziesięciokrotnej ceny książki. Skłoniwszy się, rzekł uprzejmie, choć nieco zbyt późno:

— Ustępuję panu.

Ponieważ nie odezwał się nikt więcej, książka została mi przyznana.

Obawiając się nowego aktu zawziętości, która może polechtałaby moją miłość własną, ale na pewno uderzyłaby mnie po kieszeni, poleciłem zanotować moje nazwisko i odłożyć książkę, po czym wyszedłem na ulicę. Musiałem dać wiele do myślenia świadkom tej sceny, którzy prawdopodobnie zastanawiali się, dlaczego zapłaciłem sto franków za to, co można kupić wszędzie za dziesięć albo najwyżej piętnaście franków.

W godzinę później posłałem po książkę.

Na pierwszej stronie widniała dedykacja napisana wytwornym charakterem pisma. Ten, który książkę ofiarował, napisał kilka słów:

Manon Małgorzacie — Pokora.

Podpisany był: *Armand Duval.*

Co znaczyło słowo „Pokora”?

Czy za pośrednictwem owego Armanda Duval Manon przyznawała Małgorzacie wyższość w przedmiocie rozpusty czy też serca?

Druga wersja wydawała się bardziej prawdopodobna, gdyż pierwsza byłaby tylko wyrazem impertynenckiej szczerości, którego Małgorzata na pewno by nie przyjęła, cokolwiek myślałaby o sobie samej.

Znowu wyszedłem na miasto, do książki zaś wróciłem dopiero wieczorem, kładąc się do łóżka.

Zapewne *Manon Lescaut* jest wzruszającą historią, której żaden szczegół nie jest mi nie znany, a przecież ilekroć książka ta nawija mi się pod rękę, sympatia moja popycha mnie ku niej, otwieram ją i po raz setny przeżywam dzieje bohaterki księdza Prevost. Otóż bohaterka ta jest tak prawdziwa, że wydaje mi się, jakbym ją znał osobiście. W nowych okolicznościach owo porównanie Manon z Małgorzatą nadawało lekturze nieoczekiwany urok, moja pobłażliwość zabarwiała się litością, prawie miłością dla biednej dziewczyny, po której odziedziczyłem ten tom. Manon umarła wprawdzie na pustyni, niemniej jednak w ramionach mężczyzny, który ją kochał całą mocą duszy, który po jej śmierci wykopał jej mogiłę, zrosił ją swymi łzami i wraz z kochanką pochował swe serce. Gdy tymczasem Małgorzata, grzesznica podobnie jak Manon i jak tamta, być może, nawrócona, umarła wśród zbytku, jeśli wierzyć temu, co widziałem, niemniej jednak w pustyni uczuć, bardziej jałowej, bardziej niezmierzonej, bardziej bezlitosnej niż pustynia, w której pochowana została Manon.

Albowiem, jak dowiedziałem się później od przyjaciół, którym znane były okoliczności schyłku jej życia, Małgorzata nie dostąpiła żadnej pociechy w ciągu dwumiesięcznej powolnej i bolesnej agonii. Od Manon i Małgorzaty myśl moja przeniosła się na te, które znałem, które na moich oczach, śpiewając, zdążyły zwykle ku takiej samej śmierci.

Biedne stworzenia! Jeśli kochać je jest rzeczą zdrożną, to przynajmniej należy się nad nimi litować. Litu jecie się nad ślepcem, który nigdy nie widział światła dziennego, nad głuchym, który nigdy nie słyszał głosów przyrody, nad niemym, którego dusza nigdy nie mogła się wypowiedzieć, a nie chcecie, pod fałszywym pretekstem wstydu, litować się nad ślepotą serca, nad głuchotą duszy, nad niemotą świadomości, które przyprawiają o szaleństwo nieszczęśliwą kobietę i odbierają jej zdolność widzenia dobra, słyszenia Pana i mówienia czystym językiem miłości i wiary.

Hugo napisał *Marian Delorme*, Musset — *Bernerette*, Aleksander Dumas — *Fernandę*, myśliciele i poeci wszystkich czasów składali kurtyzanie w ofierze swe miłosierdzie, niekiedy zaś wielki człowiek rehabilitował je mocą swej miłości czy nawet prestiżem swego nazwiska. Jeśli wspominam o tym, to dlatego, że wśród moich czytelników wielu może jest takich, którzy gotowi są odrzucić tę książkę z obawy, by nie zetknąć się w niej z pochwałą rozpusty i prostytucji, obawy w dodatku uzasadnionej może wiekiem autora. Ci, którzy tak myślą, są w błędzie i jeśli powstrzymuje ich jedynie ta obawa, to niechaj czytają dalej.

Wyznaję po prostu zasadę, że przed kobietą, której wychowanie nie zaszczerpiło poczucia dobra, Bóg, aby ją ku dobru skierować, odsłania dwie ścieżki: cierpienia i miłości. Są to ścieżki trudne: te, które na nią wstępują, ranią sobie stopy, rozdierają ręce, ale równocześnie zostawiają na przydrożnych jeżynach szczytów rozpusty i dochodzą do celu w owym stanie nagości, której nie należy się wstydić w obliczu Pana.

Ci, którzy spotykają owe śmiałe podróżniczki, winni podtrzymywać je i powiedzieć wszystkim, że je spotkali, albowiem głosząc to wskazują drogę.

Nie chodzi o to, aby u wrót życia postawić dwa słupy, z których jeden byłby opatrzony napisem: „Droga dobrego”, a drugi ostrzeżeniem: „Droga złego”, i aby wszystkim zbliżającym się do nich mówić: „Wybierajcie.” Trzeba, jak to uczynił Chrystus, wskazywać przejścia, które tych, co dali się skusić na wstępie, prowadziłyby z drogi zła na drogę dobra. Nade wszystko zaś początki tych dróg nie powinny być zbyt bolesne ani wydawać się zbyt niedostępne.

Chrześcijaństwo swą cudowną przypowieścią o synu marnotrawnym uczy nas wyrozumiałości i przebaczenia. Jezus był pełen miłości dla ludzi targanych namiętnościami i rany ich potrafił leczyć balsamem wydobytym z tych ran. I tak mówił Magdalenie: „Będzie ci wiele odpuszczone, bo wiele kochałaś.” Było to wielkoduszne wybaczenie, budzące cudowną wiarę.

Dlaczego mielibyśmy być bardziej surowi niż Chrystus? Dlaczego, trzymając się uparcie opinii tego świata, który swą siłę chce upozorować bezwzględnością, mielibyśmy odtrącać dusze krwawiące, wyczekujące jedynie przyjaznej ręki, która by opatrzyła ich rany i uzdrowiła ich serca?

Zwracam się do mojego pokolenia, do tych, którzy odrzucili teorie Voltaire'a, do tych, którzy jak ja rozumieją, że ludzkość jest od piętnastu lat ożywiona jednym z najśmielszych porywów. Odzyskaliśmy na zawsze świadomość dobra i zła. Wiara się odradza, odżył w nas szacunek dla świętości, i jeśli świat nie jest jeszcze dobry, to w każdym razie staje się coraz lepszy. Wszystkich ludzi światłych łączy wysiłek zmierzający do tego samego celu i wola służenia tej samej zasadzie: bądźmy dobrzy, bądźmy młodzi, bądźmy prawdomówni! Zło jest tylko próżnością, bądźmy dumni z dobroci, a przede wszystkim nie traćmy nadziei. Nie gardźmy kobietą, która nie jest ani matką, ani siostrą, ani córką, ani żoną. Nie ograniczajmy szacunku do kręgu rodziny, nie sprowadzajmy wyrozumiałości do egoizmu. Ponieważ niebo raduje się bardziej skrucą jednego grzeszni ka niż

cnotą stu sprawiedliwych, którzy nigdy nie grzeszyli, spróbujmy uradować niebo. Może nam odpłacić z nawiązką. Uczmy się rozdawać jałmużnę przebaczenia tym, których zgubiły pożądania ziemskie, a których ocali być może nadzieja boska. Jak mówią poczciwe staruszki, gdy podsuwają nam lekarstwa domowej roboty: jeżeli to nawet nie pomoże, to na pewno nie zaszkodzi.

Oczywiście, chęć wysnucia wielkich wniosków z małej sprawy może wydać się zuchwalstwem z mojej strony. Jednakże należę do tych, którzy sądzą, że wielkie mieści się w małym. Dziecko jest małe, a przecież nosi w sobie człowieka. Mózg jest niewielki, a zawiera w sobie myśl. Oko jest tylko punktem, a ogarnia mile.

IV

Licytacja, która po dwóch dniach była całkowicie zakończona, dała sto pięćdziesiąt tysięcy franków. Wierzycciele podzielili między siebie dwie trzecie, a rodzina, złożona z siostry i małego siostrzeńca, odziedziczyła resztę. Siostra zrobiła wielkie oczy, gdy notariusz zawiadomił ją, że dziedziczy pięćdziesiąt tysięcy franków.

Sześć czy siedem lat minęło od chwili, kiedy ta młoda dziewczyna ostatni raz widziała siostrę, która zniknęła pewnego dnia i przez cały ten czas nie dawała o sobie znaku życia.

Ruszyła więc spieszenie do Paryża i wielkie było zdziwienie tych, co znali Małgorzatę, gdy zobaczyli jej spadkobierczynię, rosłą i piękną dziewczynę wiejską, która nigdy nie opuściła swojej wsi. Fortuna spadła na nią tak nagle, że nie zastanawiała się nawet, z jakiego pochodzi źródła. Jak mi powiedziano później, wróciła do swojej wsi, wynagrodziwszy sobie wielki smutek po śmierci siostry lokatą kapitału na cztery i pół procent.

Okoliczności te, które przez pewien czas zaprzętały uwagę Paryża — siedliska skandalu — tonęły już w zapomnieniu i sam już prawie nie pamiętałem, jaki był mój współudział w wypadkach, gdy zdarzył się incydent, który pozwolił mi poznać całe życie Małgorzaty i odsłonił szczegóły tak wzruszające, że przysłała mi chęć napisania niniejszej historii.

Od trzech czy czterech dni apartament, ogołocony z mebli, był już do wynajęcia, gdy u moich drzwi rozległ się dzwonek.

Służący albo raczej odźwierny, który mi usługiwał, otworzył i przyniósł mi kartę wizytową, mówiąc, że ten, który mu ją wręczył, pragnie ze mną rozmawiać. Rzuciłem okiem na kartę i przeczytałem dwa słowa: „Armand Duval”. Nazwisko wydało mi się znajome i przypomniałem sobie pierwszą stronę egzemplarza *Manon Lescaut*.

Czego mógł chcieć ode mnie osobnik, który podarował tę książkę Małgorzacie? Kazałem natychmiast wprowadzić przybysza.

Stał przede mną młodzieniec jasnowłosy, wysoki, blady, w stroju podróznym, który nosił chyba od szeregu dni i którego nawet nie oczyścił po przybyciu do Paryża, był bowiem cały okryty kurzem.

Pan Duval nie usiłował zataić swego wzruszenia. Ze łzami w oczach i drżeniem w głosie zwrócił się do mnie:

— Panie, zechce mi pan wybaczyć moją wizytę i strój. Ale pomijając już to, że między młodymi ludźmi zbędne są wszelkie ceremonie, chciałem tak bardzo zobaczyć pana jeszcze dzisiaj, że nie zajechałem nawet do hotelu, dokąd wysłałem swe bagaże. Przybiegłem do pana w obawie, że mimo wczesnej godziny nie zastanę pana w domu.

Poprosiłem, aby usiadł przy kominku, co też uczynił natychmiast. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i przez chwilę ukrył w niej twarz.

— Nie pojmuje pan na pewno — podjął Duval ze smutnym westchnieniem — czego chce od pana nieznanomy gość o tej godzinie, w takim stroju i tak poruszony jak ja. Otóż przychodzę po prostu, aby prosić pana o wyświadczenie mi wielkiej przysługi.

— Słucham pana, jestem do pańskiej dyspozycji.

— Był pan obecny przy licytacji majątku Małgorzaty Gautier?

Wzruszenie, nad którym młody człowiek zapanował przez chwilę, okazało się silniejsze od niego i musiał podnieść ręce do oczu.

— Wydaję się panu chyba śmieszny, proszę mi także to wybaczyć i uwierzyć, że nigdy nie zapomnę cierpliwości, z jaką pan raczy mnie słuchać.

— Jeżeli przysługa, jaką rzekomo mogę panu wyświadczyć, może choć trochę zmniejszyć pańskie zmartwienie, proszę szybko powiedzieć, czym mogę panu służyć, a przekona się pan, że uczynię to z prawdziwą przyjemnością.

Boleść Duvala budziła sympatię i mimo woli chciałem mu w jakiś sposób pomóc.

— Czy kupił pan coś na licytacji majątku Małgorzaty?

— Tak, książkę.

— *Manon Lescaut*?

— Tak jest.

— Ma pan jeszcze tę książkę?

— Jest w mojej sypialni.

Usłyszawszy tę wiadomość, Armand Duval odczuł jakby wielką ulgę i jął mi dziękować tak, jak gdybym oddał mu przysługę już samym faktem posiadania książki.

Wstałem, poszedłem do mego pokoju po egzemplarz i wręczyłem mu go.

— To właśnie to — rzekł patrząc na dedykację i wertując książkę — właśnie to.

I dwie duże łzy spłynęły na kartki.

— A więc — powiedział podnosząc głowę i nie próbując nawet ukryć przede mną, że płacze — czy bardzo panu zależy na tej książce?

— Dlaczego pan o to pyta?

— Bo chcę prosić pana o odstąpienie mi jej.

— Wybacz mi pan ciekawość — odrzekłem. — To pan dał ją Małgorzacie Gautier?

— Tak, ja.

— Książka należy do pana, proszę ją wziąć. Jestem szczęśliwy, że mogę ją panu oddać.

— Ależ — Duval był zakłopotany — wolno mi chyba zwrócić panu należność, którą pan za nią zapłacił?

— Pozwoli pan, że mu ją ofiaruję. Cena jednej książki na takiej licytacji to bagatelka. Nie pamiętam już, ile za nią zapłaciłem.

— Zapłacił pan sto franków.

— To prawda — z kolei ja byłem zakłopotany. — Skąd pan wie o tym?

— To zupełnie proste. Wybierałem się do Paryża z tym, aby zdążyć jeszcze na licytację majątku Małgorzaty, a przybyłem dopiero dziś rano. Chciałem koniecznie zdobyć jakiś przedmiot, który był jej własnością, pobiegłem więc do komisarza licytacji i poprosiłem go o pokazanie mi listy sprzedanych przedmiotów i nazwisk nabywców. Stwierdziłem, że tę książkę kupił pan i postanowiłem prosić pana o odstąpienie mi jej, jakkolwiek cena, którą pan zapłacił, wzbudziła we mnie obawę, czy i pan nie wiąże z posiadaniem tego tomu jakichś osobistych wspomnień.

Uspokoiłem go natychmiast.

— Znałem pannę Gautier jedynie z widzenia. Jej śmierć zrobiła na mnie wrażenie, jakie sprawia na młodym człowieku śmierć pięknej kobiety, którą miał przyjemność spotykać. Chciałem kupić coś na licytacji i uparłem się, aby zdobyć ten tom, nie wiem zresztą dlaczego. Chyba dlatego, aby rozwścieczyć pewnego pana, który również uparł się, aby posiadać tę książkę, i zdawał się mnie prowokować. Powtarzam więc, książka jest do pańskiej dyspozycji i jeszcze raz proszę ją przyjąć z moich rąk, nie tak jak ja, który otrzymałem ją z rąk licytatora. Oby stała się zadatkiem dłuższej znajomości i bardziej zażyłych stosunków między nami.

— Zgoda — rzekł Armand ściskając mi dłoń. — Przyjmuję i będę panu wdzięczny do końca życia.

Chciałem wybadać Armanda co do jego stosunku do Małgorzaty, gdyż dedykacja na karcie tytułowej, podróż młodzieńca, jego pragnienie zdobycia egzemplarza podniecały moją ciekawość. Jednakże

bałem się, że wypytując mojego gościa uczynię wrazenie, jakbym odrzucił jego pieniądze jedynie po to, aby zyskać prawo mieszkania się w jego sprawy.

Ale on jakby odgadł moje życzenia, gdyż powiedział:

— Czy pan czytał tę książkę?

— Od deski do deski.

— Co pan sobie pomyślał o dwóch wierszach napisanych przeze mnie?

— Pojąłem od razu, że w oczach pana biedna dziewczyna, której pan dał tę książkę, wyrasta ponad pospolitą miarę, bo przecież nie chciałem się dopatrywać w tych wierszach jedynie banalnego komplementu.

— I miał pan rację. Ta dziewczyna była aniołem. Proszę, niech pan przeczyta ten list.

I podał mi kartkę, która była chyba czytana wiele razy.

Oto co list ten zawierał:

Mój drogi Armandzie, otrzymałam list pana. Jest pan wciąż dla mnie dobry i dziękuję za to Bogu. Tak, przyjacielu, jestem chora, a choroba moja jest jedną z tych, które nie znają litości. Jednakże troska, jaką mi pan jeszcze okazuje, znacznie zmniejsza moje cierpienia. Nie będę chyba żyła tak długo, aby mieć jeszcze szczęście uściśnięcia ręki, która napisała serdeczny list, otrzymany przed chwilą. Słowa jego uleczyłyby mnie, gdyby coś jeszcze mogło mnie uleczyć. Nie ujrzę już pana, bo jestem bardzo bliska śmierci i dzielą nas setki mil. Biedny mój przyjacielu, dawna pańska Małgorzata bardzo się zmieniła i może lepiej będzie, jeżeli pan już nigdy jej nie zobaczy, niż miałby pan zobaczyć ją taką, jaka jest teraz. Pyta mnie pan, czy wybaczam panu. Och, z całego serca, mój przyjacielu, bo krzywda, którą pan chciał mi wyrządzić, była jedynie dowodem miłości, jaką pan żywił dla mnie. Leżę w łóżku od miesiąca i tak bardzo zależy mi na szacunku pana, że dzień po dniu prowadzę dziennik mego życia, od chwili kiedyśmy się rozstali, do chwili kiedy nie będę już miała siły pisać.

Jeżeli pan się naprawdę mną interesuje, Armandzie, to proszę, niech pan po swoim powrocie pójdzie do Julii Duprat. Ona wręczy panu ten dziennik. Znajdzie pan tu przyczynę i wytłumaczenie tego, co zaszło między nami. Julia jest dobra dla mnie, często rozmawiamy o panu. Była przy mnie, kiedy nadszedł list pana. Czytając go, płakałyśmy obydwie.

Na wypadek gdyby pan nie dał znać o sobie, poleciłam Julii przekazać panu te papiery zaraz po przybyciu pana do Francji. Niech mi pan za to nie dziękuje. Codzienne nawroty do jedynych szczęśliwych momentów mego życia pokrzepiają mnie niezmiernie. Może pan znajdzie w tej lekturze usprawiedliwienie przeszłości, ja znajduję w tym trwałą ulgę.

Chciałabym zostawić panu coś, co by panu zawsze mnie przypominało, ale wszystkie rzeczy są zajęte przez komornika i nic do mnie nie należy.

Rozumie pan, drogi przyjacielu? Umieram i w mojej sypialni słyszę, jak po salonie chodzi strażnik, który z rozkazu wierzycieli strzeże, aby nikt nic nie zabrał z mieszkania i aby mnie nic nie pozostało w wypadku, gdybym nie umarła. Można się spodziewać, że doczekają się jednak końca, aby urządzić licytację.

Och, ludzie są bezlitośni! Albo raczej myślę się — to Bóg jest sprawiedliwy i nieugięty.

A więc, kochany, przyjdzie pan na licytację i kupi pan jakiś przedmiot, bo gdybym odłożyła dla pana najdrobniejszą rzecz i gdyby wierzyciele dowiedzieli się o tym, byłiby zdolni oskarżyć pana o przywłaszczenie rzeczy zajętych.

Smutne jest życie, które opuszczam!

Jakiż Bóg byłby dobry, gdyby pozwolił zobaczyć pana przed śmiercią! Według wszelkiego prawdopodobieństwa mogę panu powiedzieć: żegnaj, przyjacielu. Proszę mi wybaczyć, jeżeli nie

piszę więcej, ale ci, którzy powiadają, że mnie wyleczą, zamęczają mnie puszczaniem krwi i ręka moja odmawia dalszego pisania.

Małgorzata Gautier.

Istotnie, ostatnie słowa były już prawie nieczytelne. Zwróciłem list Armandowi, który zapewne odczytał go sobie w duchu, gdyż odbierając go powiedział:

— Kto by pomyślał, że to napisała dziewczyna lekkich obyczajów.

Poruszony wspomnieniami, przez kilka chwil wpatrywał się w wiersze listu, w końcu podniósł go do ust.

— Kiedy pomyślę, że umarła, zanim zdołałem ją zobaczyć, i że nigdy już jej nie ujrzę, kiedy pomyślę, że zrobiła dla mnie to, czego nie byłaby zrobiła siostra — nie mogę sobie wybaczyć, że pozwoliłem, jej tak umrzeć... Umarła! Umarła pisząc i wymawiając moje imię, biedna, droga Małgorzata!

I podając mi rękę Armand dał upust swoim myślom i łzom:

— Można by mnie uważać za dzieciaka, widząc, że lamentuję nad śmiercią takiej dziewczyny. Bo też nikt nie wie, ile cierpień zadałem, jak bardzo byłem okrutny dla tej kobiety, tak dobrej i tak zrezygnowanej. Sądziłem, że to ja winienem jej wybaczyć, a dzisiaj widzę, że nie jestem godzien jej przebaczenia. Och, dałbym dziesięć lat mego życia, aby tylko móc zapłakać u jej stóp.

Trudno jest pocieszyć kogoś, kogo się nie zna, a przecież żywa sympatia, której nabrałem dla tego młodzieńca, i szczerłość, z jaką zwierzał mi się ze swoich utrapień, były tak przejmujące, iż pomyślałem, że moje słowa nie będą mu obojętne.

— Czy nie ma pan krewnych, przyjaciół? Niech pan nie traci nadziei, niech pan im się zwierzy, a pocieszą pana, bo ja mogę się tylko nad panem litować.

— To prawda — wstał i jał wielkimi krokami przechadzać się po pokoju. — Nudzę pana. Proszę mi wybaczyć, nie przyszło mi na myśl, że moje cierpienia niewiele dla pana znaczą i że zaprzątam pana sprawą, która nie może i nie powinna pana interesować.

— Źle pan zrozumiał sens moich słów, jestem całkowicie do pańskich usług. Stwierdzam tylko z żalem, że nie jestem zdolny ulżyć w pana cierpieniu. Jeżeli towarzystwo moje i moich przyjaciół może pana rozerwać, jeżeli odczuje pan potrzebę zwrócenia się do mnie z czymkolwiek, chcę pana zapewnić, że pomogę panu z największą przyjemnością.

— Przepraszam pana, przepraszam, ból wyolbrzymia wszelkie uczucia. Niech mi pan pozwoli zostać jeszcze chwilę, tyle tylko, żeby otrzeć łzy, nie chcę się wystawiać na pośmiewisko ulicznych gapiów. Dając mi tę książkę uszczęśliwia mnie pan i doprawdy nie wiem, czy potrafię się panu kiedykolwiek odwdzięczyć.

— Owszem, darząc mnie odrobiną przyjaźni i powierzając mi przyczynę swego zmartwienia. Najlepsza pociecha — to wyznać swoje cierpienie.

— Ma pan rację, ale dzisiaj jestem zbyt skłonny do płaczu, i to, co bym powiedział, byłoby zbyt chaotyczne. Pewnego dnia opowiem panu całą historię, a przekona się pan, że mam powody, aby żałować biednej dziewczyny. A teraz — dodał wycierając sobie po raz ostatni oczy i przeglądając się w lustrze — proszę mi powiedzieć, że nie uważa mnie pan za głupca, i niech mi wolno będzie odwiedzać pana.

Spojrzenie młodzieńca było pocziwe i łagodne. Omal go nie ucałowałem.

Oczy jego znów napęłniły się łzami. Widział, że nie uszło to mojej uwagi i odwrócił wzrok.

— No, więc — rzekłem — więcej otuchy.

— Zegnam pana.

I czyniąc ogromny wysiłek, aby nie zapłakać, wyszedł albo raczej uciekł z mojego pokoju.

Uchyliłem firanki w oknie i wdziałem, jak wszedł do powozu czekającego przed bramą. Ledwo

jednak zajął w nim miejsce, łzy popłynęły mu z oczu i ukrył twarz w chusteczce.
Minał dość długi czas, nim znowu usłyszałem o Armandzie, za to często była mowa o Małgorzacie.

Nie wiem, czyście zauważyli, że wystarczy, aby w waszej obecności ktoś wymówił nazwisko osoby, która właściwie powinna być wam obojętna albo zgoła nieznana, a z wolna zaczynają się gromadzić rozmaite szczegóły. Znajomi wasi zaczynają mówić o sprawie, o której dotąd nigdy nie wspominali. Okazuje się, że osoba ta prawie ocierała się o was, że wielokrotnie mijala was w życiu niepostrzeżona. W wypadkach, o których wam się opowiada, odkrywacie jakąś zbieżność, jakieś istotne powinowactwo z wypadkami własnego życia! Nie dotyczy to, ściśle mówiąc, Małgorzaty, ponieważ widywałem ją, spotykałem, znałem ją z wyglądu, postawy. Jednakże od dnia licytacji nazwisko jej tak często obijało mi się o uszy, a po wydarzeniu, o którym mowa była w poprzednim rozdziale, tak ściśle wiązało się z głęboką udręką, że moje zdziwienie i ciekawość rosły coraz bardziej.

W rezultacie, spotykając znajomych, z którymi nigdy nie rozmawiałem o Małgorzacie, zaczynałem nieodmiennie od pytania:

— Czy znał pan niejaką Małgorzatę Gautier?

— Damę Kameliową?

— Tak jest.

— O, bardzo dobrze!

Owemu „bardzo dobrze” towarzyszył niekiedy uśmiech, który nie pozostawiał żadnej wątpliwości co do sensu tych słów.

— No, więc — ciągnąłem dalej — co to była za dziewczyna?

— Poczciwe stworzenie.

— To wszystko?

— Mój Boże, tak... Miała może trochę więcej rozumu i serca niż inne.

— Nie wie pan o niej nic bliższego?

— Zrujnowała barona G.

— Tylko tyle?

— Była kochanką starego księcia...

— Czy istotnie była jego kochanką?

— Tak mówią. W każdym razie, dawał jej wiele pieniędzy.

Odpowiedzi były zawsze ogólnikowe.

Byłem jednak ciekaw okoliczności dotyczących stosunku łączącego Małgorzatę i Armanda.

Któregoś dnia spotkałem jednego z tych, którzy stale się kręcą wokół bardziej znanych kobiet. Zapytałem go:

— Czy znał pan Małgorzatę Gautier?

W odpowiedzi usłyszałem znowu „bardzo dobrze”.

— Ładna i dobra. Jej śmierć bardzo mnie zmartwiła.

— Czy nie miała kochanka nazwiskiem Armand Duval?

— Wysoki blondyn?

— Tak.

— Zgadza się.

— Któż to jest ów Armand?

— Chłopiec, który roztrwonił dla niej swój niewielki majątek, a potem musiał ją opuścić. Podobno szalał za nią.

— A ona?

— Ona go również bardzo kochała, tak przynajmniej mówią, ale tak jak te dziewczyny zwykły kochać. Nie trzeba wymagać od nich więcej, niż mogą dać.

— Co się stało z owym Armandem?

— Nie wiem. Znaliśmy go bardzo mało. Spędził z Małgorzatą pięć czy sześć miesięcy, ale na wsi. Kiedy ona wróciła, on wyjechał.

— I nie widział go pan już nigdy więcej ?

— Nie.

Ja również nie widziałem Armanda od jego pierwszej wizyty. Zacząłem się już zastanawiać nad tym, czy wtedy, gdy zjawił się u mnie, świeża wiadomość o śmierci

Małgorzaty nie rozbudziła jego dawnej miłości, a więc i rozpaczy, i czy nie zapomniał już o zmarłej wraz z obietnicą, że będzie mnie odwiedzał.

To przypuszczenie byłoby dość prawdopodobne w stosunku do kogo innego, ale w rozpaczy Armanda były akcenty szczerości i, popadając w drugą krańcowość, wmawiałem sobie, że jego zmartwienie przekształciło się w chorobę i że jeśli nie mam o nim żadnych wieści to dlatego, że jest chory, a może nawet nie żyje.

Interesowałem się tym młodzieńcem mimo woli. W owym zainteresowaniu było może trochę egoizmu. Może wyczuwałem w jego cierpieniu wzruszającą historię miłosną. Może wreszcie chęć poznania jej wpływała w znacznej mierze na moją troskę o los Armanda.

Ponieważ Duval nie przychodził do mnie, postanowiłem udać się do niego. O pretekst było nietrudno. Niestety, nie znałem jego adresu, a ci, których o to pytałem, nie mogli mnie poinformować.

Poszedłem na ulicę d'Antin. Odźwierny domu Małgorzaty mógł przecież wiedzieć, gdzie mieszka Armand. Zastałem nowego odźwiernego, który wiedział równie mało jak ja. Zapytałem wówczas, na jakim cmentarzu pochowana została panna Gautier. Okazało się, że na cmentarzu Montmartre.

Nastał kwiecień, pogoda była piękna, groby nie wyglądały już tak żałobnie i ponuro, jak to bywa zimą. Było tak ciepło, że żywi mogli sobie przypomnieć o zmarłych i odwiedzać ich. Idąc na cmentarz, mówiłem sobie: sam widok grobu Małgorzaty powie mi, czy Armand cierpi jeszcze, i może dowiem się, co się z nim stało.

Wszedłem do pomieszczenia dozorczy i zapytałem go, czy dnia 22 lutego nie została pochowana na cmentarzu Montmartre kobieta o nazwisku Małgorzata Gautier.

Dozorca przerzucił grubą księgę, gdzie są zapisani i ponumerowani ci, którzy znaleźli tu ostatnie schronienie, i odpowiedział, że istotnie dnia 22 lutego w południe pochowana została na cmentarzu kobieta o tym nazwisku.

Poprosiłem go, aby mnie zaprowadził na grób, bo bez przewodnika nie sposób rozeznaczyć się w tym mieście umarłych, mającym swe ulice jak miasto żywych. Dozorca przywołał ogrodnika, aby mu udzielić wskazówek, ale ten przerwał mówiąc:

— Wiem, wiem... — I zwrócił się do mnie: — O, ten grób łatwo jest odnaleźć.

— Dlaczego?

— Dlatego że kwiaty na nim są inne niż na innych grobach.

— To pan się nim opiekuje?

— Tak, panie, i chciałbym, aby wszyscy krewni tak troszczyli się o swoich zmarłych, jak ów młody człowiek, który powierzył ten grób mojej opiece.

Na którymś zakręcie ogrodnik zatrzymał się i rzekł:

— Jesteśmy na miejscu.

Ujrzałem ukwiecony prostokąt ziemi, w którym nie można byłoby rozpoznać grobu, gdyby nie wskazywała na to biała marmurowa płyta, opatrzona nazwiskiem.

Płyta ustawiona była prosto, gruba, żelazna krata okalała działkę cmentarza, pokrytą białymi kameliami.

— No i co pan powie?

— Bardzo tu ładnie.

— Jak tylko któraś kamelia więdnie, mam nakaz zastąpić ją świeżą.

— A kto dał panu takie polecenie?

— Pewien młody człowiek, który strasznie płakał, kiedy tu był za pierwszym razem. Widzi mi się, że to stary kumpel zmarłej, bo podobno kobita z niej była nie lada. Mówią, że była bardzo ładna. Czy pan ją znał?

— Tak.

— Tak jak tamten — powiedział ogrodnik z domyślnym uśmiechem.

— Nie, nigdy z nią nie rozmawiałem.

— I przychodzi pan tutaj? To bardzo ładnie z pańskiej strony, bo trzeba powiedzieć, że nikt się jakoś nie pcha, aby odwiedzić biedną dziewczynę.

— Nikt więc nie przychodzi?

— Nikt poza owym młodym panem, który był tu jeden raz.

— Jeden raz?

— Tak, panie.

— I od tego czasu się nie zjawił?

— Nie, ale może się pokaże, jak wróci.

— Jest więc w podróży?

— Tak.

— A czy nie wie pan, gdzie on jest?

— Sądzę, że jest u siostry panny Gautier.

— A po co tam pojechał?

— Zamierzał ją prosić o pozwolenie na ekshumację zwłok, aby je przenieść gdzie indziej.

— Dlaczego nie chce zostawić ich tutaj ?

— Wie pan, że jeśli chodzi o nieboszczyków, to ludzie mają różne pomysły. My tutaj widzimy to codziennie. Ta działka kupiona jest na pięć lat, a młody człowiek chce mieć koncesję bezterminową i działkę większą. W nowej kwaterze ma być lepiej.

— Co pan nazywa nową kwaterą?

— Na lewo stąd nowe tereny, które się teraz sprzedaje. Gdyby ten cmentarz był zawsze tak utrzymywany jak obecnie, żaden inny na świecie nie mógłby mu dorównać. Ale trzeba jeszcze wiele zrobić, zanim wszystko będzie tak, jak powinno być. No i poza tym, ludzie są dziwni.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Ano to, że niektórzy zadzierają nosa. Ta panna Gautier, za przeproszeniem, podobno niczego sobie w życiu nie żałowała. A teraz biedaczka nie żyje; tyle z niej pozostało, co z tych, o których nic złego nie można powiedzieć i których groby polewa się co dzień. No i cóż! Kiedy krewni nieboszczyków pochowanych obok niej dowiedzieli się, kim ona była, ubrdali sobie, że powinni się sprzeciwić temu, żeby ją pochowano tutaj, i że dla tego rodzaju kobiet powinien być teren wydzielony, jak dla ubogich! Któż to widział? Rugnąłem ich przyzwoicie. Bogaci rentierzy, którzy nawet cztery razy do roku nie odwiedzają swoich nieboszczyków i sami przynoszą kwiaty, i co za kwiaty, którzy targują się o każdy grosz, kiedy trzeba zapłacić za utrzymanie grobów tych niby przez nich opłakiwanych, a na płytach nagrobnych piszą o łzach, których nigdy nie wylali — teraz przychodzą wyklócać się o sąsiedztwo! Może mi pan wierzyć albo nie, nie znałem tej pannicy, nie wiem, co robiła. Ale lubię tę

bidulkę, opiekuję się nią i znoszę jej kamelie, za które prawie nic nie biorę. To moja ulubiona nieboszczka. My, panie, musimy kochać zmarłych, bo jesteśmy tak zajęci, że nie mamy nawet czasu kochać nic innego.

Patrzyłem na tego człowieka, i nie potrzebuję chyba tłumaczyć moim czytelnikom, jak bardzo byłem wzruszony słuchając jego wynurzeń. Zauważył to bez wątpienia, bo mówił dalej:

— Powiadają, że byli tacy, którzy się dla tej dziewczyny rujnowali, i że miała kochanków, którzy ją uwielbiali. Otóż kiedy pomyślę, że żaden z nich nie pokwapił się, żeby jej kupić najskromniejszy choćby kwiatek — robi mi się dziwnie smutno. A przecież ona nie powinna się skarżyć. Ma swój grób, a jeśli jeden tylko człowiek pamięta o niej, to już tym samym wyręcza innych. Jednakże mamy tu biedne dziewczęta, takie same jak ona, w jej wieku, które się rzuca do wspólnego dołu. Serce mi pęka, kiedy słyszę, jak ich biedne ciała spadają do jamy. Kiedy rozstają się z życiem, nikt się już nimi nie zajmuje! Nasz zawód nie należy do przyjemnych, zwłaszcza kiedy się ma odrobinę serca. Cóż pan chce, to ponad moje siły. Mam piękną dwudziestoletnią córkę i nie mogę stłumić w sobie wzruszenia, kiedy przynoszą tu zmarłą w jej wieku, czy to będzie wielka pani, czy włóczęga... Ale pewno nudzę pana tymi swoimi gadkami. Nie po to pan przyszedł, żeby ich słuchać. Kazano mi zaprowadzić pana na grób panny Gautier, proszę, jesteście. Czy mogę panu jeszcze czymś służyć?

— Zna pan adres pana Armanda Duval?

— Tak, mieszka przy ulicy... Tam przynajmniej chodzę po pieniądze za te kwiaty, które pan tu widzi.

— Dziękuję, przyjacielu.

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na ukwiecony grób, którego wewnątrz chętnie bym zgłębił, aby zobaczyć, co ziemia uczyniła z pięknej istoty ludzkiej. Odchodziłem pełen smutku.

— Czy pan chce się widzieć z panem Duvałem? — zapytał ogrodnik, idąc obok mnie.

— Tak.

— Jestem pewien, że jeszcze nie wrócił, bo w przeciwnym razie byłbym go już tu widział.

— Jest więc pan przekonany, że nie zapomniał o Małgorzacie?

— Nie tylko jestem przekonany, ale poszedłbym o zakład, że jego chęć przeniesienia jej do innego grobu jest jeno chęcią zobaczenia zmarłej.

— Jak to?

— Pierwsze, co powiedział, kiedy przyszedł na cmentarz, to było pytanie: „Co zrobić, aby ją jeszcze raz zobaczyć?” To by się dało zrobić jedynie przy zmianie grobu. Wyłuszczyłem mu wszystkie formalności, jakich to wymaga. Bo wie pan, żeby przenieść zmarłego z grobu do grobu, trzeba go rozpoznać i tylko rodzina może na to zezwolić, przy tym musi się to odbyć pod nadzorem komisarza policji. Właśnie po to pozwolenie pan Duval pojechał do siostry panny Gautier i pierwsze swe kroki po powrocie powinien skierować na cmentarz.

Dotarliśmy do bramy cmentarnej. Jeszcze raz podziękowałem ogrodnikowi, kładąc mu do ręki kilka monet, i udałem się pod wskazany adres.

Armand jeszcze nie powrócił.

Zostawiłem mu kilka słów, prosząc, aby mnie odwiedził zaraz po swoim przybyciu albo zawiadomił mnie, gdzie moglibyśmy się spotkać.

Nazajutrz rano otrzymałem list, w którym Duval donosił mi o swoim powrocie i prosił, abym zajrzał do niego, ponieważ zmęczony podróżą nie może wyjść.

VI

Zastałem Armanda w łóżku.

Ujrzawszy mnie, wyciągnął rozpaloną rękę.

— Ma pan gorączkę — rzekłem.

— To nic groźnego, po prostu zmęczenie po szybkiej podróży.

— Wraca pan od siostry Małgorzaty?

— Tak. A kto panu o tym powiedział?

— Dowiedziałem się... A czy osiągnął pan to, co pan chciał?

— Tak. Ale kto pana poinformował o mojej podróży i jej celu?

— Ogrodnik na cmentarzu.

— Widział pan grób?

Odpowiedziałem skinieniem głowy.

— Czy opiekował się nim? — zapytał Armand.

Dwie duże łzy stoczyły mu się po policzkach. Odwrócił głowę, aby je ukryć. Udałem, że ich nie widzę i spróbowałem zmienić temat rozmowy.

— Minęły już trzy tygodnie, jak pan wyjechał. Armand przesunął dłonią po oczach i odrzekł:

— Dokładnie trzy tygodnie.

— Podróż była długa.

— O, nie byłem ciągle w podróży. Chorowałem dwa tygodnie i gdyby nie choroba, byłbym już dawno z powrotem. Ale jak tylko tam przybyłem, chwyciła mnie gorączka i musiałem pozostać w mieszkaniu.

— I wyjechał pan niezupełnie zdrow.

— Gdybym tam jeszcze tydzień posiedział, byłbym umarł.

— Ale teraz, kiedy pan nareszcie wrócił, trzeba się leczyć. Przyjaciele będą pana odwiedzać. Ja pierwszy, jeśli pan pozwoli.

— Za dwie godziny wstanę.

— Cóż za nieostrożność!

— Muszę.

— Cóż to za konieczność?

— Muszę iść do komisarza policji.

— Czemuż nie powierzy pan komu innemu misji, która może pogorszyć pański stan zdrowia?

— To jedyna rzecz, która może mnie uleczyć. Muszę ją zobaczyć. Od chwili kiedy się dowiedziałem o jej śmierci, a zwłaszcza od chwili kiedy ujrzałem jej grób, nie mogę spać. Nie mogę pogodzić się z myślą, że ta kobieta, która była tak młoda i piękna, gdy ją porzuciłem, nie żyje. Muszę się upewnić sam. Muszę zobaczyć, co też Bóg uczynił z istoty, którą tak kochałem, i może ten odrażający widok przesłoni mi mękę wspo mnienia. Pan pójdzie ze mną, nieprawda? Jeśli to panu nie sprawi przykrości...

— Co panu powiedziała jej siostra?

— Nic. Była bardzo zdziwiona, że obcy człowiek chce kupić działkę i przenieść Małgorzatę do innego grobu, i natychmiast podpisała upoważnienie, o które ją prosiłem.

— Niech pan mi wierzy, trzeba z tym przeniesieniem poczekać do chwili, kiedy pan będzie już zupełnie zdrow.

— O, starczy mi sił, niech pan będzie spokojny. Zresztą, oszalałbym, gdybym jak najszybciej nie

załatwił tej sprawy, której spełnienie stało się dla mnie dręczącą potrzebą. Przysięgam panu, że nie uspokoję się dopóty, dopóki nie zobaczę Małgorzaty. Może to skutek gorączki, która mnie trawi, zmora bezsennych nocy, rezultat mojego obłądu. Ale choćbym nawet, ujrawszy ją, miał zostać trapiącą jak pan de Rancé — zobaczę ją.

— Rozumiem pana i jestem do pańskiej dyspozycji. Widział pan Julię Duprat?

— O, tak, widziałem ją tego samego dnia, kiedy wróciłem po raz pierwszy.

— Czy oddała panu papiery zostawiane dla pana przez Małgorzatę?

— Oto są.

Armand wyciągnął spod poduszki papiery zwinięte w rulon i natychmiast wetknął je tam z powrotem.

— Umiem już na pamięć to, co tam jest napisane. Od trzech tygodni czytam je po dziesięć razy dziennie. Pan je też przeczyta, ale później, kiedy będę spokojniejszy i kiedy będę mógł opowiedzieć panu, ile w tych wyznaniach jest serca i miłości. Na razie chciałbym prosić pana o przysługę.

— Słucham.

— Czy pański powóz jest na dole?

— Tak.

— Czy zechce pan wziąć mój paszport i pójść na poste-restante, aby dowiedzieć się, czy są dla mnie jakieś listy? Mój ojciec i siostra powinni byli napisać do mnie do Paryża. Wyjechałem tak pośpiesznie, że nie miałem nawet czasu, aby zajrzeć na pocztę przed wyjazdem. Kiedy pan wróci, pójdziemy razem do komisarza policji, aby omówić z nim sprawę jutrzejszej ceremonii.

Wziąłem paszport Armanda i udałem się na ulicę Jean Jacques Rousseau.

Były tam dwa listy na nazwisko Duval, wziąłem je więc i wróciłem. Armand był już całkowicie ubrany i gotów do wyjścia.

— Dziękuję — rzekł odbierając listy, a spojrzawszy na nie, dodał: — Tak, to od ojca i siostry. Byli na pewno zaskoczeni moim milczeniem.

Otworzył listy i raczej odgadywał je, niż czytał, gdyż zawierały po cztery strony każdy. Po chwili złożył je i rzekł:

— Chodźmy, odpowiem na nie jutro.

Poszliśmy do komisarza policji, któremu Armand wręczył upoważnienie siostry Małgorzaty. Komisarz dał mu w zamian zlecenie dla dozorczy cmentarza. Ustaliliśmy, że przeniesienie zwłok odbędzie się o dziesiątej rano, że przyjadę po niego o godzinę wcześniej i razem udamy się na cmentarz.

Byłem ciekaw, jak to wszystko się odbędzie, i wyznam, że nie spałem całą noc. Gdy o dziewiątej rano wszedłem do pokoju Armanda, był straszliwie blady, ale na pozór spokojny. Uśmiechnął się i podał mi rękę.

Świece w lichtarzu były wypalone do końca. Wychodząc, Armand zabrał ze sobą gruby list, zaadresowany do swego ojca, list, który był chyba powiernikiem jego nocnych rozmyślań.

W pół godziny później byliśmy na cmentarzu Mont martre. Komisarz już na nas czekał. Skierowaliśmy się nieśpiesznym krokiem w stronę grobu Małgorzaty. Komisarz szedł przodem, Armand i ja podążaliśmy za nim w odległości paru kroków.

Od czasu do czasu czułem drżenie ręki mego towarzysza. Wtedy spoglądałem na niego, on zaś uśmiechał się, rozumiejąc moje spojrzenie. Jednakże od chwili, kiedyśmy wyszli z domu, nie zamieniliśmy ani słowa.

Nie dochodząc do grobu, Armand zatrzymał się, aby otrzeć twarz zroszoną grubymi kroplami potu. Skorzystałem z tego, aby odetchnąć, gdyż i ja miałem serce ściśnięte jak w kleszczach.

Kiedyśmy podeszli do grobu, kwiaty były już uprzątnięte, żelazna krata usunięta i dwóch ludzi

oskardami rozrzucało ziemię.

Armand oparł się o drzewo i patrzył. Zdawało się, że całe życie przesuwa mu się przed oczyma.

Nagle jeden z oskardów zgrzytnął, uderzywszy o kamień. Armand szarpnął się do tyłu jakby przeszyty prądem i ścisnął mi rękę z taką siłą, że odczułem ból. Następnie grabarz wziął szeroką łopatę i zaczął z wolna rozkopywać grób. Gdy wreszcie natrafił na kamienie, które pokrywały trumnę, wyrzucił je jeden po drugim.

Obserwowałem bacznie Armanda. Bałem się, by wzruszenie, które najwidoczniej tłumił w sobie, nie załamało go. Ale patrzył uporczywie szeroko otwartymi, zastygłymi jakby w obłędzie oczyma na to, co się działo, i tylko lekkie drżenie policzków i warg świadczyło o gwałtownym napięciu nerwów.

Co do mnie, mogę tylko powiedzieć, iż żałowałem tego, że przyszedłem.

Kiedy trumna była już całkowicie odsłonięta, komisarz rzekł do grabarza:

— Otwierać.

Grabarze usłuchali go, jak gdyby to była najprostsza rzecz na świecie.

Trumna była z dębowego drzewa. Grabarze zaczęli odśrubowywać wieko. W wilgotnej glebie rdza przeżarła śruby i trumna została otwarta nie bez wysiłku. Buchnął z niej odrażający odór, mimo że była wysłana aromatycznym ziołem.

— O mój Boże! Mój Boże! — wyszeptał Armand i zbladł jeszcze bardziej.

Cofnęli się nawet grabarze.

Wielki biały całun okrywał trupa, którego kształty rysowały się na nim kilku falistymi liniami. Całun był z jednej strony prawie całkowicie zetlały i odsłaniał w tym miejscu stopę zmarłej.

Byłem bliski omdlenia, a i teraz, kiedy to piszę, wspomnienie ukazuje mi tę scenę w całej jej przerażającej rzeczywistości.

— Prędeż — przynaglał komisarz.

Jeden z grabarzy jął pruć całun, po czym ująwszy go za skraj, odkrył nagle twarz Małgorzaty.

Widok był okropny.

Zamiast oczu czerniały dwa oczodoły, wargi zniknęły, białe zęby były zaciśnięte. Długie włosy, czarne i suche, przylgnęły do skroni i osłaniały zielonkawe wklęsłości policzków — a przecież rozpoznawałem w tej twarzy białoróżowe radosne oblicze, które widywałem tak często.

Armand, nie mogąc oderwać oczu od tej twarzy, gryzł chusteczkę, którą trzymał przy ustach.

Wydawało mi się, że żelazna obręcz ściska mi głowę, przed oczyma miałem czarny woal, uszy wypełniał szum. Mogłem uczynić tylko jedno — wydobyć flakon z solami i usilnie wdychać ich zapach.

Wtem usłyszałem głos komisarza policji:

— Czy poznaje pan?

— Tak — odrzekł głucho Duval.

— No, to zamknąć i przewieźć.

Grabarze zarzucili całun na twarz zmarłej, zamknęli trumnę i ponieśli ją na wskazane miejsce.

Armand stał nieporuszony. Oczy jego były przykute do pustej mogiły. Był blady jak trup, którego przed chwilą oglądaliśmy. Stał niby skamieniały.

Domyśliłem się, co może nastąpić, gdy napięcie nerwowe osłabnie i przestanie go podtrzymywać.

Podszedłem do komisarza.

— Czy obecność tego pana — zapytałem wskazując na Armanda — jest jeszcze konieczna?

— Nie — odparł komisarz — i radzę nawet zabrać go stąd, bo wygląda tak, jakby był chory.

— Chodźmy — rzekłem do Armanda, biorąc go pod rękę.

— Co? — spojrział na mnie tak, jakby mnie nie poznawał.

— To koniec, musi pan iść, drogi przyjacielu, jest pan blady, widzę, że panu zimno. To wszystko jest ponad pańskie siły.

— Ma pan rację, chodźmy stąd — odpowiedział machinalnie, nie ruszając się jednak z miejsca.

Wziąłem go za rękę i pociągnąłem za sobą. Pozwalał się prowadzić jak dziecko, szepcząc tylko od czasu do czasu:

— Widział pan jej oczy?

I odwracał się, jak gdyby ta wizja przyzywała go z powrotem.

Szedł nierównym krokiem, potykał się co chwila, zęby mu szczękały, ręce były zimne, gwałtowne podniecenie wstrząsało całym jego ciałem.

Mówiłem doń — nie odzywał się. Dał się jedynie prowadzić.

Przed bramą czekał powóz. Ledwo jednak w nim u siadł, dreszcze wzmogły się, dostał ataku nerwowego, przy tym w obawie, abym się nie przeraził, szeptał ściskając mi rękę:

— To nic, to nic, chciałbym płakać.

Ciężki oddech rozpierał mu pierś, oczy nabiegły krwią, ale łzy nie napływały.

Podsunałem mu flakon z solami. Kiedy przybyliśmy do domu, już tylko dreszcze wstrząsały jego ciałem od czasu do czasu.

Ułożyłem go z pomocą służącego, kazałem rozpalić ogień w kominku i pobiegłem do mojego lekarza.

Gdy wróciłem, Armand był rozpalony, majaczył, bełkotał bez sensu, jedynie od czasu do czasu wymawiał wyraźnie imię Małgorzaty.

— No i co? — zapytałem, gdy lekarz zbadał chorego.

— Ni mniej, ni więcej, tylko zapalenie mózgu, i to całe szczęście, bo sędzę, że był bliski obłądu. Jeśli dobrze pójdzie, choroba fizyczna zabije chorobę psychiczną i za miesiąc będzie uleczony z jednej i drugiej.

VII

Choroba Armanda należała do tych, które albo zabijają od razu, albo dają się pokonać bardzo szybko.

W dwa tygodnie po opisanych wypadkach Armand wracał do zdrowia. Łączyły nas już więzy zażyłej przyjaźni. Przez cały czas choroby nie opuszczałem prawie jego pokoju.

Wiosna przyniosła z sobą bogactwo kwiatów, liści, ptaków. Okno pokoju mojego przyjaciela wychodziło na ogród, którego zapach przywracał mu zdrowie i radość.

Lekarz pozwolił mu już wstawać. Rozmawialiśmy często, siedząc przy otwartym oknie, między dwunastą a drugą po południu, kiedy słońce grzeje najmocniej.

W rozmowach starałem się omijać temat Małgorzaty w obawie, aby to imię nie rozbudziło smutnych wspomnień, uśpionych pod pozornym spokojem chorego. Ale Armand, przeciwnie, mówił o niej z przyjemnością, nie tak jak dawniej, ze łzami w oczach, lecz z łagodnym uśmiechem, który świadczył o równowadze ducha.

Zauważyłem, że od dnia ostatniej bytności na cmentarzu, kiedy widok ekshumacji wywołał w nim gwałtowny kryzys, choroba dopełniła jakby miary jego męki: na śmierć Małgorzaty patrzył już innymi oczami. Pewność zdobyta na cmentarzu przyniosła mu coś w rodzaju pocieszenia, i aby odpędzić ponury obraz, który mu się często narzucał, oddawał się rozpamiętywaniu szczęśliwych chwil przeżytych z Małgorzatą i tylko te chwile wydawały mu się istotne.

Jego organizm był zbyt wyczerpany chorobą i samym procesem leczenia, aby umysł był zdolny do jakichkolwiek gwałtownych wzruszeń. Powszechna atmosfera pogody i wiosny mimo woli skłaniała myśl Armanda ku radosnym obrazom.

Wzbraniał się uparcie przed zawiadomieniem rodziny o niebezpieczeństwie, które mu groziło, i nawet wtedy, gdy był już zdrow, ojciec nic nie wiedział o jego chorobie.

Któregoś wieczora siedzieliśmy przy oknie dłużej niż zwykle. Pogoda była wspaniała, słońce układało się do snu w przepychu lazuru i złota. Choć byliśmy w Paryżu, czuliśmy się, dzięki otaczającej nas zieleni, odgradzeni od świata i tylko hałas powozów zakłócał od czasu do czasu naszą rozmowę.

— Poznałem Małgorzatę o tej samej porze roku, wieczorem pewnego dnia, takiego jak dzisiejszy — powiedział Armand, zasłuchany we własne myśli.

Nie odrzekłem nic.

Wtedy odwrócił się do mnie i rzekł:

— Muszę panu jednak opowiedzieć tę historię. Napisze pan o tym książkę, w której treść nikt nie uwierzy, ale której napisanie może być rzeczą interesującą.

— Opowie mi pan później, drogi przyjacielu, nie jest pan jeszcze zupełnie zdrow.

— Wieczór jest ciepły. Zjadłem kawałek kurczęcia — rzekł z uśmiechem — nie trawi mnie gorączka, nie mamy nic do roboty, opowiem więc panu wszystko.

— Skoro pan koniecznie chce, słucham.

— Historia jest całkiem prosta. Opowiem ją panu według kolejności wypadków. Jeżeli pan później zechce coś napisać, wolno panu będzie podać to inaczej.

Oto jego wzruszająca opowieść, w której zmieniłem zaledwie kilka słów.

— Tak — podjął Armand odchylając głowę na oparcie fotela. — Był to wieczór podobny do dzisiejszego. Spędziłem dzień na wsi w towarzystwie jednego z moich przyjaciół, Gastona R. Pod

wieczór wróciliśmy do Paryża i nie wiedząc, co robić, zajrzeliśmy do teatru Varietes.

W czasie przerwy minęła nas w kuluarze jakaś wysoka kobieta, którą przyjaciel mój pozdrowił.

— Komuż to pan się uklonił? — zapytałem.

— Małgorzacie Gautier.

— No, to musiała się chyba poważnie zmienić, bo nie poznałem jej — powiedziałem z przejęciem, które pan za chwilę zrozumie.

— Była chora. Biedaczka długo nie pociągnie. Pamiętam te słowa, jakby powiedział je wczoraj. Musi pan wiedzieć, drogi przyjacielu, że od dwóch lat widok tej dziewczyny, kiedy ją spotykałem, sprawiał na mnie dziwne wrażenie.

Nie wiedząc dlaczego, bladłem i serce zaczynało mi bić gwałtownie. Pewien mój znajomy, który interesuje się wiedzą tajemną, nazwałby to, co czułem, podobieństwem fluidów, ja zaś po prostu myślę, że było mi sądzone zakochać się w Małgorzacie i że to przeczuwałem.

Tak czy inaczej, wrażenie, jakie na mnie sprawiała, było nieodparte, liczni moi przyjaciele spostrzegli to i bardzo się śmiali wiedząc, kto był tego przyczyną.

Po raz pierwszy zobaczyłem ją na placu Giełdy przed drzwiami Susse'a. Zatrzymał się tu otwarty powóz i wysiadła zeń kobieta w bieli. Jej wejście do magazynu powitał szmer podziwu. Ja stałem jak wryty od chwili jej wejścia do chwili opuszczenia magazynu. Widziałem przez szybę, jak wybierała to, co chciała kupić. Mógłbym wejść za nią, ale nie śmiałem. Nic o niej nie wiedziałem, bałem się, że odgadnie, po co wszedłem do magazynu, i że się z tego powodu obrazi. Nie sądziłem jednak, że jeszcze ją kiedykolwiek zobaczę.

Była bardzo elegancka: miała na sobie muślinową suknię z falbanami, szal kaszmirowy w kratę, haftowany na obu końcach w kwiaty i przetykany złotem, słomkowy kapelusz i bransoletkę na rękę — gruby złoty łańcuch, według ówczesnej mody.

Wsiadła do powozu i odjechała.

Jeden ze sprzedawców, stojąc w drzwiach magazynu, odprowadzał wzrokiem powóz eleganckiej klientki. Podeszedłem do niego i poprosiłem, aby mi podał nazwisko tej kobiety.

— To panna Małgorzata Gautier.

Nie ośmieliłem się zapytać o jej adres i odszedłem.

Ten obraz nie ulotnił się z mojej pamięci, jak wiele innych, i odtąd szukałem wszędzie królewskiej piękności w bieli.

W kilka dni później miało się odbyć w Opéra-Comique wielkie przedstawienie. Poszedłem. Pierwszą osobą, jaką zauważyłem w loży przy proscenium, była Małgorzata Gautier.

Młody człowiek, który mi towarzyszył, poznał ją również, bo wskazując na nią powiedział:

— Spójrz pan na tę śliczną dziewczynę.

W tej samej chwili Małgorzata skierowała lornetkę w naszą stronę, zauważyła mego towarzysza, uśmiechnęła się doń i skinieniem zaprosiła do swojej loży.

— Pójdę powiedzieć jej dobry wieczór i zaraz wracam — rzekł mój przyjaciel.

Nie mogłem się powstrzymać od okrzyku zazdrości.

— Szczęściarz z pana!

— Dlaczego?

— No, bo może pan odwiedzić tę kobietę.

— Czy jest pan w niej zakochany?

— Nie — odrzekłem rumieniąc się, bo doprawdy nie wiedziałem, co o tym myśleć — ale chciałbym ją poznać.

— Niech pan pójdzie ze mną, przedstawię pana.

— Może przedtem poprosi ją pan o pozwolenie.

— Och, na Boga, z nią nie trzeba robić ceremonii. Niech pan idzie ze mną.

Słowa te sprawiły mi przykrość. Drżałem na myśl, że Małgorzata może nie zasługiwać na to, co dla niej czułem.

W książce Alfonsa Karra, zatytułowanej *Am Rauchen*, występuje mężczyzna, który pewnego wieczora śledzi kobietę bardzo piękną i elegancką. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Aby ucałować jej rękę, zdolny jest do wszystkiego: czuje w sobie siłę, wolę i odwagę, aby wszystko przedsięwziąć, wszystko zdobyć, wszystkiego dokonać. Zaledwie ośmiela się spojrzeć na jej wytworną stopę, którą ona odsłania, aby nie powalać sobie sukni. I podczas gdy marzy o tym, co mógłby uczy nić, aby posiąść tę kobietę, ona zatrzymuje się na rogu ulicy i zapytuje go, czy zechce pójść do niej na górę.

On odwraca głowę, przechodzi przez jezdnię i bardzo smutny wraca do domu.

Przypomniałem sobie ten epizod, gdyż i ja, gotów cierpieć dla tej kobiety, obawiałem się, by nie przystała na mnie zbyt szybko, dając mi skwapliwie miłość, którą wolałbym opłacić długim oczekiwaniem lub wielką ofiarą. Tacy już jesteśmy, my, mężczyźni. Prawdziwe to szczęście, że wyobraźnia pozostawia jeszcze zmysłom ową cząstkę poezji i że pożądanie ciała czyni to ustępstwo na rzecz marzeń duszy.

Wreszcie, gdyby mi powiedziano: „Posiądziesz tę kobietę dziś wieczór, a jutro będziesz zabity” — zgodziłbym się natychmiast. Gdyby mi powiedziano: „Daj dziesięć ludwików, a będziesz jej kochankiem” — odmówiłbym i rozplakałbym się jak dziecko, przed którym po przebudzeniu rozwiewa się zaczarowany zamek, widziany we śnie.

A przecież chciałem ją poznać. Był to jedyny sposób, aby się dowiedzieć, co mam myśleć i jakich zasad się trzymać w stosunku do tej kobiety.

Oświadczyłem więc mojemu przyjacielowi, że zależy mi na tym, aby uzyskał jej zezwolenie na prezentację mojej osoby. Błądziłem po kularach, wyobrażając sobie, jak też ona na mnie spojrzy i jak pod tym spojrzeniem nie będę umiał przybrać właściwej postawy. Starłem się zawczasu powiązać jakoś słowa, które miałem jej powiedzieć.

Jakże wspaniałą dziecinadą jest miłość!

Po chwili przyjaciel mój wrócił i powiedział:

— Ona czeka na nas.

— Czy jest sama? — zapytałem.

— Jest z nią jeszcze jedna kobieta.

— A nie ma żadnego mężczyzny?

— Nie.

— Więc chodźmy.

Mój przyjaciel skierował się ku wyjściu.

— Jak to — zawołałem — przecież nie tędy!

— Przedtem kupimy jej słodycze. Prosiła mnie o to. Weszliśmy do cukiernika w pasażu Opery.

Gotów byłbym wykupić cały sklep i zastanawiałem się nad wyborem cukierków, gdy mój przyjaciel zażądał:

— Poproszę o funt mrożonych winogron. Ona nie jada innych słodyczy, to rzecz wiadoma.

A kiedy wyszliśmy, podjął:

— Czy wie pan, jakiej kobiecie przedstawiam pana? Niechże pan sobie nie wyobraża, że to jakaś księżna, to po prostu kurtyzana, mój drogi, najpospolitsza kurtyzana. Proszę się więc nie krępować i mówić wszystko, co przyjdzie panu na myśl.

— Dobrze, dobrze — mruknąłem i poszedłem za nim, mówiąc sobie w duchu, że za chwilę będę uleczony ze swojej namiętności.

Kiedy wszedłem do loży, Małgorzata śmiała się do rozpuku. Wolałem, aby była smutna.

Mój przyjaciel przedstawił mnie. Małgorzata powitała mnie lekkim skinieniem głowy i rzekła:

— A moje cukierki?

— Proszę.

Biorąc je spojrzała na mnie, ja zaś spuściłem oczy i poczerwieniałem. Małgorzata, pochyliwszy się ku swej sąsiadce, powiedziała jej na ucho kilka słów i obie wybuchnęły śmiechem.

Oczywiście, ja byłem przyczyną tej wesołości. Zakłopotanie moje wzrosło. W owym czasie kochanką moją była mieszczańeczka bardzo tkliwa i sentymentalna, której czułości i melancholijne listy budziły we mnie śmiech. Zrozumiałem, jaką krzywdę jej wyrządzam, dzięki krzywdzie, jakiej sam wtedy doznałem, i przez pięć minut kochałem ją tak, jak nigdy nie kochałem żadnej kobiety.

Małgorzata jadła winogrona, nie zajmując się już moją osobą.

Mój przewodnik chciał mi oszczędzić śmieszności.

— Małgorzato — rzekł — nie powinna się pani dziwić temu, że pan Duval nic nie mówi. Pani tak na niego działa, że nie może powiedzieć słowa.

— Sądzę raczej, że przyjaciel pana przyszedł tutaj, ponieważ pan nie chciał przyjść sam.

— Gdyby to było prawdą — odezwałem się z kolei — nie prosiłbym Ernesta o uzyskanie pani zgody na to, bym został jej przedstawiony.

— Był to może sposób na opóźnienie fatalnej chwili. Każdy, kto choć trochę przestawał z dziewczętami pokroju Małgorzaty, wie, jak bardzo lubią one dowcipkować i stroić żarty z ludzi, których widzą po raz pierwszy. Jest to prawdopodobnie odwet za upokorzenia, jakie muszą znosić ze strony tych, z którymi co dzień mają do czynienia. Toteż aby móc im odpowiadać, potrzebne jest pewne obycie z ich światem, obycie, którego nie miałem. Co jednak kazało mi przypisać drwinkom Małgorzaty przesadną wagę, to było wyobrażenie, jakie sobie o niej urobiłem. Nic, co wiązało się z tą kobietą, nie było mi obojętne. Tak więc wstałem, mówiąc tonem, którego rozdrażnienia nie zdołałem ukryć:

— Jeśli pani tak o mnie myśli, nie pozostaje mi nic innego, jak przeprosić panią za niedelikatność i odejść, zapewniając, że to się więcej nie powtórzy.

Ukloniłem się i wyszedłem.

Gdy tylko zamknąłem za sobą drzwi, usłyszałem wybuch śmiechu. W tym momencie wolałem, aby mnie ktoś uderzył.

Wróciłem na swoje miejsce.

Rozległ się stuk poprzedzający podniesienie kurtyny. Wrócił również Ernest.

— Ale narwaniec z pana! — rzekł siadając. — One uważają pana za wariata.

— Co powiedziała Małgorzata, kiedy wyszedłem?

— Śmiała się i zapewniła mnie, że nigdy nie widziała kogoś tak zabawnego jak pan. Ale niech pan nie daje za wygraną. Tej kategorii kobiet nie trzeba brać poważnie, to dla nich zbyt wielki honor. Nie wiedzą, co to elegancja i uprzejmość. Są jak psy, które się perfumuje: wydaje im się, że śmierdzą, i nurzają się w rynsztoku.

— Ostatecznie, co mnie to obchodzi? — odrzekłem usiłując przybrać ton obojętny. — Nigdy już nie zobaczę tej kobiety, a jeśli podobała mi się, zanim ją poznałem, to teraz wszystko się zmieniło.

— Ba! Nie tracę nadziei, że któregoś dnia ujrzę pana w jej loży i dowiem się, że rujnujesz się dla niej. Zresztą, pochwalę pana: jest źle wychowana, ale kochanka z niej — bardzo przyjemna.

Na szczęście, kurtyna poszła w górę i przyjaciel mój zamilkł. Nie umiałbym panu powiedzieć, co

wtedy grano. Przypominam sobie tylko, że corazto kierowałem wzrok ku łożu, którą tak nagle opuściłem i w której nieledwie co chwila zmieniały się twarze odwiedzających gości.

Wyznam jednak, że wcale nie przestałem myśleć o Małgorzacie. Zaczynało mnie nurtować inne uczucie. Wydawało mi się, że powinienem jakoś zmasać jej zniewagę i swoją śmieszność. Mówiłem sobie, że choćbym nawet miał wydać cały swój majątek, muszę posiadać tę dziewczynę i zająć obok niej miejsce, które tak szybko porzuciłem.

Nim jeszcze spektakl dobiegł końca, Małgorzata i jej przyjaciółka opuściły łożę. Mimo woli wstałem z fotela.

— Wychodzi pan? — zapytał Ernest.

— Tak.

— Czemu?

W tej samej chwili spostrzegł, że łoża jest pusta.

— Idź pan, idź pan — dodał — i życzę powodzenia albo raczej większego powodzenia.

Wyszedłem.

Na schodach usłyszałem szelest sukien i odgłosy rozmowy. Usunąłem się na bok i sam nie będąc widziany, zobaczyłem dwie kobiety oraz dwóch towarzyszących im młodych ludzi. Pod kolumnadą teatru podszedł do nich mały goniec.

— Powiedz stangretowi, żeby czekał na nas przed „Cafe Anglais” — rzekła doń Małgorzata. — Idziemy tam pieszo.

Potem, przechodząc się po bulwarze, ujrzałem w oknie jednego z większych gabinetów restauracji Małgorzatę opartą o balustradę i zrywającą jeden po drugim płatki z kamelii swego bukietu. Jeden z młodych ludzi, pochylony nad jej ramieniem, coś jej mówił na ucho.

Zająłem miejsce w „Maison d'Or”, w salonie pierwszego piętra, i nie odrywałem oczu od okna naprzeciwko.

O pierwszej po północy Małgorzata wsiadła do powozu wraz z trojgiem swych znajomych.

Pojechałem za nimi fiakrem.

Powóz zatrzymał się przed domem nr 9 na ulicy d'Antin. Małgorzata wysiadła i weszła do domu sama. Był to prawdopodobnie przypadek, niemniej jednak sprawił mi ogromną ulgę.

Od tego dnia począwszy spotykałem Małgorzatę w te atrze, na Polach Elizejskich. Ona, zawsze tak samo wesoła, ja — zawsze tak samo wzruszony.

Przez dwa tygodnie nie widziałem jej jednak nigdzie. Zapytałem o nią Gastona, z którym zetknąłem się przypadkowo.

— Biedaczka, jest poważnie chora — odpowiedział.

— Co jej jest?

— Jest chora na płuca, a ponieważ życie, jakie prowadziła, nie pozwoli jej chyba wyzdrowieć, leży w łóżku i powoli kona.

Niezbadane są uczucia ludzkie. Byłem nieomal rad z jej choroby. Zasięgałem co dzień wiadomości o jej stanie zdrowia, nie pisząc do niej ani nie zostawiając swej karty wizytowej. Wreszcie dowiedziałem się, że wraca do sił i że wyjechała do Bagnères.

Czas upływał. Jeśli nie wspomnienie, to urok, jaki wywierała na mnie Małgorzata, zacierał się jakby w mojej świadomości. Podróżowałem. Miejsce Małgorzaty zajęły w moim życiu nowe stosunki, nawyki i prace. Wracając myślą do pierwszej przygody, widziałem w niej zaledwie jedną z namiętności młodego wieku, z której człowiek śmieje się po niedługim czasie.

Zresztą, uwolnienie się od tego wspomnienia nie byłoby żadną zasługą z mojej strony, bo z chwilą wyjazdu Małgorzaty straciłem ją z oczu i, jak już panu mówiłem, nie poznałem jej, kiedy minęła mnie

w kuluarze teatru Varietes.

Co prawda, nosiła woalkę. A przecież dwa lata przedtem nie musiałbym jej widzieć, aby ją poznać: wyczułbym, że to ona. To nie znaczy, aby moje serce nie zabiło mocniej, kiedy się dowiedziałem, że przeszła obok mnie Małgorzata. I dwa lata spędzone z dala od niej, skutki, jakie ta rozłąka pociągnęła za sobą, rozwiały się za jednym dotknięciem jej sukni.

VIII

— Jednakże — podjął Armand po krótkiej pauzie — zdając sobie sprawę, że jestem jeszcze zakochany, czułem się silniejszy niż dawniej: w moim pragnieniu ponownego zetknięcia się z Małgorzatą była także chęć pokazania mojej nad nią wyższości.

Toteż, niecierpliwiąc się już w kuluarze, wróciłem, aby zająć swe miejsce na parterze i szybkim rzutem oka objąłem salę, aby odnaleźć jej łożę.

Siedziała zupełnie sama w parterowej łoży tuż koło proscenium. Jak już wspomniałem, była zmieniona, nie dostrzegałem na jej ustach właściwego jej, obojętnego uśmiechu. Widać było, że cierpi jeszcze teraz. Choć był to już kwiecień, ubierała się jeszcze po zimowemu, cała otulona w aksamit.

Patrzyłem na nią uporczywie, w końcu ściągnąłem na siebie jej wzrok. Patrzyła na mnie przez kilka chwil, sięgnęła po lornetkę, aby mi się lepiej przyjrzeć. Przypuszczała widocznie, że mnie poznaje, nie mogła jednak przypomnieć sobie dokładnie, kim jestem, kiedy bowiem odłożyła lornetkę, zauważyłem na jej wargach nieuchwytny uśmiech, czarujący ukłon kobiety, który miał być odpowiedzią na gest powitania, jakiego zdawała się oczekiwać ode mnie. Ale nie odpowiedziałem, chcąc jakby utwierdzić się w swej wyższości i sprawić wrażenie, że ja zapomniałem, podczas gdy ona pamięta.

Odwróciła głowę, uznawszy widocznie, że się pomyliła.

Kurtyna poszła w górę.

Widziałem Małgorzatę wielekroć w teatrze, nigdy jednak nie spostrzegłem, aby zwracała najmniejszą uwagę na to, co się dzieje na scenie. Muszę wyznać, że i mnie spektakl interesował bardzo mało, zajmowałem się tylko nią, zachowując się tak, aby ona tego nie spostrzegła.

Zauważyłem, że wymienia spojrzenia z osobą znajdującą się w łoży na wprost. Osobą tą okazała się kobieta, z którą byłem w dość dobrej komitywie. Ongiś kurtyzana, starała się w swoim czasie dostać do teatru, ale jej się to nie udało, licząc jednak na swe stosunki w środowisku paryskich elegantek, założyła magazyn mód. Wydało mi się, że za jej pośrednictwem będę się mógł spotkać z Małgorzatą. Wyczekałem więc chwili, kiedy spojrzała w moją stronę, i powiedziałem jej „dobry wieczór” oczyma i gestem.

Stało się tak, jak przewidywałem: zaprosiła mnie do swojej łoży.

Prudencja Duvernoy, tak wdzięcznie bowiem nazywała się owa modniarka, była jedną z tych zażywnych czterdziestoletnich kobiet, z którymi nie trzeba się uciekać do wielkiej dyplomacji, aby wydobyć z nich to, czego się pragnie dowiedzieć. Skorzystałem z chwili, kiedy znowu poczęła zamieniać spojrzenia z Małgorzatą, i zapytałem:

— Na kogóż to pani tak patrzy?

— Na Małgorzatę Gautier.

— Zna ją pani?

— Tak, jestem jej modniarka, a poza tym to moja sąsiadka.

— Mieszka więc pani przy ulicy d'Antin?

— Tak, pod numerem siódmym. Okno jej gotowalni znajduje się na wprost mojego.

— Powiadają, że to przemiła dziewczyna.

— Nie zna jej pan?

— Nie, ale chciałbym ją poznać.

— Czy chce pan, abym zaprosiła ją do naszej łoży?

- Nie, wolałbym, aby pani mnie jej przedstawiła.
— U niej w domu?
— Tak.
— To będzie trudniejsze.
— Dlaczego?
— Dlatego że jest pod opieką starego, bardzo zazdrosnego księcia.
— „Pod opieką” to czarujące określenie.
— Tak — odparła Prudencja. — Biedny staruszek byłby w kłopotcie, gdyby miał zostać jej kochankiem.

Prudencja opowiedziała mi, w jaki sposób Małgorzata zawarła w Bagnères znajomość z księciem.

- I dlatego — rzekłem — jest w teatrze sama?
— Właśnie dlatego.
— No, a kto ją potem odprowadzi?
— On.
— Ma więc po nią przyjść?
— Lada chwila.
— A panią kto odprowadza?
— Nikt.
— Więc może ja?...
— Ależ pan jest, zdaje się, z przyjacielem?
— Odprowadzimy panią razem.
— Któż to jest ten pana przyjaciel?
— Czarujący chłopiec, bardzo dowcipny... Będzie zachwycony, że panią pozna.
— No, to zgoda, wyjdziemy we troje po tym akcie, bo ostatni znam.
— Chętnie. Pójdę uprzedzić przyjaciela.

W chwili kiedy miałem już wyjść, Prudencja odezwała się:

- Ach, księżę wchodzi właśnie do łoży Małgorzaty. Spojrzałem w tamtą stronę. Istotnie, obok młodej kobiety usiadł starszy pan około siedemdziesiątki i wręczył jej torebkę z cukierkami. Małgorzata natychmiast wzięła cukierek, torebkę położyła na poręczy i z uśmiechem uczyniła w stronę Prudencji gest, który miał znaczyć: „Chce pani?” — „Nie” — Prudencja potrząsnęła głową.

Małgorzata zabrała torebkę i odwróciwszy się, zaczęła rozmawiać z księciem.

Szczegóły te mogą teraz, gdy je opowiadam, wydawać się dziecinne, ale wszystko, co miało związek z tą kobietą, jest tak żywe w mojej pamięci, że nie mogę się oprzeć wspomnieniom.

Gaston zgodził się na moją propozycję, opuściliśmy więc swe miejsce na parterze, aby przejść do łoży pani Duvernoy. Ledwośmy jednak otworzyli drzwi wiodące do kuluaru, musieliśmy się zatrzymać, aby przepuścić Małgorzatę i księcia, wychodzących z łoży.

Dałbym wówczas dziesięć lat życia, aby znaleźć się na miejscu poczciwego staruszka. Tymczasem on, wyszedłszy na bulwar, usadowił ją w faetonie, którym sam powoził; wkrótce zniknęli, uniesieni przez pędzące kłusem dwa wspaniałe konie.

Wróciliśmy do łoży Prudencji.

Po skończonym akcie pojechaliśmy zwykłym fiakrem na ulicę d'Antin nr 7. Przed drzwiami swego domu Prudencja zaprosiła nas na górę, chcąc pokazać magazyn, z którego była widocznie bardzo dumna. Może pan sobie wyobrazić, jak chętnie przystałem na to — zdawało mi się, że zbliżam się powoli do Małgorzaty. I niebawem też skierowałem rozmowę na jej temat.

— Czy stary książę jest obecnie u sąsiadki pani? — zapytałem.

— Nie. Małgorzata jest prawdopodobnie sama.

— Ale chyba straszliwie się nudzi — powiedział Gaston.

— Spędzamy prawie wszystkie wieczory razem, a kiedy jest poza domem, wzywa mnie do siebie zaraz po powrocie. Nie kładzie się nigdy przed drugą po północy. Nie może zasnąć wcześniej.

— Czemu?

— Bo jest chora na płuca i prawie zawsze ma gorączkę.

— Więc jak to, ona nie ma kochanków? — zapytałem.

— Nie widziałam nigdy, aby ktokolwiek zostawał u niej. Nie twierdzę, że nikt nie przychodzi po moim wyjściu. Często spotykam u niej wieczorami niejakiego hrabiego N., któremu się wydaje, że coś wskóra przychodząc o jedenastej wieczór i ofiarowując jej klejnoty, jakich tylko zapragnie. Ale ona go nie znosi. I źle robi, bo to chłopiec bardzo bogaty. Na próżno mówię jej czasem: „Drogie dziecko, przecież to człowiek, jakiego właśnie pani trzeba!” Nie słucha mnie, odwraca się do mnie tyłem i odpowiada, że on jest za głupi. Że głupi, to się widzi, ale on stworzyłby jej pozycję, podczas gdy stary książę może umrzeć lada dzień. Starzy ludzie to egoiści. Poza tym jego rodzina wytyka mu bez ustanku jego sentyment do Małgorzaty. Oto dwa powody, dla których on jej nic nie zostawi. Ja jej to tłumaczę, a ona mi odpowiada, że zdąży jeszcze wyjść za hrabiego po śmierci księcia.

Żyć tak jak ona żyje — ciągnęła Prudencja — to żadna przyjemność. Ja nie mogłabym, na przykład, i wiem, że szybko puściłabym gościa kantem. Stary jest ckliwy: nazywa ją swą córką, opiekuje się nią jak dzieckiem, nie odstępuje jej ani na krok. Jestem pewna, że teraz któryś z jego lokajów spaceruje po ulicy i śledzi każdego, kto wychodzi, a zwłaszcza kto wchodzi do jej mieszkania.

— Ach, biedna Małgorzata! — Gaston siadł do pianina i zagrał walca. — Nic o tym wszystkim nie wiedziałem. Co prawda, od pewnego czasu widzę, że jest mniej wesoła.

— Tsss! — Prudencja nastawiła ucha.

— I wywrócą wszystko do góry nogami!

— A czegoż oni chcą?

— Zobaczyć panią.

— Jak się nazywają?

— Jednego pani zna, to Gaston R.

— A, tak, znam go. A drugi?

— Pan Armand Duval. Nie zna go pani?

— Nie. Ale niechże ich pani przyprowadzi, lepsze to niż hrabia. Prędejj, czekam na was.

Małgorzata zamknęła okno, Prudencja uczyniła to samo.

— Wiedziałem — odezwał się Gaston — że będzie uradowana naszą wizytą.

— Uradowana to przesada — odparła Prudencja kładąc szal i kapelusz. — Zaprasza was po to, aby pozbyć się hrabiego. Starajcie się być przyjemniejsi od niego, bo o ile znam Małgorzatę, zwymyśla mnie.

Poszliśmy za Prudencją. Drżałem na myśl, że zaraz zobaczę Małgorzatę. Zdawało mi się, że ta wizyta odmieni moje życie. Byłem bardziej poruszony niż owego wieczora, kiedy zostałem jej przedstawiony w loży Ope-ra-Comique.

Kiedyśmy stanęli przed drzwiami jej apartamentu, serce biło mi tak mocno, że mąciło mi się w głowie. Doszły nas akordy fortepianu. Na dzwonek Prudencji fortepian zamilkł. Drzwi otworzyła nam kobieta, która wyglądała raczej na damę do towarzystwa niż na pokojówkę. Przeszliśmy do salonu, z salonu do buduaru, który wówczas wyglądał tak jak później, gdy pan go widział.

Tutaj, oparty o kominek, stał młody człowiek. Małgorzata, siedząc przy fortepianie, pozwalała swym

palcom biec po klawiaturze, zaczynała grać jakiś utwór, którego potem nie kończyła.

Scena ta tchnęła nudą — mężczyzna był zakłopotany, Gaston urwał. Jęliśmy nasłuchiwać. Istotnie, głos jakiś wzywał Prudencję.

— No, moi panowie, proszę sobie iść — rzekła pani Duvernoy.

— Ach, to tak pani rozumie prawa gościnności? — powiedział Gaston śmiejąc się. — Pójdziemy sobie wtedy, kiedy nam się spodoba. Dlaczegoż to mielibyśmy sobie iść?

— Idę do Małgorzaty.

— Zaczekamy tutaj.

— To niemożliwe.

— No, to pójdziemy razem z panią.

— To jeszcze gorzej.

— Przecież ja również znam Małgorzatę — rzekł Gaston — mogę więc złożyć jej wizytę.

— Ale nie zna jej Armand.

— Przedstawię go.

— To niemożliwe.

Znowu usłyszeliśmy wołanie Małgorzaty. Prudencja pobiegła do swojej gotowalni i otworzyła okno. Gaston i ja poszliśmy za nią i ukryliśmy się tak, alby z zewnątrz nikt nie mógł nas zauważyć.

— Wołam panią od dziesięciu minut — Małgorzata mówiła ze swego okna tonem prawie rozkazującym.

— Czego pani sobie życzy ?

— Chcę, aby pani przysłała do mnie natychmiast.

— Po co?

— Hrabia N. siedzi u mnie i zanudza mnie na śmierć.

— Teraz nie mogę.

— Dlaczego?

— Mam u siebie dwóch młodych ludzi.

— Niechże im pani powie, że pani wychodzi.

— Już im to powiedziałam.

— No, to niech pani zostawi ich u siebie. Pójdą sobie, kiedy pani już nie będzie.

— Ach, przypominam sobie! — odrzekła Małgorzata z uśmiechem. — Ale to nie pan był śmieszny, tylko ja byłam uszczypliwa, a i dzisiaj niewiele się zmieniłam. Wybaczyl mi pan, prawda?

I podała mi rękę, którą pocałowałem.

— Niech pan sobie wyobrazi — ciągnęła dalej — że mam brzydki zwyczaj wprawiania w kłopot ludzi, których widzę po raz pierwszy. To bardzo głupie. Mój lekarz powiada, że to dlatego, ponieważ jestem nerwowa i wciąż cierpiąca. Trzeba wierzyć mojemu lekarzowi.

— Ależ pani bardzo dobrze wygląda.

— Och, byłam poważnie chora.

— Wiem o tym.

— Kto panu powiedział?

— Wiedzieli o tym wszyscy. Przychodziłem często dowiadywać się o pani zdrowie i byłem rad, kiedy mi powiedziano, że pani czuje się lepiej.

— Nie otrzymałam ani razu pańskiej karty wizytowej.

— Nigdy jej nie zostawiałem.

— Więc to pan jest owym młodym człowiekiem, który przychodził co dzień dowiadywać się o stan mego zdrowia przez cały czas choroby, a nigdy nie chciał powiedzieć swego nazwiska?

— Tak, to ja.

— No, to jest pan więcej niż pobłażliwy, jest pan wspaniałomyślny. Pan, hrabio, nie byłby tego zrobił — dodała zwracając się do pana N., rzuciwszy przy tym na mnie jedno z tych spojrzeń, którymi kobiety uzupełniają swe zdanie o mężczyźnie.

— Ja znam panią zaledwie od dwóch miesięcy — odparł hrabia.

— A pan Duval zna mnie zaledwie od pięciu minut. Pan zawsze mówi głupstwa, gdyż uświadamiał sobie, iż jest tu niepotrzebny, a kobieta zniecierpliwiona wizytą tej żalosnej postaci.

Na widok Prudencji Małgorzata wstała i rzuciwszy jej spojrzenie pełne wdzięczności, podeszła do nas mówiąc:

— Witam panów.

— Dobry wieczór, drogi Gastonie — rzekła Małgorzata do mego towarzysza — cieszę się, że pana widzę. Czemu nie zajrzał pan do mojej łoży w Varietas?

— Obawiałem się, że popełnię nietakt.

— Znajomi — Małgorzata podkreśliła to słowo, chcąc jakby dać do zrozumienia obecnym, że mimo serdeczności powitania Gaston jest tylko zwykłym znajomym — znajomi nigdy nie są nietaktowni.

— Pozwoli pani, że jej przedstawię pana Armanda Duval?

— Upoważniłam już do tego Prudencję.

— Zresztą — rzekłem kłaniając się i starając się mówić jako tako wyraźnie — miałem już zaszczyt być pani przedstawiony.

Małgorzata patrzyła na mnie z takim wyrazem, jakby usiłowała mnie sobie przypomnieć, ale jej się to nie udało, lub udawała, że mnie sobie nie przypomina. Podjąłem więc:

— Jestem pani wdzięczny, że nie pamięta już pani tej pierwszej prezentacji: byłem wówczas bardzo śmieszny, a ponadto musiałem wydać się pani bardzo przykry. Było to dwa lata temu w Opéra-Comique, towarzyszył mi Ernest de...

— Najwyższy czas, abym poszedł do klubu. Małgorzata milczała. Hrabia, odrywając się wreszcie od kominka, podszedł do niej i powiedział:

— Do widzenia pani. Małgorzata wstała.

— Do widzenia, drogi hrabio. Już pan idzie?

— Tak, nie chciałbym pani nudzić.

— Nie nudzi mnie pan dziś więcej niż kiedykolwiek. Kiedy pan wpadnie?

— Kiedy pani pozwoli.

— No, to do widzenia!

Przyzna pan, że to było okrutne. Na szczęście, hrabia był dobrze wychowany i łagodnego usposobienia. Zadowolił się pocałowaniem ręki, którą Małgorzata podała mu dość niedbale i pożegnawszy nas wyszedł. Przystępując próg pokoju spojrzął na Prudencję. Ta wzruszyła ramionami, jakby chcąc powiedzieć: „Cóż pan chce, zrobiłam wszystko, co mogłam.”

— Nanine! — krzyknęła Małgorzata. — Poświęć panu hrabiemu.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Małgorzata zawołała:

— Nareszcie poszedł sobie! Ten chłopiec działa mi okropnie na nerwy.

— Moje drogie dziecko — powiedziała Prudencja — jest pani doprawdy zbyt okrutna wobec człowieka, który jest tak dobry i tak uprzejmy dla pani. Widzę, że znowu zostawił pani na kominku zegarek, który, jestem tego pewna, kosztował co najmniej tysiąc talarów.

Pani Duvernoy podeszła do kominka i zaczęła się bawić klejnotem, patrząc nań pożądliwie.

— Moja droga — Małgorzata siadła do fortepianu — kiedy kładę na jedną szalę to, co on mi daje, a na drugiej to, co mówi, uważam, że liczę mu za wizyty dość tanio.

— Biedaczek jest w pani zakochany.

Kobiety są bezlitosne w stosunku do tych, których nie lubią.

Hrabia poczerwieniał i przygryzł wargi. Uczułem litość dla niego, bo zdawał się być zakochany tak samb jak ja. Dotknięty szorstką uwagą Małgorzaty, musiał być tym bardziej nieszczęśliwy, że działa się to w obecności dwóch obcych ludzi.

— Kiedyśmy weszli, grała pani na fortepianie — rzekłem, aby zmienić temat rozmowy. — Będę rad, jeśli mnie pani potraktuje jak starego znajomego i zechce grać dalej.

— Och, Gaston wie, jak ja gram — opadła na kanapę, zapraszając nas ruchem ręki, byśmy usiedli. — To dobre wtedy, kiedy jesteśmy sam na sam z hrabią, ale panów nie chciałabym skazywać na podobną mękę.

— A więc w ten sposób wyróżnia mnie pani? — wtrącił hrabia N. z uśmiechem pełnym subtelnej ironii.

— Tylko w ten sposób. Niepotrzebnie robi mi pan z tego zarzut.

Biedny chłopiec był najwidoczniej skazany na milczenie. Odpowiedział więc tylko błagalnym spojrzeniem.

— No, jak tam, Prudencjo — podjęła Małgorzata — czy zrobiła pani to, o co prosiłam?

— Tak.

— To dobrze, opowie mi pani później. Nie wyjdzie pani stąd, dopóki o tym nie porozmawiamy.

— Jesteśmy zapewne niepotrzebni — powiedziałem. — Skoro zostaliśmy albo raczej zostałem pani przedstawiony po raz drugi, możemy zapomnieć o pierwszej nieudanej prezentacji. Wobec czego pożegnamy panią i pójdziemy.

— W żadnym razie. To, co powiedziałam, nie było przeznaczone dla panów. Przeciwnie, chcę, żeby panowie zostali.

Hrabia spojrział na swój piękny zegarek i rzekł:

— Gdybym miała słuchać tych wszystkich, co są we mnie zakochani, nie miałabym czasu na zjedzenie obiadu.

Przebiegłszy palcami po klawiaturze, zwróciła się do nas:

— Czego się panowie napiją? Bo ja mam ochotę na poncz.

— A ja bym chętnie skosztowała kurczaka — wtrąciła Prudencja. — Może byśmy zjedli kolację?

— Właśnie — powiedział Gaston — chodźmy na kolację.

— Nie, nie, zjemy kolację tutaj. Zadzwoń! Weszła Nanine.

— Poślij po kolację.

— Co mam zamówić?

— Wszystko, co zechcesz, tylko natychmiast, zaraz. Nanine wyszła.

— Świetnie! — zawołała Małgorzata podskakując jak dziecko. — Będziemy jedli kolację. Jakież ten durny hrabia jest nudny!

Im dłużej patrzyłem na tę kobietę, tym bardziej byłem nią oczarowany. Była zniewalająco piękna. Nawet szczupłość dodawała jej wdzięku.

Nie umiałbym wytłumaczyć tego, co działo się we mnie. Byłem pełen wyrozumiałości dla jej życia, pełen podziwu dla jej piękności. To, że odtrącała bogatego i wytwornego młodzieńca, mimo że gotów był zrujnować się dla niej, stanowiło dowód bezinteresowności, który przekreślał w moich oczach wszystkie jej minione grzechy.

Miała w sobie jakąś naiwną prostotę. Można by rzec, że znajdowała się u progu rozwiąłości. Jej pewny chód, giętka talia, różowe, rozchylone nozdrza, wielkie, lekko podkrążone oczy — wszystko to zdradzało naturę żarliwą, promieniującą obietnicą rozkoszy.

Wreszcie — dar natury czy też skutek choroby — oczy tej kobiety migotały raz po raz błyskami pragnień, których wyładowanie byłoby cudownym objawieniem dla tego, kogo chciałyby pokochać. Ale ci, co kochali Małgorzatę, już się nie liczyli, a ci, których by ona kochała, jeszcze nie istnieli.

Krótko mówiąc, łatwo było zobaczyć w niej dziewczycę, z której jakiś przypadek uczynił kurtyzanę; przypadek również mógł uczynić z niej najbardziej kochającą i czystą istotę. Była jeszcze w Małgorzacie duma i niezawisłość: uczucia, które, urażone, mogą zastąpić wstydlivość.

Nie mówiłem nic, cała moja dusza skupiła się jakby w sercu, a serce — w oczach.

— A więc — podjęła nagle — to pan przychodził dowiadywać się o mnie, kiedy byłam chora?

— Tak.

— Czy wie pan, że to bardzo piękne? Co mam uczynić, aby panu podziękować?

— Pozwolić mi odwiedzać panią co pewien czas.

— Ależ kiedy pan zechce: między piątą a szóstą i jedenastą a dwunastą w nocy. Gastonie, proszę mi zagrać *Zaproszenie do walca*.

— Dlaczego?

— Aby mi zrobić przyjemność, no i dlatego, że sama nie potrafię tego zagrać.

— Co pani sprawia trudność?

— Trzecia część, pasaż z krzyżkami.

Gaston wstał, siadł przy fortepianie i zagrał cudowną melodię Webera, której nuty leżały otwarte na pulpicie.

Małgorzata, z ręką opartą o fortepian, wpatrywała się w zeszyt, śledząc każdą nutę i wtórując półgłosem. Kiedy Gaston doszedł do pasażu o którym wspomniała, zaczęła nucić i wystukiwać melodię palcami na wieku fortepianu.

— Re, mi, re, do, re, fa, mi, re, tego właśnie nie potrafię. Niech pan zacznie od początku.

Gaston usłuchał, po czym Małgorzata rzekła:

— A teraz ja spróbuję.

Zajęła jego miejsce i zaczęła grać, ale jej odporne palce myliły się ciągle przy tej samej nucie.

— Nie do uwierzenia — zawołała dziecinnym tonem

— abym nie potrafiła zagrać tego pasażu! Czy uwierzycie, że czasem ślęcę nad nim aż do drugiej w nocy. Kiedy pomyślę, że ten głupi hrabia gra go bez nut, i to wspaniale, zaczynam się wściekać i dlatego, sędzę, nic znoszę go.

Zagrała od nowa, ale ciągle z tym samym skutkiem

— Niech diabli wezmą Webera, muzykę i fortepiany

— zawołała, ciskając nuty w kąt pokoju. — Nie do pojęcia, abym nie umiała zagrać tego pasażu na czarnych klawiszach.

I skrzyżowała ręce, patrząc na nas i tupiąc nogą. Na jej policzkach pojawiły się wypieki, usta rozchyliły się w lekkim kaszlu.

— Ależ, Małgorzato — rzekła Prudencja, która zdjawszy kapelusz poprawiała sobie włosy przed lustrem — znowu się pani denerwuje, a przecież to pani szkodzi. Chodźmy lepiej na kolację, umieram z głodu.

Małgorzata zadzwoniła ponownie, po czym siadła do fortepianu i zaśpiewała półgłosem frywolną piosenkę, w której akompaniamencie nie robiła już błędów.

Gaston znał tę piosenkę, utworzyli więc coś w rodzaju duetu.

— Niechże pani nie śpiewa takich sprośności! — powiedziałem poufałym, błagalnym tonem.

— Och, jakież pan cnotliwy — z uśmiechem podała mi rękę.

— Nie chodzi o mnie, chodzi o panią.

Małgorzata uczyniła taki gest, jakby chciała powiedzieć: „Och, z cnotą to ja już dawno skończyłam.”
Weszła Nanine.

— Czy kolacja jest gotowa? — zapytała Małgorzata.

— Tak, proszę pani, za chwilę.

— Ale nie widział pan przecież apartamentu — powiedziała do mnie Prudencja, — Chodźmy, pokażę go panu.

Małgorzata towarzyszyła nam krótko, po czym wraz z Gastonem przeszła do jadalni, aby zobaczyć,

czy kolacja gotowa.

— Co widzę! — Prudencja spostrzegła na etażerze figurkę z saskiej porcelany. — Nie wiedziałam, że ma pani tego chłopaczka.

— Jakiego chłopaczka?

— Pastuszka trzymającego w ręku klatkę z ptaszkiem.

— Jeżeli się pani podoba, niech go pani sobie weźmie.

— Ach, nie będę pani ograbiać.

— Chciałam go dać mojej pokojówce, uważam, że jest okropny. Ale skoro się pani podoba, proszę go sobie wziąć.

Prudencja widziała tylko prezent, a nie zdawała sobie sprawy ze sposobu, w jaki został jej zaofiarowany. Odłożyła więc chłopaczka już jako swoją własność i zaprowadziła mnie do gotowalni, gdzie pokazała mi dwie miniatury, stanowiące parę.

— To jest hrabia G., który był w Małgorzacie bardzo zakochany. To on zapewnił jej pozycję. Zna go pan?

— Nie. A ten? — zapytałem wskazując drugą miniaturę.

— To wicehrabia L. Ten zmuszony był wyjechać.

— Dlaczego?

— Dlatego że był prawie zrujnowany. On naprawdę kochał Małgorzatę!

— I ona go też chyba kochała.

— To dziwna dziewczyna, z nią nigdy nic nie wiadomo. Wieczorem tego dnia, kiedy wicehrabia wyjechał, była jak zwykle w teatrze, a przecież w chwili jego odjazdu — płakała.

W drzwiach ukazała się Nanine, oznajmiając, że kolacja jest podana.

Kiedy weszliśmy do jadalni, Małgorzata stała oparta o ścianę, a Gaston, trzymając ją za rękę, mówił coś do niej szeptem.

— Oszalał pan — odpowiadała mu Małgorzata. — Wie pan dobrze, że ja nie chcę pana. Z taką kobietą jak ja nie zwleka się dwa lata, aby w końcu zostać jej kochankiem. My oddajemy się natychmiast albo nigdy... Panowie, siadamy do stołu.

I wyrwawszy się z rąk Gastona posadziła go po swojej prawej ręce, mnie po lewej, po czym rzekła do Nanine:

— Zanim usiądziesz, powiedz tam w kuchni, aby nie otwierano nikomu.

To polecenie było wydane o pierwszej po północy.

W ciągu kolacji dużo się jadło i piło, dużo było śmiechu. Upłynęło niewiele czasu, gdy wesołość osiągnęła szczyt, żarty stawały się coraz mniej wybredne: co chwila rozlegały się słowa, które w pewnym środowisku uważane są za dowcipne, a które zawsze kalają wymawiające je usta. Słowa te budziły hałaśliwy poklask Nanine, Prudencji i Małgorzaty. Gaston bawił się znakomicie. Ten chłopiec o czułym sercu miał jednakże umysł nieco spaczony przez przedwcześnie nabyte przyzwyczajenia. W pewnej chwili chciałem zapomnieć o wszystkim, zobojętnieć na to, co miałem przed oczyma i wziąć udział w wesołości, która była jakby jednym z dań tej uczy. Ale z wolna wyosobniłem się z hałasu, szklanka moja stała wciąż nie tknięta, zapadałem nieomal w smu tek na widok pięknej dwudziestoletniej istoty, która piła i wyrażała się jak tragarz, i śmiała się tym głośniej, im bardziej skandaliczne było to, co mówiono.

Jednakże humor, sposób mówienia i picia, które u innych biesiadników mogły wynikać z rozpasania czy nawyków, u Małgorzaty zdawały się wypływać z potrzeby zapomnienia, gorączki, nerwowej drażliwości. Po każdym kielichu szampana jej policzki pokrywał rumieniec gorączki, i kaszel, który na początku kolacji był nieznaczny, stawał się na tyle silny, że musiała przechylać głowę w tył na

oparcie krzesła i ścisnąć rękoma piersi.

Wreszcie stało się coś, co przewidywałem i czego się obawiałem. Pod koniec kolacji Małgorzatę chwycił atak kaszlu silniejszy niż poprzednie. Kaszel jak gdyby rozdzierał jej piersi, stała się purpurowa, powieki jej zacisnęły się z bólu, serwetka, którą przyłożyła do ust, zabarwiła się krwią. Wstała i pobiegła do gotowalni.

— Co się dzieje z Małgorzatą? — zapytał Gaston.

— Za dużo się śmiała i teraz pluje krwią — odrzekła Prudencja. — Och, to nic, to jej się zdarza co dzień. Zaraz wróci. Nie przeszkadzajmy jej, ona woli być sama.

Ale ja nie mogłem usiedzieć na miejscu i ku wielkiemu zdumieniu Prudencji i Nanine, które mnie powstrzymywały, poszedłem za Małgorzatą.

Pokój, w którym się schroniła, był oświetlony jedną świecą stojącą na stole. Małgorzata leżała na szerokiej kanapie, w rozpiętej sukni. Jedna jej ręka spoczywała na sercu, druga zwisała bezwładnie. Na stole stała srebrna miska do połowy wypełniona wodą, zabarwiona cienkimi strużkami krwi. Bardzo blada, Małgorzata z trudem chwytała oddech. Chwilami jej pierś wzbierała długim westchnieniem, które sprawiało jej jakby pewną ulgę, dawało na kilka sekund uczucie błogości. Gdy zbliżyłem się do niej, nie uczyniła żadnego ruchu. Usiadłem i ująłem jej rękę zwisającą z kanapy.

— Ach, to pan? — rzekła z uśmiechem.

Byłem wstrząśnięty, co musiało odbić się na mojej twarzy, gdyż dodała:

— Czy pan także jest chory?

— Nie, ale pani... czy ciągle jeszcze źle się pani czuje?

— O wiele lepiej — i chusteczką otarła łzy, jakie kaszel wycisnął jej z oczu. — Jestem już teraz do tego przyzwyczajona.

— Sama się pani zabija — powiedziałem wzruszonym głosem. — Chciałbym być przyjacielem pani, krewnym, aby nie pozwolić pani tak samej siebie krzywdzić.

— Ach, doprawdy, nie warto, aby się pan mną przejmował! — odparła tonem nie pozbawionym goryczy. — Widzi pan, inni nie zajmują się mną, bo wiedzą, że na tę chorobę nie ma rady.

Wstała, wzięła świecę i postawiwszy ją na kominku przejrzała się w lustrze.

— Jakże jestem biadał — rzekła zapinając suknię i przyglądając palcami zwichrzone włosy. — A, co tam, wracajmy do stołu. Idzie pan?

Ale siedziałem nieporuszony.

Zdała sobie sprawę, jak bardzo wzruszyła mnie ta scena, gdyż podeszła do mnie i podając mi rękę, powiedziała:

— No, proszę iść.

Wziąłem jej rękę i podniósłszy do ust, zwilżyłem ją mimo woli dwiema długo tłumionymi łzami.

— Ależ dzieciak z pana! — rzekła siadając obok mnie. — Teraz pan znowu płacze! Co panu jest?

— Wyglądam chyba głupio, ale to, co widziałem, sprawiło mi okropny ból.

— Dobry pan sobie! Czegóż pan chce? Nie mogę spać, muszę się więc trochę rozerwać. Poza tym, takie kobiety jak ja, jedna więcej, jedna mniej, czy to ma jakieś znaczenie?... Lekarze mówią, że to, czym pluję, jest krwią z oskrzeli. Udaję, że im wierzę, to wszystko, co mogę dla nich zrobić.

— Niech pani posłucha, Małgorzato — powiedziałem z niepowstrzymaną wylewnością. — Nie wiem, jaką rolę odegra pani w moim życiu, ale wiem, że w tej chwili nikt na świecie, nawet moja siostra nie obchodzi mnie tak jak pani. I tak jest od chwili, kiedy panią ujrzałem. Otóż, na Boga, niechże się pani leczy, niech pani nie żyje tak jak dotychczas.

— Gdybym się leczyła, byłabym już umarła. Co mnie właśnie podtrzymuje, to gorączkowe życie, jakie prowadzę. Poza tym, leczyć się — to dobre dla pań z towarzystwa, które mają rodzinę i przyjaciół. Ale my, skoro tylko nie możemy już dogadzać próżności lub zachciankom naszych kochanków, zostajemy same, a wtedy po długich dniach następują długie wieczory. Wiem o tym dobrze, leżałam dwa miesiące w łóżku. Po pierwszych trzech tygodniach przestano mnie w ogóle odwiedzać:

— Jestem dla pani niczym, to prawda, ale gdyby pani chciała, pielęgnowałbym panią jak brat, nie

opuszczałbym ani na chwilę i w końcu wyleczyłbym panią. A potem, w miarę sił i chęci, mogłaby pani rozpocząć na nowo życie, jakie pani obecnie prowadzi. Ale, jestem pewien, będzie pani wolała egzystencję spokojną, która da pani szczęście i zachowa pani urodę.

— Myśli pan tak dzisiaj, bo wino wprawiło pana w smutny nastrój, ale nie starczy panu cierpliwości, którą się pan przechwala.

— Pozwoli pani sobie powiedzieć, Małgorzato, że była pani chora przez dwa miesiące i przez te dwa miesiące przychodziłem co dzień, aby się dowiedzieć o pani zdrowie.

— To prawda. Ale czemu nie wchodził pan na górę?

— Dlatego że wówczas nie znałem pani.

— Czy trzeba się liczyć z taką dziewczyną jak ja?

— Z kobietą zawsze trzeba się liczyć, takie jest przynajmniej moje zdanie.

— A więc chciałby mnie pan pielęgnować?

— Tak.

— I dzień w dzień przebywać obok mnie?

— Tak.

— Nawet w nocy?

— Tak długo, dopóki nie znudziłbym się pani.

— Jak pan to nazywa?

— Oddaniem.

— A skąd się bierze to oddanie?

— Z nieprzeartej sympatii, jaką dla pani czuję.

— A więc jest pan we mnie zakochany? Proszę to powiedzieć od razu, tak będzie prościej.

— Możliwe. Ale jeśli mam to pani powiedzieć, to jeszcze nie dzisiaj.

— Lepiej będzie, jeśli pan tego nie powie nigdy.

— Dlaczego?

— Dlatego że z tego wyznania mogą wyniknąć tylko dwie rzeczy.

— Jakie?

— Albo odrzucę pana względy, a wówczas będzie mi to pan miał za złe, albo przyjmę, a wówczas będzie pan miał smutną kochankę. Kobieta nerwowa, chora i smutna albo wesoła tak, że jej wesołość jest smutniejsza od zmartwienia, kobieta, która pluje krwią i wydaje sto tysięcy franków rocznie — to dobre dla takiego bogatego starca jak książę, ale dla młodzieńca takiego jak pan — raczej przykre. Najlepszy dowód, że wszyscy młodzi kochankowie, jakich miałam, opuścili mnie bardzo szybko. Nie odzywałem się słowem, słuchałem. Szczerość, która podyktowała to wyznanie, nieszczęsne życie, jakie dostrzegłem poprzez okrywającą je złotą zasłonę, życie, od którego biedna dziewczyna uciekała w rozpustę i pijaństwo — wszystko to tak na mnie podziałało, że nie mogłem powiedzieć ani słowa.

— Co tam — podjęła Małgorzata — gadamy tu głupstwa. Proszę mi podać rękę, wracamy do jadalni. Nikt nie powinien wiedzieć, co oznacza nasza nieobecność.

— Niech pani wraca, jeśli pani sobie tego życzy, ja jednak proszę o pozwolenie pozostania tutaj.

— Dlaczego?

— Dlatego że wesołość pani sprawia mi ból.

— No, to będę smutna.

— Małgorzato, niech pani pozwoli sobie powiedzieć pewną rzecz, którą mówiono pani chyba często, tak często, że trudno będzie pani w nią uwierzyć, rzecz jednakże prawdziwą, której nigdy już nie powtórzę.

— Co to znaczy?... — rzekła z uśmiechem, z jakim młode matki słuchają nedorzecznych opowiadań

swych dzieci.

— To znaczy, że od chwili kiedy panią ujrzałem, nie wiem jak i dlaczego, zajęła pani trwałe miejsce w moim życiu. Na próżno staram się wyrzucić z pamięci obraz pani, który ciągle ożywa w moich myślach. To znaczy, że dzisiaj, kiedy panią spotkałem po dwóch latach niewidzenia, bardziej jeszcze zawładnęła pani moim sercem i umysłem. To znaczy wreszcie, że teraz, kiedy przyjęła mnie pani u siebie, kiedy panią znam i wiem już, co w pani jest niecodziennego, nie mógłbym żyć bez pani, i że oszalałbym nie tylko wtedy, gdyby pani mnie nie pokochała, ale także, gdyby pani nie pozwoliła się kochać.

— Ależ, nieszczęśniku, powiem panu to, co powiedziała pani D.: jest pan więc bogaty! Bo czyż nie wie pan, że wydaję sześć albo siedem tysięcy franków miesięcznie i że nie mogłabym się wyrzec tej sumy. Czyż nie wie pan, mój biedny przyjacielu, że zrujnowałabym pana w krótkim czasie i że rodzina musiałaby pana ubezwłasnowolnić za chęć obcowania z takim stworzeniem jak ja. Niech mnie pan kocha jak dobry przyjaciel, ale w żaden inny sposób. Niech mnie pan odwiedza, będziemy się śmiali i gawędzili, ale niech pan nie przecenia mojej wartości, bo jestem niewiele warta. Ma pan dobre serce, pragnie pan być kochany, jest pan zbyt młody i zbyt wrażliwy, aby móc żyć w naszym świecie. Niech pan sobie weźmie mężatkę. Widzi pan, jestem szczerą i mówię z panem otwarcie.

— Ach, cóż, u diabła, tu robicie? — zawołała Prudencja, która nieoczekiwanie stanęła w drzwiach pokoju, na wpół rozczochrana, w rozpiętej sukni. Poznałem w tym nieładzie rękę Gastona.

— Mówimy o rzeczach poważnych — rzekła Małgorzata. — Proszę nas jeszcze zostawić samych, wrócimy do was za chwilę.

— Dobrze, dobrze, gawędźcie sobie, moje dzieci — Prudencja wychodząc zamknęła za sobą drzwi tak, jakby chciała podkreślić swe ostatnie słowa.

— A więc, zgoda? — podjęła Małgorzata, gdyśmy zostali sami. — Nie będzie mnie pan kochał?

— Wyjadę.

— Aż tak?...

Posunąłem się za daleko, by móc się cofnąć, zresztą byłem głęboko poruszony. Mieszanina humoru, smutku, naiwności, nawet choroba, która musiała zaostrzyć jej wrażliwość i pobudliwość nerwową, wszystko to uprzytomniło mi, że jeśli od razu nie zapanuję nad tą lekkomyślną naturą, wszystko będzie dla mnie stracone.

— Jak to, więc mówi pan serio? — powiedziała Małgorzata.

— Najzupełniej serio.

— Czemu nie powiedział mi pan tego wcześniej?

— Kiedy miałem pani to powiedzieć?

— Zaraz następnego dnia, jak zostałem mi pan przedstawiony w Opéra-Comique.

— Sądzę, że gdybym panią odwiedził, na le by mnie pani przyjęła.

— Dlaczego?

— Dlatego że poprzedniego dnia zachowałem się głupio.

— To prawda. A przecież już wtedy kochał mnie pan?

— Tak.

— Co nie przeszkodziło panu, zaraz po spektaklu, położyć się do łóżka i spokojnie spać. Wiemy już, co warte są te tak zwane wielkie miłości.

— Otóż, myli się pani. Wie pani, co robiłem po przedstawieniu w Opéra-Comique?

— Nie.

— Czekałem na panią pod drzwiami „Café Anglais”. Pojechałem za powozem, do którego wsiadła pani i trzej pani znajomi, a kiedy zobaczyłem, że wysiada pani sarnia i sama wraca do domu, byłem

bardzo szczęśliwy.

Małgorzata roześmiała się.

— Z czego się pani śmieje?

— Z niczego.

— Niechże pani powie, błagam panią, bo w przeciwnym razie pomyślę, że pani kpi sobie ze mnie.

— Nie pogniewa się pan?

— Jakim prawem miałbym się gniewać?

— A zatem, był poważny powód, dla którego wróciłam sama.

— Jaki?

— Ktoś czekał tu na mnie.

Nie sprawiłaby mi większego bólu, gdyby mi była zadała cios nożem. Wstałem i podając jej rękę powiedziałem:

— Żegnam.

— Wiedziałam, że pan się pogniewa. Mężczyźni ze wściekłym uporem chcą dowiedzieć się tego, co musi im sprawić przykrość.

— Ależ zapewniam panią — wtrąciłem chłodno, jak gdybym chciał dowieść, że jestem na zawsze uleczony ze swojej namiętności — zapewniam panią, że się wcale nie gniewam. Było całkiem naturalne, że ktoś na panią czekał, jak jest całkiem naturalne, że wychodzę stąd o trzeciej nad ranem.

— Czy i pan ma kogoś, kto czeka na pana w domu?

— Nie, ale muszę odejść.

— No, to żegnam.

— Wyprasza minie pani?

— Bynajmniej.

— Dlaczego mnie pani dręczy?

— Czymże to dręczę pana?

— Powiada pani, że ktoś na panią czekał.

— Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu na myśl, że był pan aż tak szczęśliwy widząc, że wracam sama, podczas gdy był po temu inny powód.

— Czasem byle głupstwo może sprawić radość, i trzeba być okrutną, aby ją zniszczyć, kiedy można nią kogoś uszczęśliwić.

— Ależ za kogo pan mnie ma? Nie jestem ani dziewczicą, ani księżniczką. Poznałam pana dopiero dzisiaj i nie winnam panu żadnego sprawozdania z moich czynów. Jeśli nawet założymy, że zostanę kiedyś pańską ko chanką, to musi pan przecież wiedzieć, że miałam innych kochanków poza panem. Jeżeli już teraz, przed faktem, robi mi pan sceny zazdrości, to cóż dopiero będzie potem, o ile to „potem” nastąpi! Nigdy nie widziałam takiego mężczyzny jak pan.

— To dlatego, że nikt nigdy nie kochał pani tak jak ja.

— No, więc bądźmy szczerzy. Czy naprawdę mnie pan kocha?

— Myślę, że tak... jak tylko można kochać.

— I odkąd to trwa?

— Od tego dnia, kiedy trzy lata temu ujrzałem panią wysiadającą z powozu i wchodzącą do magazynu Susse'a.

— Czy wie pan, że to bardzo piękne? No, więc co mam uczynić, aby się odwdzińczyć za tę wielką miłość?

— Pokochać mnie choć trochę — odrzekłem z takim biciem serca, że ledwie mogłem mówić. Mimo

jej półdrwiących uśmiezków, towarzyszących całej tej rozmowie, zaczęło mi się wydawać, iż Małgorzata dzieli moje wzruszenie i że zbliżam się do od dawna oczekiwanej chwili.

— No, a książkę?

— Jaki książkę?

— Mój stary zazdrośnik.

— Nic nie będzie wiedział.

— A jeśli się dowie?

— Przebaczy pani.

— Ej, nie! Zerwie ze mną i co wtedy pocznę?

— A przecież jest już ktoś, dla kogo naraża się pani na to zerwanie.

— Skąd pan o tym wie?

— Słyszałem pani polecenie, aby nikogo nie wpuszczać tej nocy.

— To prawda. Ale to jest przyjaciel serio.

— Na którym pani wcale wie zależy, skoro zabrania mu pani wstępu o tej godzinie.

— Nie może mi pan robić z tego zarzutu, bo przecież uczyniłam to, aby przyjąć pana i pańskiego przyjaciela.

Z wolna zbliżyłem się do Małgorzaty, objąłem ją w pół i poczułem ciężar jej wiotkiego ciała na moich rękach.

— Gdyby pani wiedziała, jak bardzo panią kocham! — powiedziałem szeptem.

— Naprawdę?

— Przysięgam pani!

— No, to jeśli mi pan przyrzeknie, że będzie pan spełniał wszystkie moje życzenia bez słowa sprzeciwu czy wyrzutu, bez jakichkolwiek pytań, może pana pokocham.

— Przyrzekam wszystko, co pani zechce!

— Ale uprzedzam, chcę mieć swobodę robienia tego, co mi się spodoba, nie wtajemniczając pana w żaden szczegół mojego życia. Od dawna już szukam kochanka młodego, pozbawionego woli, który by kochał bez nieufności i był kochany bez specjalnych praw. Nigdy nie mogłam takiego znaleźć. Mężczyźni, zamiast zadowalać się tym, że mają przez długi czas to, co mogliby otrzymać za ledwie jeden raz, żądają od swej kochanki sprawozdań z teraźniejszości, przeszłości, a nawet przyszłości. W miarę jak przywykają do kochanki, chcą nad nią zapanować i stają się coraz bardziej wymagający, gdyż daje im wszystko, czego pragną. Jeżeli decyduję się teraz na nowego kochanka, chcę, aby miał trzy rzadkie zalety: aby był ufny, uległy i dyskretny.

— Będę taki, jakim pragnie mnie pani widzieć!

— Zobaczymy.

— Kiedy?

— Później.

— Dlaczego?

— Dlatego że — Małgorzata, wywinąwszy się z moich objęć, wyciągnęła z dużego bukietu czerwonych kamelii jeden kwiat i wpięła mi go w butonierkę — dlatego że nie należy spłacać weksła tego samego dnia, kiedy go się podpisało. To chyba łatwo zrozumieć.

— A kiedy panią znowu zobaczę? — zapytałem, znów ściskając ją w ramionach.

— Kiedy zmieni się kolor tej kamelii.

— A kiedy to nastąpi?

— Jutro między jedenastą a dwunastą w nocy. Jest pan zadowolony?

— Pyta mnie pani o to?

— Ani słowa o tym wszystkim: ani pańskiemu koledze, ani Prudencji, ani komukolwiek bądź.

— Przyrzekam!

— A teraz proszę mnie pocałować i wracamy do jadalni.

Podawała mi usta, przyglądała włosy i wyszliśmy z pokoju — ona śpiewając, ja — na wpół oszalały. W salonie zatrzymała się i powiedziała mi szeptem:

— Wydaje się panu chyba dziwne, że jestem jakby gotowa oddać się panu natychmiast. Wie pan, dlaczego tak jest?

I kładąc mi rękę na swej piersi, pod którą wyczułem gwałtowne i szybkie bicie serca, dodała:

— Dlatego że mając żyć krócej niż inni, postanowiłam żyć szybciej.

— Niech pani tak nie mówi, błagam panią!

— Och, niech się pan pocieszy — podjęła ze śmiechem. — Jakkolwiek krótko będę żyła, na pewno przeżyję pańską miłość.

I śpiewając weszła do jadalni.

— Gdzie jest Nanine? — zapytała, widząc, że Gaston i Prudencja są sami.

— Zasnęła w pani pokoju, czekając, aż się pani położy — odrzekła Prudencja.

— Nieszczęsna! Zabiję ją! No, panowie, proszę sobie iść, najwyższy czas.

Po dziesięciu minutach Gaston i ja staliśmy już przy drzwiach. Małgorzata uścisnęła mi rękę na pożegnanie i została sama z Prudencją.

— No, więc — zapytał Gaston, kiedyśmy wyszli — co pan powie o Małgorzacie?

— To anioł. Szaleję za nią.

— Domyślałem się tego. Powiedział jej pan o tym? — Tak

— I uwierzyła panu?

— Nie.

— To nie tak jak Prudencja.

— A ta zgodziła się?

— Zrobiła o wiele więcej, mój drogi! Któż by przypuszczał, że ona jest jeszcze do rzeczy, ta gruba Duver-noy!

W tym miejscu Armand przerwał swą opowieść.

— Czy zechce pan zamknąć okno? — powiedział. — Czuję, że robi się chłodno. Ja tymczasem się położę.

Zamknąłem okno. Armand, który był jeszcze bardzo słaby, zdjął szlafrok i położył się do łóżka, osuwając głowę na poduszkę, jak człowiek znużony długim marszem albo trawiony bolesnymi wspomnieniami.

— Może za dużo pan mówił — rzekłem. — Czy nie woli pan, abym sobie poszedł i pozwolił panu zasnąć? Opowie mi pan innym razem koniec tej historii.

— Nudzę pana?

— Przeciwnie.

— No, to będę mówił dalej. Nie zasnę, jeśli zostanę sam.

— Kiedy wróciłem do siebie — podjął Armand — nie odczułem potrzeby zebrania myśli, tak bardzo wszystkie szczegóły były żywe w mojej pamięci. Nie położyłem się, ale zacząłem się zastanawiać nad tym, co zaszło owego dnia. Spotkanie, prezentacja, zobowiązania Małgorzaty wobec mnie — wszystko to było tak szybkie, tak niespodziewane, iż chwilami wydawało mi się, że śnię. A przecież nie po raz pierwszy zdarzało się, że dziewczyna taka jak Małgorzata przyrzekała spełnić życzenie mężczyzny nazajutrz po pierwszej z nim rozmowie.

Daremne jednak były te perswazje: silniejsze od nich było pierwsze wrażenie, jakie wywarła na mnie moja przyszła kochanka. Uparcie starałem się widzieć w niej dziewczynę niepodobną do innych i, próżny jak wszyscy mężczyźni, wmawiałem sobie, że ona odwzajemnia mój niepowstrzymany do niej pociąg.

A przecież miałem przed oczyma przykłady całkowicie odmienne, słyszałem nieraz, że miłość Małgorzaty jest towarem mniej lub więcej droгим, zależnie od sezonu.

Ale jak z drugiej strony pogodzić tę reputację z uporczywym lekceważeniem młodego hrabiego, którego spotkaliśmy u niej? Powie pan, że hrabia jej się nie podobał, a ponieważ książe był tym, który hojną ręką dawał na jej utrzymanie, wolała w roli drugiego kochanka kogoś kto by się jej podobał. Czemu więc odtrąciła miłego, dowcipnego i bogatego Gastona i wydawała się łaskawa dla mnie, który tak ośmieszyłem się w jej oczach pierwszego dnia, kiedy mnie zobaczyła?

Są, co prawda, króciutkie chwile, które mają większą wagę niż zabiegi całego roku.

Spośród uczestników kolacji ja jeden zaniepokoiłem się, gdy odeszła od stołu. Poszedłem za nią, byłem tak poruszony, że nie można było tego nie zauważyć. Płakałem całując jej rękę. Ta okoliczność oraz wizyty, jakie składałem jej co dzień przez dwa miesiące choroby, mogły sprawić, że widziała we mnie innego człowieka, różniącego się od tych, których znała dotąd. Być może powiedziała sobie, że dla miłości okazanej w ten sposób może przecież zrobić to, co robiła już tyle razy, gdy nie pociągało to za sobą żadnych konsekwencji.

Wszystkie te przypuszczenia, jak pan widzi, były prawdopodobne. Ale jakikolwiek byłby powód jej zgody, jedna rzecz była pewna: to, że się zgodziła.

Otóż, byłem zakochany w Małgorzacie, miałem ją osiąść, nie mogłem wymagać niczego więcej. Jednakże, choć miałem do czynienia z dziewczyną lekkich obyczajów, tak już przywykłem do myśli, iż miłość ta jest miłością beznadziejną, że im bliższa była chwila, w której nadzieja miała się spełnić, tym bardziej popadałem w zwątpienie.

Nie zmrużyłem oka przez całą noc.

Nie poznawałem samego siebie. Byłem bliski szaleństwa. Chwilami wydawało mi się, że nie jestem ani dość przystojny, ani dość bogaty, ani dość elegancki, aby posiadać taką kobietę. Chwilami ulegałem próżności na myśl o takiej zdobyczy. Potem znowu zaczynałem się lękać, czy nie jestem dla Małgorzaty jednodniowym kaprysem, i przeczuwając klęskę nagłego zerwania, mówiłem sobie, że zrobiłbym może lepiej, gdybym nie poszedł do niej wieczorem, gdybym wyjechał, napisawszy jej uprzednio o moich obawach. I zaraz potem puszczałem wodze nadziejom bez granic, ufności bez kresu. Oddawałem się fantastycznym marzeniom o przyszłości: mówiłem sobie, że uzdrowię tę dziewczynę fizycznie i moralnie, że spędzę z nią całe życie i że jej miłość da mi więcej szczęścia aniżeli jakiejś niewinnej istoty.

Nie umiałbym wreszcie odtworzyć nawału myśli, które wstrząsały moim umysłem. Zgasły one powoli, gdy już w świetle dnia zapadałem w sen.

Obudziłem się o drugiej po południu. Pogoda była wspaniała. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek życie wydawało mi się równie piękne i pełne. Wspomnienia z poprzedniego dnia stały się mniej ponure, otaczał je jasny wieniec nadziei. Ubrałem się szybko. Byłem zadowolony, czułem się zdolny do najświetniejszych czynów. Serce skakało mi z radości i nadmiaru uczucia. Nurtowała mnie słodka gorączka. Nie przejmowałem się już sprawami, które zaprzętały moją uwagę, nim zasnąłem. Widziałem tylko rezultat, myślałem tylko o chwili, kiedy znowu zobaczę Małgorzatę.

Nie mogłem usiedzieć w domu. Pokój wydawał mi się za mały, aby móc pomieścić moje szczęście. Wyszedłem.

Udałem się na ulicę d'Antin. Powozik Małgorzaty stał przed bramą. Skierowałem się w stronę Pól Elizejskich. Kochałem wszystkich napotkanych ludzi, znanych czy nieznanymi.

Jakże miłość czyni człowieka dobrym!

Po godzinie spaceru od rzeźby w Marly do placu i z powrotem zobaczyłem z daleka powóz Małgorzaty. Nie rozpoznałem go, raczej zgadłem, że to jej powóz.

W chwili kiedy miał już skręcić za róg Pól Elizejskich, kazała go zatrzymać. Jakiś wysoki młodzieniec odłączył się od grupy, w której stał rozmawiając i podszedł do powozu, aby zamienić kilka słów z Małgorzatą.

Rozmowa trwała parę minut. Młodzieniec powrócił do swoich znajomych, konie ruszyły, ja zaś, zbliżywszy się do grupy, poznałem w tym, który rozmawiał z Małgorzatą, hrabiego G. Był to ów hrabia G., którego por tret widziałem i któremu, wedle słów Prudencji, Małgorzata zawdzięczała swą pozycję. Ten sam, którego w przeddzień nie kazała wpuszczać do swego domu. Domyśliłem się, że zatrzymała powóz, aby się przed hrabią z tego wytłumaczyć i jednocześnie znaleźć pretekst, aby nie przyjąć go nocy następnej.

Nie wiem, jak minęła reszta dnia. Chodziłem, paliłem, rozmawiałem, ale o dziesiątej wieczór nie pamiętałem już, ani co mówiłem, ani kogo spotykałem. Przypominam sobie jedynie, że wróciłem do domu, że spędziłem trzy godziny przy toalecie i że setki razy spoglądałem to na mój zegarek, to na zegar ścienny, które na nieszczęście były całkowicie z sobą zgodne.

Dokładnie o wpół do dziesiątej powiedziałem sobie, że trzeba iść.

Mieszkałem wówczas przy ulicy Provence. Miąłem ulicę Mont-Blanc, przeciąłem bulwar, poszedłem ulicami Louis-le-Grand i Port-Mahon i dotarłem do ulicy d'Antin. Spojrzałem w okna Małgorzaty. Zobaczyłem światło. Zadzwoiłem. Zapytałem odzwiernego, czy panna Gautier jest w domu. Odpowiedział mi, że nigdy nie wraca przed jedenastą albo jedenastą piętnaście.

Spojrzałem na zegarek. Zdawało mi się, że szedłem powolutku, a okazało się, że drogę od ulicy Provence do Małgorzaty przebyłem w pięć minut. Zacząłem tedy spacerować po bezludnej o tej porze ulicy.

Po upływie pół godziny Małgorzata nadjechała. Wsiadając z powozu rozglądała się wokół, jak gdyby kogoś szukając.

Powóz odjechał wolno. Stajnia i wozownia mieściły się gdzie indziej. W chwili kiedy Małgorzata miała już zadzwonić, podszedłem do niej i powiedziałem:

— Dobry wieczór.

— Ach, to pan? — odrzekła tonem, który nie świadczył o tym, aby mój widok był dla niej zbyt przyjemny.

— Czy nie pozwoliła mi pani złożyć sobie dzisiaj wizyty?

— Prawda! Zapomniałam.

Słowo to niweczyło wszystkie moje rozmyślenia poranne, wszystkie nadzieje dnia. Jednakże zacząłem się już przyzwyczajać do jej manier i nie pożegnałem jej, jak bym to uczynił dawniej.

Weszliśmy. Nanine otworzyła już drzwi.

— Czy Prudencja jest w domu? — zapytała Małgorzata.

— Nie, proszę pani.

— Idź i powiedz, żeby przyszła do mnie, jak tylko wróci. Przedtem zgaś lampę w salonie, a gdyby ktokolwiek przyszedł, powiedz, że mnie nie ma.

Była widocznie czymś zatroskana, a może zniecierpliwiona czyjąś natarczywością. Nie wiedziałem, jaką mam zrobić minę ani co powiedzieć. Małgorzata skierowała się do sypialni. Ja nie ruszałem się z miejsca.

— Proszę, niech pan pójdzie ze mną.

Zdjęła kapelusz i aksamitny płaszcz i rzuciła je na łóżko, po czym osunęła się na wielki fotel stojący koło kominka, w którym ogień palił się do początku lata. Bawiąc się łańcuszkiem zegarka rzekła:

— No i co mi pan powie nowego?

— Nic, chyba tylko tyle, że niepotrzebnie dzisiaj przyszedłem.

— Dlaczego?

— Bo wydaje się pani skrepowana. Zapewne nudzę panią.

— Nie nudzi mnie pan. Jestem tylko chora, czułam się źle cały dzień, nie spałam i mam okropną migrenę.

— Czy mam wyjść, aby się pani mogła położyć do łóżka?

— O, może pan zostać. Jeżeli zechcę, położę się w obecności pana.

Rozległ się dzwonek.

— Któż to znowu? — powiedziała rozdrażniona. Po chwili zadzwoniono ponownie.

— A więc nie ma kto otworzyć... Muszę otworzyć sama.

Wstała mówiąc do mnie:

— Proszę tu zaczekać.

Usłyszałem odgłos otwieranych drzwi. Nasłuchiwałem.

Osoba, której otworzyła, zatrzymała się w jadalni. Z pierwszych słów poznałem głos młodego hrabiego N.

— Jak się pani dzisiaj czuje? — zapytał.

— Źle — odrzekła sucho Małgorzata.

— Czy przeszkadzam pani?

— Może.

— Jak mnie pani przyjmuje? Cóż złego pani zrobiłem, droga Małgorzato?

— Mój drogi przyjacielu, nic mi pan nie zrobił. Jestem chora, muszę się położyć, toteż uczyni mi pan przyjemność, jeśli pan sobie pójdzie. Nudzi mnie śmiertelnie to, że zjawia się pan co wieczór w pięć

minut po moim powrocie do domu. Czego pan chce? Abym została pańską kochanką? Otóż powiedziałam już panu sto razy, że drażni mnie pan straszliwie i że powinien się pan zwrócić gdzie indziej. Powtarzam dzisiaj po raz ostatni: nie chcę pana widzieć, to sprawa jasna. Żegnam. O, właśnie wraca Nanine, która pana odprowadzi. Dobranoc.

I nie mówiąc więcej ani słowa, nie słuchając bełkotu młodzieńca, Małgorzata wróciła do sypialni, z trzaskiem zamknąwszy za sobą drzwi. Prawie natychmiast otworzyła je Nanine.

— Posłuchaj — rzekła Małgorzata — będziesz zawsze mówiła temu durniowi, że mnie nie ma albo że nie chcę go przyjąć. Męczy mnie w końcu ciągle nachodze nie ludzi, którzy wymagają ode mnie wciąż tego samego, którzy mi płacą i sądzą, że tym samym są wobec mnie w porządku. Gdyby te, które wstępują na tę upokarzającą, haniebną drogę, wiedziały, co to jest, na pewno wołałyby zostać pokojówkami. Ale nie: zwodzi nas próżna ambicja posiadania sukien, powozów i diamentów. Wierzy się w to, co się słyszy: że prostytutka jest rodzajem powołania, i tak powoli niszczy się swe serce, ciało i urodę. Boją się ciebie jak dzikiej bestii, gardzą tobą jak pariasem, otaczają cię jedynie ludzie, którzy zawsze biorą więcej, niż dają, i wreszcie pewnego pięknego ranka zdychasz jak pies, zgubiwszy przedtem wielu innych i siebie samą.

— Ależ, proszę pani, niech się pani uspokoi — powiedziała Nanine. — Jest pani dzisiaj bardzo zdenerwowana.

— Uwiera mnie ta suknia — Małgorzata szarpnęła zatrzaski stanika. — Daj mi peniuar. No, a co z Prudencją?

— Jeszcze jej nie ma, ale przyjdzie tutaj, jak tylko wróci.

— Ta też jest dobra! — mówiła Małgorzata zdejmując suknię i kładąc biały peniuar. — Umie mnie odnaleźć, kiedy mnie potrzebuje, a nie może mi wyświadczyć zwykłej przysługi. Wie, że czekam na tę odpowiedź dziś wieczór, że jej wypatruję, że się niepokoję, a jestem pewna, że nie troszcząc się o mnie, poszła i gdzieś się włóczy.

— Może ją gdzieś zatrzymano.

— Przygotuj nam poncz.

— I znowu pani sobie zaszkodzi — rzekła Nanine.

— Tym lepiej. Przynieś także owoce, pasztet i udko kurczęcia, ale szybko, jestem głodna.

— Zje pan ze mną kolację — zwróciła się do mnie — a tymczasem niech pan weźmie książkę. Pójdę na chwilę do gotowalni.

Zapaliła świece w lichtarzu, otworzyła jakieś drzwi znajdujące się tuż przy łóżku i zniknęła.

Ja zaś zamyśliłem się nad życiem tej dziewczyny i litość spotęgowała moje uczucie dla niej. Rozmyślając, przechadzałem się wielkimi krokami po pokoju, gdy weszła Prudencja.

— A, to pan! — powiedziała. — Gdzie jest Małgorzata?

— W gotowalni.

— Zaczekam na nią. Małgorzata uważa, że jest pan czarujący. Czy pan o tym wie?

— Nie.

— Nawet nie napomknęła panu o tym?

— Ani słowem.

— Jak się pan tu znalazł?

— Przyszedłem złożyć jej wizytę.

— O północy?

— Czemu nie?

— Kawalarz z pana!

— Przyjęła mnie bardzo źle.

— Przyjmie pana lepiej.
— Sądzi pani?
— Przynoszę jej dobrą nowinę.
— To świetnie. A więc, mówiła z panią o mnie?
— Wczoraj wieczór albo raczej tej nocy, kiedy pan wyszedł ze swoim przyjacielem... Przy okazji, jak się miewa ten pański przyjaciel, Gaston R., tak się nazywa, prawda?
— Tak — nie mogłem powstrzymać uśmiechu na myśl o wczorajszych zwierzeniach Gastona, widząc jednocześnie, że Prudencja z trudem przypomina sobie jego nazwisko.
— To miły chłopiec. Co on robi?
— Ma dwadzieścia pięć tysięcy franków renty.
— Ach, naprawdę? No... więc wracając do pańskiej sprawy, Małgorzata wypytywała mnie o pana. Pytała, kim pan jest, co pan robi, jakie pan miał kochanki, słowem, o wszystko, czego można chcieć się dowiedzieć o mężczyźnie w pańskim wieku. Powiedziałam jej wszystko, co wiem, dodając, że jest pan czarującym chłopcem.
— Dziękuję pani. A teraz niech mi pani powie, jakie ona dała pani wczoraj zlecenie?
— Nie dała żadnego. Chodziło tylko o to, aby spławić hrabiego. Ale dała mi zlecenie na dzisiaj i właśnie przynoszę jej odpowiedź.
W tej chwili z gotowalni wyszła Małgorzata w kokieteryjnie ułożonym na głowie czepku nocnym, przybranym pękami żółtych wstążek. Na bosych nogach miała satynowe pantofle, kończyła szlifować paznokcie. Była zachwycająca.
— Więc jak — powiedziała na widok Prudencji — była pani u księcia?
— Jakżeby nie!
— I co pani powiedział?
— Dał mi.
— Ile?
— Sześć tysięcy.
— Ma je pani?
— Tak.
— Czy miał minę bardzo niezadowoloną?
— Nie.
— Biedaczysko!
To „biedaczysko” było powiedziane tonem, którego nie sposób oddać. Małgorzata wzięła sześć tysięcy frankowych banknotów.
— No, był już najwyższy czas. Kochana Prudencjo, potrzeba pani pieniędzy?
— Wie pani, moje dziecko, że za dwa dni jest piętnasty. Gdyby pani mogła mi pożyczyć trzysta albo czterysta franków, zrobiłaby mi pani przysługę.
— Niech pani przyśle po nie jutro rano, teraz jest za późno na zmianę.
— Nie zapomni pani?
— Niech pani będzie spokojna. Zje pani z nami kolację?
— Nie, w domu czeka na mnie Karol.
— Ciągle pani tak za nim szaleje?
— Okropnie, moja droga! Do jutra! Do widzenia, Armandzie.
Pani Duvernoy wyszła.
Małgorzata otworzyła szafkę i wrzuciła tam banknoty.
— Pozwoli pan, że się położę! — powiedziała z uśmiechem, idąc do łóżka.

- Nie tylko pozwalam, ale proszę panią o to! Rzuciła na oparcie łóżka gipiurowy szlafrok i położyła się.
- A teraz niech pan usiądzie koło mnie i gadajmy. Prudencja miała rację: odpowiedź przyniesiona Małgorzacie poprawiła jej nastrój.
- Wybacz mi pan mój dzisiejszy zły humor? — powiedziała biorąc mnie za rękę.
- Gotów jestem wybaczyć pani wiele innych rzeczy.
- I kocha mnie pan?
- Do szaleństwa!
- Mimo że mam zły charakter?
- Mimo wszystko.
- Przysięga mi pan?
- Tak — powiedziałem bardzo cicho.
- Weszła Nanine niosąc talerze, zimne kurczę, butelkę bordeaux, truskawki i dwa nakrycia.
- Nie zamówiłam ponczu — powiedziała Nanine. — Bordeaux jest dla pani lepsze. Nieprawda, proszę pana?
- Oczywiście — odrzekłem wpatrzony w Małgorzatę, bardzo jeszcze wzruszony jej ostatnimi słowami.
- Dobrze, postaw to wszystko na małym stoliku, przysuń go do łóżka, usłużymy sobie sami. Czuwasz już trzecią noc, na pewno chce ci się spać. Idź, połóż się, nic już nie potrzebuję.
- Czy mam dwa razy przekręcić klucz w drzwiach wejściowych?
- No, chyba tak! A przede wszystkim powiedz, żeby nie wpuszczano nikogo aż do jutra do południa.

O piątej nad ranem, kiedy dzień zaczął przeziierać przez firanki, Małgorzata powiedziała:

— Wybacz, że cię wypędzam, ale tak trzeba. Księżę zjawia się tu co rano. Kiedy przyjdzie, powie mu się, że śpię, i będzie może czekał, aż się obudzę.

Ująłem w obie ręce głowę Małgorzaty, której rozpuszczone, falujące włosy rozrzucone były na poduszce, i pocałowałem ją po raz ostatni mówiąc:

— Kiedy się znowu zobaczymy?

— Posłuchaj. Weź tam z kominka mały pozłacany kluczyk i otwórz te drzwi. Potem kluczyk przynieś tutaj i idź. W ciągu dnia otrzymasz ode mnie list i polecenia, bo, jak ci wiadomo, masz mi być ślepo posłuszny.

— Tak. A gdybym cię już o coś poprosił?

— O co?

— Abyś mi dała ten klucz.

— Nigdy dla nikogo nie zrobiłam tego, o co mnie prosisz.

— A więc uczyni to dla mnie. Przysięgam ci, że nie kocham cię tak, jak inni cię kochali.

— No, to zachowaj go, ale uprzedzam, że może ci się nie zdać na nic, to tylko ode mnie zależy.

— Jak to?

— Są tu jeszcze zasuwki od wewnątrz.

— Niedobra!

— Każę je usunąć.

— A więc kochasz mnie choć trochę?

— Nie wiem, jak to się stało, ale zdaje mi się, że tak. A teraz idź. Chce mi się straszliwie spać.

Przez kilka jeszcze sekund trzymaliśmy się w objęciach, po czym wyszedłem.

Ulice były opustoszałe, wielkie miasto spało jeszcze, łagodny wietrzyk przebiegał dzielnicę, które za parę godzin miał wypełnić hałas ludzki.

Wydało mi się, że to uśpione miasto należy do mnie. Szukałem w pamięci nazwisk ludzi, którym dotąd zazdrościłem powodzenia. Nie mogłem sobie przypomnieć ani jednej osoby, której szczęście mógłbym uznać za większe od mego.

Zapewne wielkie to szczęście być kochanym przez młodą cnotliwą dziewczynę, móc jej objawić dziwną tajemnicę miłości, ale jest to przecież' najprostsza rzecz na świecie. Zawładnąć sercem, które nie przywykło do odpierania ataków, to zdobyć miasto otwarte, bez garnizonu. Wychowanie, poczucie obowiązku i rodzina to bardzo silna straż, ale nie ma tak czujnej straży, której nie mogłaby oszukać dziewczyna szesnastoletnia. Natura bowiem ustami człowieka kochanego udziela jej pierwszych rad miłosnych, które są tym żarliwsze, im bardziej wydają się czyste.

Im bardziej młoda dziewczyna wierzy w dobro, tym łatwiej oddaje się jeśli nie kochankowi, to przynajmniej miłości, gdyż będąc pełna ufności jest bezsilna, i rozko chać w sobie taką dziewczynę jest triumfem, który dwudziestoletni mężczyzna może odnieść, kiedy zechce. A ile w tym prawdy, świadczy choćby to, że młode dziewczęta otacza się nieustanną czujnością i wszelkiego rodzaju szanćami! Mury klasztorne nie są dość wysokie, zamki rodziców nie dość mocne, zasady wpajane przez religię nie dość konsekwentne, aby te czarowne ptaki zamknąć w klatce, na którą nie raczy się nawet rzucić kilku kwiatów. Jakże więc muszą pożądać świata, który ukrywa się przed nimi, jakże muszą wierzyć w jego pokusy, jakże chciwie muszą słuchać pierwszego głosu, który poprzez kraty opowiada jego tajemnice, i błogosławić rękę, która pierwsza uchyla rąbka tajemniczej zasłony!

Ale być kochanym przez kurtyzanę to zwycięstwem naprawdę trudne. Słowa, jakie im się mówi, i środki, jakie się stosuje, znają od dawna, nawet miłość, którą zdolne są wzbudzić, jest na sprzedaż. Kochają zawodowo, a nie z upodobania. Są lepiej strzeżone przez swe wyrachowanie niż młoda dziewczyna przez matkę i klasztor. Dlatego też wynalazły słowo „kaprys” na oznaczenie miłości pozahandlowej, na którą sobie niekiedy pozwalają jak na odpoczynek, usprawiedliwienie czy pocieszenie. Podobne są do owych lichwiarzy, którzy obdzierają tysiące ludzi i sądzą, że wystarczy raz jeden pożyczyć jakiemuś głodomorowi dwadzieścia franków, nie żądając ani procentów, ani rewersu, aby okupić wszystkie swe winy.

Wreszcie, gdy Bóg zezwala kurtyzanie na prawdziwą miłość, miłość ta, która zrazu wydaje się przebaczeniem, prawie zawsze staje się dla niej karą. Nie ma rozgrzeszenia bez pokuty. Kiedy istota, która ma sobie do zarzucenia całą swą przeszłość, czuje się nagle w posiadaniu miłości głębokiej, szczerzej i nieprzepartej, do jakiej nie uważała się nigdy zdolna, kiedy wyznaje tę miłość — jakąż władzę ma nad nią kochany przez nią mężczyzna! Jakże czuje się silny, mając prawo powiedzieć jej: „To, co robisz z miłości, nie jest więcej warte od tego, co dawniej robiłaś dla pieniędzy.”

Wtedy nie wiedzą już, jakie mają złożyć dowody uczucia. Znana jest bajka o dziecku, które przez długi czas bawiło się tym, że wołało: „Na pomoc!”, aby zaalarmować ludzi pracujących w polu. I pewnego pięknego dnia zostało pożarte przez niedźwiedzia, gdyż ci, których tak często oszukiwało, nie uwierzyli, że tym razem wołania były prawdziwe. Podobny jest los tych nieszczęsnych dziewcząt, gdy kochają naprawdę. Tyle razy kłamały, że im się nie wierzy, i miłość zabija je wśród wyrzutów sumienia.

Stąd — przykłady wielkich poświęceń, surowych, pustelniczych odosobnień, dawane nam przez niektóre z tych kobiet.

Gdy jednak mężczyzna, który rozbudził tę miłość, będącą jakby odkupieniem, jest na tyle wielkoduszny, że godzi się na nią nie wspominając o przeszłości, kiedy ulega jej i zaczyna wreszcie kochać tak, jak jest kochany — wówczas człowiek ten poznaje równocześnie wszystkie wzruszenia. Po takiej miłości serce jego staje się obojętne na każdą inną.

Te refleksje nie nawiedziły mnie owego ranka, kiedy wracałem do domu. Wtedy mogły one być jedynie przeczuciem tego, co miało nastąpić, i mimo mojej miłości do Małgorzaty nie przewidywałem podobnych konsekwencji. Refleksje te rodzą się dzisiaj, bo dzisiaj, gdy wszystko jest nieodwołalnie skończone, wypływają one w sposób naturalny z tego, co się wydarzyło.

Ale wróćmy do pierwszego dnia tego związku. Szedłem do domu oszalały z radości. Na myśl o tym, że przeszkody, jakie moja wyobraźnia wzniosła między mną i Małgorzatą, już nie istnieją, że posiadam ją, że zajmuję jakieś miejsce w jej umyśle, że mam w kieszeni klucz od jej mieszkania i że mam prawo posługiwania się tym kluczem — byłem zadowolony z życia, dumny z siebie i kochałem Boga, który mi na to pozwolił.

Pewnego dnia młody człowiek, idąc ulicą, ociera się o kobietę, patrzy na nią, odwraca się, idzie dalej. Owa nieznana kobieta ma swoje radości, swoje zmartwienia, swoje miłości, w których on nie bierze żadnego udziału. Nie istnieje dla niej i być może, gdyby do niej przemówił, zdrwiłaby z niego tak, jak Małgorzata ze mnie. Mijają tygodnie, miesiące, lata i nagle, po wielu dalekich od siebie, odmiennych kolejach losu logika przypadku stawia ich twarzą w twarz. Owa kobieta staje się kochanką owego mężczyzny, kocha go. Jak? Dlaczego? Dwie egzystencje łączą się w jedną, zażyłość ledwie zrodzona wydaje im się odwieczna, wszystko, co było przedtem, zaciera się w pamięci obojga kochanków. Dziwne, prawda?

Jeśli o mnie chodzi, to nie mogłem sobie już przypomnieć, jak żyłem do poprzedniego dnia. Czuję, jak wzbiera we mnie radość na wspomnienie słów, które padły tej pierwszej nocy. Albo Małgorzata

umiała sprytnie zwodzić, albo też poczuła dla mnie jedną z tych nagłych namiętności, które rodzą się z pierwszego pocałunku i umierają niekiedy równie nagle, jak się zrodziły.

Im dłużej się zastanawiałem, tym większej nabierałem pewności, że Małgorzata nie miała żadnego powodu, by udawać miłość, której nie czuła. Mówiłem sobie również, że kobiety kochają w dwojaki sposób, wynikający jeden z drugiego: kochają albo sercem, albo zmysłami. Często kobieta bierze sobie kochanka jedynie po to, by zaspokoić żądzę zmysłów i niespodziewanie dla samej siebie odkrywa tajemnicę miłości duchowej, zaczyna żyć już tylko sercem. Często znowu młoda dziewczyna, która w małżeństwie upatrywała jedynie przymierza dwu bezgrzesznych uczuć, zostaje olśniona miłością fizyczną, wytworem najczystszych przeżyć duszy.

Zasnąłem wśród tych rozważań. Obudził mnie posłaniec z listem od Małgorzaty. List zawierał następujące słowa:

Oto moje rozkazy: dziś wieczór w Wodewilu. Proszę przyjść podczas trzeciej przerwy. M. G.

Włożyłem liścik do szuflady, aby go mieć zawsze pod ręką na wypadek, gdybym wątpił o rzeczywistości, jak mi się to czasem zdarzało.

Nie pisała, abym odwiedził ją w dzień, nie śmiałem zjawić się u niej. Ale tak bardzo pragnąłem spotkać ją przed nastaniem wieczora, że wybrałem się na Pola Elizejskie, gdzie, jak i poprzedniego dnia, widziałem ją przejeżdżającą powozem.

O siódmej byłem już w Wodewilu. Nigdy nie znalazłem się tak wcześnie w teatrze.

Łoże zapełniały się jedna po drugiej. Jedna tylko była pusta: parterowa koło proscenium. Podczas przedstawienia prawie nie spuszczałem z niej oczu. Na początku trzeciego aktu drzwi łoży otworzyły się, stanęła w nich Małgorzata. Natychmiast przeszukała wzrokiem parter, zauważyła mnie i podziękowała mi spojrzeniem.

Tego wieczoru była cudownie piękna.

Czy to ja byłem przyczyną jej kokieterii? Czy kochała mnie na tyle, aby sądzić, że im piękniejsza będzie w moich oczach, tym bardziej będę szczęśliwy? Nie zdawałem sobie jeszcze z tego sprawy. Jeśli jednak taka była jej intencja, to osiągnęła swój cel: jak tylko się ukazała, głowy jeły chylić się ku sobie, nawet aktor, obecny wówczas na scenie, przyjrzał się tej, która samym zjawieniem się wywołała zamieszanie na widowni.

A ja miałem klucz od jej mieszkania, i za trzy albo cztery godziny miała znów należeć do mnie.

Zwykło się potępiać tych, którzy rujnują się dla aktorek i kobiet lekkich obyczajów. Mnie zaś dziwi to, że ci ludzie nie popełniają dla nich znacznie więcej szaleństw. Trzeba zaznać życia tak, jak ja go zaznałem, aby wiedzieć, jak bardzo owe względy zaspokajające miłość własną, jakich te kobiety dostarczają co dzień, przykuwają do nich serce kochanka.

Nieco później zjawiła się w łoży Prudencja, w głębi zaś usiadł mężczyzna, w którym rozpoznałem hrabiego G. Na jego widok uczułem chłód w sercu.

Małgorzata odgadła zapewne, jakie wrażenie wywarła na mnie obecność tego człowieka w jej łoży, gdyż znowu uśmiechnęła się do mnie, po czym, odwróciwszy się do hrabiego tyłem, skupiła całą swą uwagę na grze aktorów. Podczas trzeciej przerwy powiedziała hrabiemu kilka słów. Ten opuścił łożę i Małgorzata dała mi znak, abym do niej zaszedł.

— Dobry wieczór — rzekła podając mi rękę.

— Dobry wieczór — odpowiedziałem zwracając się do Małgorzaty i Prudencji.

— Niech pan siada.

— Czy nie zajmuję jednak czyjegoś miejsca? Czy hrabia G. nie wróci za chwilę?

— Tak. Posłałam go po cukierki, abyśmy przez chwilę mogli porozmawiać sami. Pani Duvernoy jest wtajemniczona.

— Tak, moje dzieci — powiedziała Prudencja — bądźcie jednak spokojni, nie pawiem ani słowa.
— Co panu dzisiaj jest? — Małgorzata wstała i przeszła w głąb łoży, aby pocałować mnie w czoło.
— Czuję się trochę niezdrów.
— Trzeba iść się położyć — odrzekła z ironiczną miną, świetnie harmonizującą z filuternym wyrazem twarzy.
— Gdzie?
— U siebie w domu.
— Wie pani dobrze, że nie potrafię tam zasnąć.
— No, to nie trzeba robić grymasów dlatego, że w mojej łoży znalazł się inny mężczyzna.
— To nie ma nic do rzeczy.
— Ależ tak, znam się na tym. Pan nie ma racji. Jednakże nie mówmy już o tym. Przyjdzie pan po spektaklu do Prudencji i zaczeka pan u niej aż do chwili, kiedy pana zawołam. Słyszysz pan?
— Tak.

Czy mogłem nie usłuchać?

— Kocha mnie pan ciągle?

— Pyta mnie pani o to?

— Myślał pan o mnie?

— Przez cały dzień.

— Czy wie pan, że doprawdy boję się, by się w panu nie zakochać? Proszę zapytać Prudencji.

— Ach! — wtrąciła otyła kurtyzana. — Ona mnie tym zanudza.

— A teraz wróci pan na swoje miejsce. Lada chwila zjawi się hrabia, który nie powinien tu pana zastać.

— Dlaczego?

— Dlatego że jego widok nie sprawi panu przyjemności.

— Nie o to chodzi. Tylko że jeśli miała pani ochotę spędzić dzisiejszy wieczór w Wodewilu, mógłbym zaofiarować pani łożę równie dobrze jak on.

— Niestety, przyniósł mi bilet nie zapytawszy mnie o to i zaproponował mi swoje towarzystwo. Wie pan dobrze, że nie wypadało mi odmówić. Wszystko, co mogłam zrobić, to napisać panu, dokąd idę, aby mnie pan mógł zobaczyć. Zresztą ja także pomyślałam, że z przyjemnością zobaczę pana wcześniej. Ale skoro w ten sposób wyraża pan swoją wdzięczność, skorzystam z lekcji.

— Przepraszam, nie miałem racji.

— No, dzięki Bogu. A teraz proszę wrócić grzecznie na swoje miejsce i nie robić z siebie zazdrośnika.

I pocałowała mnie znowu. Wszedłem. W kuluarze spotkałem hrabiego. Zająłem swoje miejsce.

Ostatecznie, obecność hrabiego G. w łoży Małgorzaty była rzeczą najzwyczajszą w świecie. Był jej kochankiem, przyniósł jej bilet do łoży, towarzyszył jej w teatrze, wszystko to było bardzo naturalne, a skoro związałem się z taką kobietą jak Małgorzata, powinienem był tolerować jej zwyczaje.

Mimo to czułem się przez resztę wieczoru bardzo nieszczęśliwy, tym więcej, że wychodząc widziałem, jak Prudencja, hrabia i Małgorzata wsiadają do powozu, który czekał przed wejściem.

A jednak w kwadrans później byłem już u Prudencji. Przed chwilą wróciła właśnie do domu.

— Przyszedł pan prawie jednocześnie z nami — powiedziała Prudencja.

— Tak? — odrzekłem machinalnie. — A gdzie jest Małgorzata?

— U siebie.

— Sama?

— Z panem G.

Przechadzałem się wielkimi krokami po salonie.

— Co panu jest?

— Czy sądzi pani, że to zabawne czekać tutaj, aż pan G. raczy wyjść od Małgorzaty?

— Nie jest pan rozsądny. Niechże pan zrozumie, że Małgorzata nie może wyrzucić hrabiego za drzwi. Pan G. był z nią długo, dawał jej zawsze dużo pieniędzy i jeszcze ciągle jej daje. Małgorzata wydaje przeszło sto tysięcy franków rocznie. Ma dużo długów. Księżę posyła jej tyle, ile ona sobie życzy, ale ona nie zawsze śmie prosić go o to wszystko, czego jej potrzeba. Nie powinna więc narażać się hrabiemu, który daje jej rokrocznie co najmniej dziesięć tysięcy franków. Małgorzata wprawdzie kocha pana, mój drogi przyjacielu, ale waszego związku, zarówno w jej interesie jak i w pańskim, nie powinniście traktować zbyt serio. Pańskich siedem czy osiem tysięcy franków rocznej pensji nie starczy na to, aby zaspokoić wymagania tej dziewczyny; nie starczy ich nawet na utrzymanie jej powozu. Niech pan bierze Małgorzatę taką, jaka jest, to znaczy jako dziewczynę poczciwą, dowcipną i ładną. Niech pan będzie jej kochankiem przez miesiąc albo dwa, niech jej pan ofiarowuje kwiaty, bombonierki i łoże, ale niech pan sobie niczego więcej nie wbija do głowy i niech jej pan nie robi śmiesznych scen zazdrości. Wie pan dobrze, z kim pan ma do czynienia: Małgorzata nie jest cnotką. Pan jej się podoba, kocha ją pan, niech się pan nie zajmuje resztą. Dobry pan sobie z tą swoją drażliwością! Ma pan najprzyjemniejszą kochankę, jaką zna Paryż, przyjmuje parna we wspaniałym apartamencie, obwieszona jest diamentami, nie będzie pana kosztowała ani grosza, jeśli pan zechce — i nie jest pan zadowolony! Do diabła, za dużo pan wymaga!

— Ma pani rację, ale to ponad moje siły. Na myśl, że ten człowiek jest jej kochankiem, czuję potworny ból.

— Przede wszystkim, czy jest jeszcze jej kochankiem? Jest jej potrzebny, oto wszystko. Od dwóch dni zamyka przed nim drzwi. Przyszedł dziś rano, nie mogła przecież nie przyjąć biletu do łoży i nie pozwolić sobie towarzyszyć. Odprowadził ją, wstąpił do niej na chwilę, nie zostanie u niej, skoro pan tu czeka. Wszystko to jest, jak mi się wydaje, bardzo naturalne. Zresztą, godzi się pan na księcia?

— Tak, ale ten jest starcem i jestem pewien, że Małgorzata nie jest jego kochanką. Poza tym, można się niekiedy zgodzić na jeden związek, ale nie na dwa. Takie ustępstwo zanadto przypomina wyrachowanie i upodabnia człowieka, który się na to godzi, do tych, co z tej zgody czynią zawód i z tego zawodu ciągną zyski.

— Ach, mój drogi, jakież pan jest zacofany! Ileż to razy widziałam, jak ludzie szlachetnie urodzeni, eleganccy i bogaci robili to samo, co doradzam panu, i to bez wewnętrznego oporu, bez wstydu i wyrzutów sumienia! Ależ to się widzi na co dzień. Jakżeby paryskie kurtyzany mogły utrzymać się na właściwej stopie życiowej, gdyby nie miały trzech albo czterech kochanków naraz? Nie ma takiej fortuny, nie wiem jak olbrzymiej, która mogłaby pokryć wydatki takiej kobiety jak Małgorzata. Pięćset tysięcy franków rocznej renty stanowi we Francji ogromną fortunę. Otóż, mój drogi przyjacielu, pięćset tysięcy franków nie wystarczyłoby. A oto powody: człowiek mający taki dochód prowadzi dom na szerokiej stopie, ma konie, służbę, powozy, tereny łowieckie, przyjaciół. Jest

najczęściej żonaty, ma dzieci, stajnię wyścigową, gra, podróżuje, czy ja wiem!... Wszystkie te przyzwyczajenia są już tak ugruntowane, że nie może się ich wyzbyć, nie uchodząc przy tym za zrujnowanego i nie wywołując skandalu. Na dobrą sprawę człowiek taki, mając pięćset tysięcy rocznej renty, nie może dać kobiecie więcej niż czterdzieści albo pięćdziesiąt tysięcy franków rocznie, i to jest już bardzo dużo. No, więc roczny budżet kobiety muszą uzupełniać inni kochankowie. Jeśli chodzi o Małgorzatę, to sprawa przedstawia się lepiej. Cudem jakimś trafiła na starca mającego dziesięć milionów, którego żona i córka już nie żyją, który ma tylko bratanków równie bogatych jak on i który daje jej tyle, ile ona chce, nie żądając niczego w zamian. A przecież Małgorzata nie może wymagać od niego więcej niż sześćdziesiąt tysięcy franków rocznie, i jestem pewna, że gdyby zażądała więcej, to mimo swej fortuny i uczucia, jakie dla niej żywi, musiałby jej odmówić.

Wszyscy młodzi paryżanie, mający dwadzieścia albo trzydzieści tysięcy franków rocznej renty, to jest zaledwie tyle, ile trzeba, aby się utrzymać w środowisku, w którym się obracają, otóż ci młodzi paryżanie, jeśli są kochankami Małgorzaty, wiedzą bardzo dobrze, że taka kobieta jak ona nie mogłaby z tego, co oni jej dają, opłacić nawet mieszkania i służby. Nie mówią jej, że o tym wiedzą, udają, że się w tym nie orientują, a kiedy mają już dosyć, odchodzą. Jeżeli mają ambicję dawania na wszystko, rujnują się jak durnie, a potem szukają śmierci w Afryce, zostawiwszy w Paryżu sto tysięcy franków długu. Czy sądzi pan, że kobieta jest im z tego powodu wdzięczna? Bynajmniej. Twierdzi, że poświęciła dla nich swoją pozycję i że tracąc z nimi czas, traciła pieniądze. Ach, uważa pan te szczegóły za haniebne, prawda? A przecież są prawdziwe. Jest pan przemiłym chłopcem, lubię pana z całego serca, jednakże od dwudziestu lat żyję wśród kobiet lekkich obyczajów, wiem, co o nich sądzić i czego są warte, i nie chciałabym, aby brał pan na serio kaprys ładnej dziewczyny.

A poza tym, przypuśćmy nawet — ciągnęła Prudencja — że Małgorzata kocha pana na tyle, aby się wyrzec hrabiego i księcia. Oczywiście w wypadku, gdyby ten się dowiedział o waszym stosunku i kazał jej wybierać między sobą a panem, wtedy ofiara z jej strony na rzecz pana byłaby ogromna, to jest bezsporne. Jaką ofiarą ze swej strony mógłby pan wyrównać jej stratę? Kiedy nastąpi przesyt, kiedy będzie jej pan miał dosyć, co pan uczyni, aby wynagrodzić jej to, co dla pana straciła? Nic. Okaże się, że odciął ją pan od świata, który mógł jej zapewnić dobrobyt i przyszłość, że oddała panu najpiękniejsze swe lata i że jest opuszczona. Albo więc zachowa się pan jak przeciętny mężczyzna, a wtedy rzuci jej pan w twarz jej przeszłość, powie pan, że zrywając z nią postępuje pan tylko tak, jak inni kochankowie, i zostawi ją pan na pastwę nędzy. Albo będzie pan człowiekiem uczciwym, a wtedy uważając, że powinien ją pan zatrzymać przy sobie, narazi się pan na nieuniknioną życiową klęskę, bo podobny związek, wybaczalny u młodego człowieka, nie jest do wybaczenia u człowieka dojrzałego. Związek taki utrudnia wszystko, przekreśla posiadanie rodziny, karierę, które stanowią ostatnią miłość mężczyzny. Niech mi więc pan wierzy, drogi przyjacielu, rzeczy i kobiety należy brać takimi, jakie są, i nie dopuszczać do tego, aby kobieta lekkich obyczajów miała prawo uważać się w czymkolwiek za pańską wierzycielkę.

Było to rozumowanie słuszne i oparte na logice, o którą nie podejrzewałbym Prudencji., Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć, chyba tyle tylko, że ma rację. Uścisnąłem jej rękę, dziękując za rady.

— Co tam, drogi przyjacielu, nie przejmuj się tymi kiepskimi teoriami i śmieję się pan. Życie jest piękne w zależności od tego, przez jakie szkło na nie patrzymy. Proszę, niech pan zapyta swego przyjaciela Gastona, chłopca, który, jak mi się wydaje, rozumie miłość, tak jak ja ją rozumiem. Najważniejszy powinien być dla pana fakt, że tuż obok jest piękna dziewczyna, która czeka niecierpliwie, aż znajdujący się u niej mężczyzna pójdzie sobie, która myśli o panu, która zatrzyma

pana na noc i która, jestem tego pewna, kocha pana. A teraz podejźmy do okna i popatrzmy, jak hrabia będzie wychodził, ustępując nam miejsca.

Prudencja otworzyła okno i stanęliśmy obok siebie oparci o parapet. Ona patrzyła na nielicznych przechodniów, ja rozmyślałem.

Słowa Prudencji wciąż brzmiały mi w uszach. Nie mogłem nie przyznać jej racji. Ale miłość, prawdziwa miłość, jaką żywiłem do Małgorzaty, nie pozwalała mi pogodzić się z tą myślą. Toteż od czasu do czasu wzdychałem, na co Prudencja odwracała się ku mnie i wzruszała ramionami, jak lekarz bezradny wobec ciężko chorego.

„Jak krótkie jest życie — mówiłem sobie w duchu. — Przekonać się o tym można na podstawie przeżyć, które następują po sobie z ogromną szybkością. Znam Małgorzatę zaledwie od dwóch dni, kochanką moją jest od wczoraj, a już tak opętała mój umysł, serce, całe życie, że wizyta hrabiego G. jest dla mnie prawdziwym nieszczęściem.”

Wreszcie hrabia wyszedł, wszedł do powozu i odjechał. Prudencja zamknęła okno. W tej samej chwili Małgorzata zawołała nas.

— Chodźcież prędzej, nakrywa się do stołu, siadamy do kolacji.

Kiedy wszedłem do mieszkania, Małgorzata podbiegła do mnie, rzuciła mi się na szyję i pocałowała z całej siły.

— Czy ciągle się krzywimy? — zapytała.

— Nie, z tym koniec — odpowiedziała Prudencja. — Dałam mu lekcję moralności i przyrzekł, że będzie grzeczny.

— No, nareszcie!

Mimo woli spojrzałem na łóżko: było nie tknięte. A Małgorzata miała już na sobie biały peniuar.

Siedliśmy do stołu.

Czar, słodycz, wylanie — Małgorzata nie szczędziła niczego, w pewnych chwilach musiałem więc uznać, że nie mam prawa wymagać niczego więcej, że wielu byłoby szczęśliwych na moim miejscu i że jak pasterz Wergilego powinienem się rozkoszować tym darem jakiegoś boga czy raczej bogini.

Starałem się wcielić w praktykę teorii Prudencji i być równie wesołym jak moje dwie towarzyszki. Ale to co u nich było naturalne, u mnie — wymuszone, i śmiejąc się nerwowo, co wprowadzało je w błąd, z trudem tłumiłem łzy.

Wreszcie kolacja dobiegła końca i pozostałem sam z Małgorzatą. Swoim zwyczajem usiadła na dywanie przed kominkiem i utkwiała smutne spojrzenie w płomieniach.

— Czy wiesz, o czym myślę?

— Nie.

— O pewnym projekcie.

— Jakim projekcie?

— Nie mogę ci jeszcze wyjawić, ale powiem, co z tego wyniknie. Otóż to, że za miesiąc będę wolna, nie będę już nic nikomu winna i lato spędzimy razem na wsi.

— Nie możesz mi powiedzieć, jak to załatwisz?

— Nie. Musisz mnie tylko kochać tak, jak ja ciebie Kocham, a wszystko się uda.

— I ty sama wpadłaś na ten pomysł?

— Tak.

— I sama go przeprowadzisz?

— Ja sama poniosę wszystkie trudy — powiedziała z uśmiechem, którego nigdy nie zapomnę — ale zysk podzielimy między siebie.

Na dźwięk słowa „zysk” nie mogłem opanować rumieńców: przypominałem sobie, jak to Manon

Lescaut i kawaler Des Grioux przejadali pieniądze pana B.

Wstając, powiedziałem tonem nieco szorstkim:

— Droga Małgorzato, pozwoli pani, że dzielić będę zysk jedynie tych przedsięwzięć, które sam inicjuję i z których sam czerpię korzyść.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że mocno podejrzewam pana hrabiego G. o współudział w tym szczęśliwym przedsięwzięciu, którego tak wydatki, jak i dochody muszę odrzucić.

— Jest pan dzieciakiem. Myślałam, że pan mnie kocha, pomyliłam się, trudno!

Wstała, otworzyła fortepian, zaczęła grać *Zaproszenie do walca* i dotarła do nieszczęsnego pasażu, na którym zawsze utykała.

Czy był to nawyk, czy też pamięć o dniu, kiedyśmy się poznali? Wiem tylko, że melodia rozbudziła we mnie wspomnienia i że zbliżywszy się do Małgorzaty ująłem jej głowę w obie ręce i pocałowałem.

— Wybacz mi pani?

— Widzi pan przecież — odrzekła. — Ale niech pan zwróci uwagę, że jesteśmy z sobą dopiero drugi dzień, a już mam panu coś do wybaczenia. Nie bardzo dotrzymuje pan obietnicy ślepego posłuszeństwa.

— Cóż pani chce, Małgorzato, nazbyt panią kocham i zazdrosny jestem o każdą pani myśl. To co mi pani zaproponowała przed chwilą, przyprawiłoby mnie o szaloną radość, gdyby tajemnica poprzedzająca wykonanie tego projektu nie raniła mi serca.

— Ależ pogadajmy rozsądnie — podjęła biorąc mnie za rękę i patrząc na mnie z uśmiechem, któremu nie mogłem się oprzeć. — Kocha mnie pan, nieprawda? I byłby pan szczęśliwy, gdyby pan mógł spędzić ze mną trzy albo cztery miesiące na wsi? Ja też byłabym szczęśliwa w tej samotności we dwoje, nie tylko szczęśliwa, gdyż podratowałabym również swoje zdrowie. Nie mogę opuścić Paryża nie uporządkowawszy swoich spraw, a sprawy takiej kobiety jak ja są zawsze bardzo zagmatwane. Otóż, znalazłam sposób, aby wszystko pogodzić: moje sprawy i miłość dla pana, tak, dla pana, proszę się nie śmiać, pozwalałam sobie na szaleństwo kochania pana! Dzieciaku, wielki dzieciaku, zapamiętaj sobie, że cię kocham i nie przejmuj się niczym. Zgoda?

— Zgoda na wszystko, co pani zechce. Wie pani o tym dobrze.

— No, to za niecały miesiąc będziemy w jakiejś wiosce spacerować nad wodą i pić mleko. Wydaje się panu dziwne, że tak mówię ja, Małgorzata Gautier, a to, mój drogi, bierze się stąd, że kiedy życie paryskie, dające mi na pozór tyle szczęścia, nie spala mnie, nudzi mnie okropnie! A wtedy miewam nagle ciągoty do egzystencji bardziej spokojnej, która by mi przypominała moje dzieciństwo. Każdy z nas miał przecież jakieś dzieciństwo, niezależnie od tego, czym stał się później. Och, niech pan będzie spokojny, nie będę panu opowiadać, że jestem córką emerytowanego pułkownika i że byłam chowana w Saint-Denis. Jestem biedną dziewczyną wiejską i jeszcze sześć lat temu nie umiałam się podpisać. No, już panu lżej, nieprawda? Dlaczego właśnie pan jest pierwszy, z którym dzielę się radością, jaka ogarnie mnie na myśl o wyjeździe? Dlatego zapewne, że przekonałam się, iż kocha mnie pan dla mnie, a nie dla siebie, podczas gdy inni nigdy nie kochali mnie inaczej, jak tylko dla siebie... Często bywałam na wsi, ale nigdy tak, jak miałabym na to ochotę. I liczę właśnie na to, że pan mi pomoże w osiągnięciu tej przyjemności. Niechże pan nie będzie niedobry i da mi to szczęście. Niech pan sobie powie: „Nie jest jej sądzone żyć długo, któregoś więc dnia wyrzucalibyśmy sobie, że nie spełniłem jej pierwszej prośby, co można było zrobić tak łatwo.”

Cóż odpowiedzieć na to wszystko, zwłaszcza gdy się ma w pamięci pierwszą noc miłosną i oczekuje się drugiej?

W godzinę później trzymałem Małgorzatę w ramionach i gdyby zażądała ode mnie dokonania zbrodni, byłbym uległ.

Wyszedłem o szóstej rano, a żegnając się zapytałem:

— Do wieczora?

Pocałowała mnie z żarem, ale nie odrzekła nic. W ciągu dnia otrzymałem list, który zawierał te oto słowa:

Drogie dziecko, jestem trochę niezdrowa i lekarz zalecił mi całkowity spokój. Pójdę dziś wczesnie do łóżka i nie będę mogła pana zobaczyć. W nagrodę czekam na pana jutro w południe. Kocham.

Pierwszą moją myślą było: zdradza mnie!

Lodowaty pot pokrył mi czoło: za bardzo kochałem tę kobietę, aby podobne podejrzenie nie wstrząsnęło mną do głębi. A przecież powinienem się być tego spodziewać każdego dnia — z innymi kochankami zdarzało się to nieraz i nie przejmowałem się tym zbytnio. Dlaczego więc ta kobieta tak zawładnęła moim życiem?

Przyszło mi na myśl, że mając klucz od jej mieszkania, mogę ją odwiedzić. W ten sposób dowiem się prawdy i jeśli zastanę u niej mężczyznę, spoliczkuję go.

Tymczasem wybrałem się na Pola Elizejskie. Spędziłem tam cztery godziny. Małgorzata nie pokazała się. Wieczorem obszedłem wszystkie teatry, w których zazwyczaj bywała. Nie było jej nigdzie. O jedenastej poszedłem na ulicę d'Antin.

Nie widać było światła w oknach Małgorzaty. Mimo to zadzwoniłem.

Odźwierny zapytał mnie, dokąd idę.

— Do panny Gautier.

— Jeszcze nie wróciła.

— Poczekam na nią w jej pokoju.

— Nie ma u niej nikogo.

Oczywiście był to nakaz, do którego nie musiałem się zastosować, ponieważ miałem klucz, ale obawiałem się głupiej kłótni i wyszedłem.

Nie wróciłem jednak do siebie, nie mogłem opuścić tej ulicy, nie odrywałem wzroku od domu Małgorzaty. Zdawało mi się, że mogę się jeszcze czegoś dowiedzieć, że przynajmniej podejrzenia moje znajdą jakieś potwierdzenie.

Około północy powóz, który dobrze znałem, zatrzymał się przed numerem dziewiątym. Wsiadł hrabia G., który odesławszy powóz wszedł do domu.

Przez chwilę miałem nadzieję, iż tak samo jak ja usłyszy od odźwiernego, że Małgorzaty nie ma, i zaraz wyjdzie. Ale o czwartej nad ranem jeszcze nie opuścił jej mieszkania.

Wiele cierpiałem od trzech tygodni, ale to nic w porównaniu z tym, co wycierpiałem owej nocy.

Po powrocie do domu rozplakałem się jak dziecko. Nie ma chyba człowieka, który by nie był oszukany choć raz w życiu i nie wiedział, jakie to może powodować cierpienia.

W ferworze gorączkowych decyzji, które ludzą tym, że łatwo dadzą się spełnić, mówiłem sobie, iż trzeba natychmiast zerwać z tą kobietą. Niecierpliwie wyczekiwałem dnia, aby pójść zamówić sobie bilet i powrócić do ojca i siostry, których miłości byłem pewien i którzy nie mogliby mnie oszukać.

Jednakże nie chciałem wyjechać, nie zawiadomiwszy Małgorzaty o przyczynie swego wyjazdu. Jedyne człowiek, który naprawdę nic nie czuje dla swojej kochanki, opuszcza ją bez słowa.

Ułożyłem w myśli dwadzieścia różnych wersji listu.

Miałem do czynienia z dziewczyną podobną do innych dziewcząt lekkich obyczajów, zanadto ją wyidealizowałem, potraktowała mnie jak sztubaka, wystrychnęła na dudka, używając wybiegu tak prostego, że sama jego niewybredność była już zniewagą. Miłość własna wzięła we mnie górę. Postanowiłem opuścić tę kobietę, nie chciałem jednak sprawić jej satysfakcji wyznając, jak bardzo bolesne jest dla mnie to zerwanie. Oto co wreszcie napisałem jak najstaranniej, tłumiąc łzy bólu i gniewu:

Droga Małgorzato, mam nadzieję, że wczorajsza pani niedyspozycja szybko minęła. Zajrzałem do pani o jedenastej wieczór, ale powiedziano mi, że pani jeszcze nie wróciła. Pan G. miał więcej szczęścia ode mnie, bo zjawił się w kilka minut później, o o czwartej nad ranem był jeszcze u pani. Proszę mi wybaczyć tych kilka nudnych godzin, jakie pani spędziła ze mną, proszę także być pewną, że nigdy nie zapomnę szczęśliwych chwil, jakie pani zawdzięczam.

Byłbym jeszcze dzisiaj odwiedził panią, ale zamierzam powrócić do mego ojca.

Zegnaj, droga Małgorzato. Nie jestem dość bogaty, aby kochać panią tak, jak bym tego chciał, ani dość biedny, aby kochać tak, jak pani by tego chciała. Zapomnijmy więc oboje: pani — o człowieku, którego imię po winno być pani prawie obojętne, ja — o szczęściu, które staje się dla mnie niemożliwe.

Zwracam klucz, którym się nie posłużyłem ani razu, a który może się pani przydać, jeśli pani częściej będzie chorowała tak jak wczoraj.

Jak pan widzi, nie potrafiłem zakończyć listu bez akcentu ironii zabarwionej arogancją, co dowodzi, jak bardzo byłem jeszcze zakochany. Przeczytałem go z dziesięć razy, a myśl o tym, jaką przykrość sprawi Małgorzacie, uspokoiła mnie trochę. Gdy o ósmej rano nadszedł mój służący, wręczyłem mu list i kazałem go natychmiast odnieść.

— Czy mam czekać na odpowiedź? — zapytał Józef (mój służący nazywał się Józef, jak wszyscy służący).

— Jeżeli cię zapytają, czy ma być odpowiedź, powiesz, że nic ci nie wiadomo, i będziesz czekał.

Uczepiłem się nadziei, że ona mi jednak odpowie.

Jakże jesteśmy biedni i słabi!

Przez cały czas nieobecności służącego miotałem się w strasliwym niepokoju. Na wspomnienie o tym, jak Małgorzata mi się oddała, zadawałem sobie pytanie, czy mam prawo pisać do niej impertynenckie listy, skoro ona może mi odpowiedzieć, że to nie pan G. przyprawia mi rogi, lecz, odwrotnie, to ja przyprawiam rogi panu G. — rozumowanie, które pozwala wielu kobietom mieć wielu kochanków. Przypominając sobie przysięgi Małgorzaty wmawiałem sobie, że mój list był jeszcze zbyt łagodny i że nie ma wyrazu zbyt modnego, aby skarcić kobietę, która naigrawa się z miłości tak szczerzej jak moja. Potem pomyślałem, że lepiej byłoby nie pisać listu, tylko pójść do niej

w ciągu dnia i w ten sposób przynajmniej nacieszyć się widokiem jej łez. Wreszcie usiłowałem odgadnąć, co też ona mi odpowie, gotów już uwierzyć w jej tłumaczenia.

Służący powrócił.

— No i co?

— Proszę pana — odrzekł Józef — pani jeszcze spała, ale jak tylko się obudzi, list zostanie jej doręczony i jeśli będzie odpowiedź, to ją tu przyniosą.

Spała!

Ze dwadzieścia razy chciałem już posłać służącego, aby wycofać list, ale mówiłem sobie: „To by wyglądało na skruchą z mojej strony, bo list już jej chyba oddano.”

Im bliższa była godzina, kiedy, jak sądziłem, powinna była nadejść odpowiedź, tym bardziej żałowałem swego czynu.

Minęła dziesiąta, jedenasta, wybiło południe.

W południe byłem już przez chwilę gotów pójść na umówione spotkanie, jak gdyby nic nie zaszło. Doprawdy nie wiedziałem, co począć, aby wydostać się z żelaznej obręczy wahań i domysłów.

Wreszcie, ulegając przesądowi ludzi czekających, pomyślałem, że jeśli się trochę przejdę, to po powrocie zastanę w domu odpowiedź. Odpowiedzi oczekiwane z niecierpliwością nadchodzą zawsze wtedy, gdy jest się poza domem.

Wyszedłem niby po to, by zjeść śniadanie.

Zamiast udać się, jak zwykle, do „Café Foy” na rogu bulwaru, wolałem iść na śniadanie do Palais-Royal, przechodząc przez ulicę d'Antin. Ilekroć dostrzegałem w oddali jakąś kobietę, miałem wrażenie, że to Nanine niosąca dla mnie odpowiedź. Przeszedłem ulicę d'Antin nie spotkawszy nikogo. Dotarłem wreszcie do Palais-Royal i wszedłem do Very'ego. Kelner dał cmi coś do jedzenia, ale nic nie jadłem.

Mimo woli patrzyłem niemal bez przerwy na zegar.

Wróciłem do domu przekonany, że czeka już na mnie list Małgorzaty.

Odźwierny nie otrzymał nic. Służący, z którym wiązałem ostatnie nadzieje, nie widział nikogo od chwili mego wyjścia.

Gdyby Małgorzata miała mi odpowiedzieć, uczyniłaby to już dawno. Zacząłem tedy żałować wyrażen, jakich użyłem w swym liście. Powinienem był milczeć, co miałoby niewątpliwie ten skutek, że pełna niepokoju pierwsza zrobiłaby krok w moją stronę, stwierdziwszy bowiem, że nie przyszedłem na spotkanie poprzedniego dnia, byłaby mnie zapytała o powody i wówczas dopiero powinienem był je odsłonić. W ten sposób nie mogłaby się wykręcić od usprawiedliwień, a czego pragnąłem przede wszystkim, to właśnie jej wyjaśnień. Czuję już, że dałbym wiarę wszelkim jej tłumaczeniom i że zgodziłbym się na wszystko, byle tylko znowu ją zobaczyć.

Zacząłem nawet wierzyć, że Małgorzata sama zjawi się u mnie, ale godziny mijały, a jej nie było. Doprawdy, Małgorzata była niepodobna do innych kobiet — która z nich zostawiłaby bez odpowiedzi list taki, jak mój.

O piątej pobiegłem na Pola Elizejskie. „Jeśli ją spotkam — myślałem — zrobię obojętną minę i będzie przekonana, że już nie myślę o niej.”

Na rogu ulicy Royale ujrzałem ją w mijającym mnie powozie. Spotkanie było tak nagłe, że zbladłem. Nie wiem, czy ona zauważyła moje wzruszenie, ja zaś byłem tak zmieszany, że widziałem jedynie jej powóz.

Przerwałem spacer po Polach Elizejskich. Przejrzałem afisze teatralne, bo miałem jeszcze jedną szansę zobaczenia jej tego wieczoru.

Premiera w Palais-Royal. Małgorzata powinna tu być obecna.

O siódmej wieczór znalazłem się w teatrze. Wszystkie loże zapełniły się, ale Małgorzaty nie było. Opuściłem Palais-Royal i zajrzałem do tych teatrów, w których bywała najczęściej: do Wodewilu, do Variétés, do Opéra-Comique.

Nie było jej nigdzie.

Albo więc mój list zbyt ją zmartwił, aby mogła myśleć o teatrze, albo też unikała mnie z obawy, że musiałaby się tłumaczyć. Takie oto myśli podsuwała mi moja próżność, gdy spotkałem na bulwarze Gastona. Zapytał mnie, skąd idę.

— Z Palais-Royal.

— A ja z Opery — odrzekł. — Myślałem, że pana tam zobaczę.

— Dlaczego?

— Dlatego że była tam Małgorzata.

— Ach, była tam?

— Tak.

— Sama?

— Nie, z jakąś swoją znajomą.

— Z nikim więcej ?

— Hrabia G. zajrzał na chwilę do jej loży. Ale wyszła z księciem. Spodziewałem się pana każdej chwili. Miejsce obok mnie przez cały wieczór stało puste, byłem pewien, że jest zarezerwowane dla pana.

— Ale dlaczego miałbym być tam, gdzie jest Małgorzata?

— Dlatego, u diaska, że jest pan jej kochankiem.

— Kto to panu powiedział?

— Prudencja, którą wczoraj spotkałem. Winszuję panu, drogi przyjacielu. To urocza kochanka, której nie może mieć pierwszy lepszy. Niech pan dba o nią, przyniesie to panu zaszczyt.

To, co powiedział Gaston, udowodniło mi, jak śmieszna jest moja drażliwość. Gdybym go był spotkał poprzedniego dnia i usłyszał jego uwagę, nie byłbym napisał tego głupiego listu.

Na razie chciałem pójść do Prudencji, aby za jej pośrednictwem powiedzieć Małgorzacie, że chcę z nią porozmawiać. Ale obawiałem się, że za karę nie zechce mnie przyjąć, wróciłem więc *do domu* zawiadziwszy o ulicę d'Antin. I znów zapytałem mojego odzwiernego, czy ma dla mnie jakiś list.

Nie było nic!

„Chce się widocznie przekonać, czy uczynię jakiś krok i czy wycofam swój dzisiejszy list — mówiłem sobie kładąc się do łóżka — ale widząc, że się nie odzywam, napisze do mnie jutro.”

Tego wieczoru zwłaszcza wyrzucałem sobie własne postępowanie. Byłem sam w domu, nie mogłem spać, trawiony niepokojem i zazdrością, a przecież gdybym pozostawił sprawy ich normalnemu biegowi, byłbym pewno teraz u boku Małgorzaty i słuchałbym czarownych słów, które słyszałem zaledwie dwa razy, a które w ciszy mojej samotności dojmująco brzmiały mi w uszach.

W mojej sytuacji potworny wydawał się fakt, że rozsądek był przeciwko mnie. W istocie bowiem wszystko wskazywało na to, że Małgorzata kocha mnie naprawdę. Przede wszystkim ów projekt spędzenia ze mną lata na wsi, następnie to, że nic nie zmuszało jej, by zostać moją kochanką, ponieważ majątek mój nie wystarczyłby na zaspokojenie jej potrzeb, a nawet kaprysów. Kierowała nią więc jedynie nadzieja, że znajdzie we mnie szczere uczucie, które da jej wytchnienie po latach płatnej miłości. I oto nie minął jeszcze drugi dzień naszego związku, a już niweczyłem te nadzieje i zuchwałą ironią odpłacałem za miłość, którą darzono mnie przez dwie noce. To, co zrobiłem, było więcej niż śmieszne, było niedelikatne. Czy przynajmniej zapłaciłem tej kobiecie za prawo potępiania jej życia, czy wycofując się od razu drugiego dnia, nie wyglądam na wyzyskiwacza, co to

boi się, by nie przedstawiono mu rachunku za obiad? Jak to! Znam Małgorzatę od trzydziestu sześciu godzin, dwadzieścia cztery upłynęły od chwili, gdy zostałem jej kochankiem, a już jestem tak przeczulony. I zamiast poczytywać sobie za szczęście to, że daje mi cząstkę siebie, ja chcę zagarnąć wszystko i zmusić ją do przekreślenia dawnych stosunków, które zabezpieczają jej przyszłość. Cóż mam jej do zarzucenia? Nic. Napisała mi, że jest niezdrowa, gdy mogła powiedzieć brutalnie, z odrażającą szczerością pewnej kategorii kobiet, że musi przyjąć jednego ze swych kochanków. I zamiast uwierzyć słowom listu, zamiast pójść na przechadzkę po ulicach Paryża, nie zaglądając na ulicę d'Antin, zamiast spędzić wieczór w gronie przyjaciół i spotkać się z nią nazajutrz o oznaczonej przez nią godzinie, robię z siebie Otella, szpieguję ją i łudzę się myślą, że ją ukarzę, nie chcąc jej więcej widzieć. A ona, wręcz przeciwnie, powinna być zachwycona tym zerwaniem, powinna uważać mnie za napuszonego durnia, a milczenie jej nie jest nawet dowodem urazy: jest dowodem pogardy. Traktując Małgorzatę jako dziewczynę lekkich obyczajów, powinienem był zatem przesłać jej prezent, który by nie pozostawiał żadnej wątpliwości co do moich wielkodusznych intencji, a który by pozwolił mi uwierzyć, że nie jestem jej dłużny. Jednakże najśłabszym nawet pozorem handlowej transakcji mógłbym obrazić jeśli nie jej miłość dla mnie, to moją miłość dla niej; a ponieważ miłość ta jest tak czysta, że nie dopuszcza możliwości podziału, nie mogę opłacić prezentem, choćby najpiękniejszym, szczęścia, jakie mi dała, choćby było najkrótsze.

Oto co powtarzałem sobie przez całą noc i co w każdej chwili gotów byłem powiedzieć Małgorzacie.

Rozumie pan, należało powziąć decyzję i skończyć albo z moimi skrupułami, albo z miłością, jeśliby, oczywiście, Małgorzata zgodziła się mnie przyjąć.

Ale wie pan również, że opóźnia się zawsze powzięcie decyzji. Tak więc, nie mogąc usiedzieć w domu, nie mając odwagi pokazać się Małgorzacie, chwyciłem się sposobu, który moja ambicja mogłaby złożyć na karb przypadku, gdyby zdołał zbliżyć mnie do Małgorzaty.

Była dziewiąta rano. Pobiegłem do Prudencji, która zapytała mnie, czemu zawdzięcza tak wczesną wizytę.

Nie śmiałem powiedzieć jej otwarcie, co mnie do niej sprowadza. Odrzekłem, że wyszedłem tak wcześnie, aby zamówić sobie miejsce w dylizansie do miejscowości C, gdzie mieszkał mój ojciec.

— Ma pan szczęście, że nie musi pan siedzieć w Paryżu, kiedy pogoda jest tak piękna.

Spojrzałem na Prudencję, nie wiedząc, czy kpi sobie ze mnie, czy mówi serio. Ale twarz jej miała wyraz powagi. I równie poważnym tonem zapytała:

— Czy pójdzie pan pożegnać się z Małgorzatą?

— Nie.

— Dobrze pan robi.

— Tak pani uważa?

— Oczywiście. Skoro zerwał pan z nią, po co ją odwiedzać?

— Więc pani wie o naszym zerwaniu?

— Pokazała mi pański list.

— A co przy tym powiedziała?

— Powiedziała: „Moja droga Prudencjo, pani protegowany nie jest uprzejmy: takie listy można układać w myśli, ale nie należy ich pisać.”

— A jakim tonem to powiedziała?

— Śmiejąc się, i w końcu dodała: „Dwa razy jadł u mnie kolację i nawet nie składa mi wizyty dziękczynnej.”

Taki był efekt mojego listu i moich wybuchów zazdrości. Poczułem się okrutnie upokorzony i jako

mężczyzna, i jako kochanek.

— A co robiła wczoraj wieczorem?

— Była w Operze.

— Wiem o tym. A później ?

— Jadła kolację u siebie.

— Sama?

— Zdaje się, że z hrabią G.

Tak więc nasze zerwanie nie zmieniło zwyczajów Małgorzaty. Dlatego właśnie niektórzy ludzie powiadają: „Nie powinieneś myśleć o kobiecie, która cię nie kocha.”

— No cóż, jestem rad, że Małgorzata wcale po mnie nie rozpacza — powiedziałem z wymuszonym uśmiechem.

— I ma całkowitą rację. Zrobił pan to, co należało zrobić. Okazał się pan bardziej rozsądny niż ona, bo ta dziewczyna kocha pana, mówi tylko o panu i w końcu mogłaby popełnić jakieś głupstwo.

— Czemu nie odpowiedziała na mój list, skoro mnie kocha?

— Bo zrozumiała, że kochając pana, robi źle. Kobieta zniesie niekiedy zawód miłosny, ale w żadnym razie nie pozwoli, aby raniono jej miłość własną. Czyni się to wtedy, kiedy w dwa dni potem, jak się zostało jej kochankiem, zrywa się z nią, jakiegokolwiek byłyby powody tego zerwania. Znam Małgorzatę i wiem, że wolałaby raczej umrzeć, niż odpowiedzieć panu.

— Cóż więc mam robić?

— Nic. Ona zapomni o panu, pan zapomni o niej i nie będziecie sobie mieli nic do wyrzucenia.

— A gdybym napisał do niej, prosząc o przebaczenie?

— Niech pan tego nie robi, bo panu przebaczy. Gotów byłem rzucić się Prudencji na szyję.

W kwadrans potem byłem już z powrotem w domu i pisałem list do Małgorzaty:

Ktoś, kto ma sobie za złe list napisany wczoraj, kto jutro wyjedzie, jeśli mu pani nie przebaczy, chciałby wiedzieć, o której godzinie będzie mógł złożyć swą skruchą u stóp pani.

Kiedy zastanie panią samą? Bo, jak pani wie, spowiedź winno się czynić bez świadków.

List złożyłem we czworo i wysłałem przez Józefa. Józef wręczył go bezpośrednio Małgorzacie, która oświadczyła, że odpowie później.

Wyszedłem na chwilę, by zjeść obiad, a o jedenastej wieczór nie miałem jeszcze odpowiedzi. Postanowiłem nie cierpieć dłużej i wyjechać na drugi dzień.

W następstwie tej decyzji, przekonany, że nie zasnę, zacząłem się pakować.

Minęła prawie godzina, odkąd wraz z Józefem zacząłem się szykować do wyjazdu, gdy u drzwi rozległ się gwałtowny dzwonek.

— Czy mam otworzyć? — zapytał Józef.

— Tak — odpowiedziałem, zastanawiając się, któż to przychodzi o tej porze. Nie śmiałem przypuszczać, że to Małgorzata.

— Proszę pana — powiedział Józef wracając — jakieś dwie panie.

— To my, Armandzie — po głosie poznałem Prudencję.

Wyszedłem z pokoju.

Prudencja oglądała osobliwości mojego salonu, Małgorzata, zamyślona, siedziała na kanapie.

Podszedłem wprost do niej, ukląknęłam, ująłem obie jej ręce i bardzo wzruszony powiedziałem:

— Przepraszam.

Pocałowała mnie w czoło i rzekła:

— Już trzeci raz przebaczam panu.

— Miałem jutro wyjechać.

— Nie widzę, czemu moja wizyta miałaby zmienić pana decyzję? Nie przychodzę, aby przeszkodzić panu w wyjeździe z Paryża. Przychodzę dlatego, że w ciągu dnia nie miałam czasu na odpowiedź, a nie chciałam, aby pan sądził, że gniewam się na pana. I to Prudencja nie chciała, żebym tu przyszła: mówiła, że mogę panu przeszkodzić.

— Pani? przeszkodzić? mnie? Małgorzato! Dlaczego?

— Do licha, mógł pan przecież mieć jakąś kobietę u siebie — wtrąciła Prudencja. — Nie byłoby dla niej zabawne to nagłe zjawienie się dwóch innych.

Małgorzata przyglądała mi się uważnie.

— Moja droga Prudencjo — odparłem — nie wie pani, co pani mówi.

— Mieszkanie pana jest bardzo miłe — odrzekła Prudencja. — Czy można obejrzeć sypialnię?

— Oczywiście.

Prudencja przeszła do mego pokoju nie tylko po *to*, aby go obejrzeć, ale aby naprawić swe głupstwo i zostawić nas samych.

— Dlaczego pani przyprowadziła Prudencję?

— Dlatego że była ze mną w teatrze, a poza tym chciałam, aby po wyjściu stąd ktoś mi towarzyszył.

— Czy ja nie mógłbym tego zrobić?

— Tak. Ale poza tym, że nie chciałam panu przeszkadzać, byłam pewna, że odprowadziwszy mnie do bramy, zaprosi się pan do mnie na górę, a ponieważ nie mogłabym się na to zgodzić, nie chciałam, aby pan odszedł dotknięty moją odmową.

— A dlaczego nie mogłaby mnie pani przyjąć?

— Bo jestem pilnie strzeżona i najmniejsze podejrzenie mogłoby mi ogromnie zaszkodzić.

— Czy to jedyny powód?

— Gdyby był jeszcze inny, powiedziałabym panu. Nie jesteśmy w sytuacji, aby jedno przed drugim musiało mieć jakieś sekrety.

— No więc, Małgorzato, bez zawitych wstępów powiem pani to, co mam do powiedzenia. Czy kocha mnie pani choć trochę?

— O wiele więcej niż trochę.

— No, to czemu mnie pani oszukała?

— Mój drogi, gdybym była księżną taką to a taką, gdybym miała dwieście tysięcy franków rocznej renty, gdybym była kochanką pana i poza panem miała innego kochanka — wtedy miałby pan prawo zapytać mnie, dlaczego pana oszukuję. Ale jestem panną Małgorzatą Gautier, mam czterdzieści tysięcy franków długu, ani grosza w majątku i wydaję sto tysięcy franków rocznie. W tych warunkach pytanie pana staje się bezpodstawne, a moja odpowiedź niepotrzebna.

— To prawda — powiedziałem kładąc głowę na kolanach Małgorzaty — ale ja kocham panią jak szalenciec.

— Otóż, mój drogi, trzeba kochać mnie trochę mniej albo rozumieć mnie trochę lepiej. List pana dotknął mnie boleśnie. Gdybym była wolna, to przede wszystkim nie przyjąłabym przedwczoraj hrabiego, a przyjąwszy go, przysłałabym prosić pana o przebaczenie, o jakie prosił mnie pan przed chwilą. I odtąd nie miałabym już poza panem innego kochanka. Myślałam przez jakiś czas, że będę mogła użyć sobie tego szczęścia na sześć miesięcy. Ale pan nie chciał, dociekał pan, skąd mam na to środki, a przecie, mój Boże, łatwo to było odgadnąć. Używając tych środków, poświęciłam o wiele więcej, niż się panu wydaje. Mogłabym panu powiedzieć: potrzeba mi dwadzieścia tysięcy franków. Zakochany we mnie, zdobyłby pan te pieniądze, ale później mógłby mi pan to wypomnieć. Wolałam nic panu nie zawdzięczać. Nie zrozumiał pan tej subtelności, bo trzeba to nazwać subtelnością. Takie kobiety jak ja, kiedy mają jeszcze trochę serca, nadają słowom i rzeczom znaczenie i treść nie znane innym kobietom. Powtarzam więc, że sposób, jaki znalazła Małgorzata Gautier na zapłacenie swoich długów bez potrzeby zwracania się do pana o pieniądze na ten cel, był subtelnością, z której pan powinien był skorzystać, o nic nie pytając. Gdyby pan poznał mnie dopiero dzisiaj, byłby pan aż nadto uszczęśliwiony moją propozycją i nie pytałby mnie pan o to, co robiłam przedwczoraj. Jesteśmy niekiedy zmuszone kupować szczęście dla naszej duszy za cenę naszego ciała i cierpimy o wiele więcej, kiedy to szczęście nam się wymyka.

Słuchałem i patrzyłem na Małgorzatę z podziwem. Widząc, że ta cudowna istota, której stopy tak chętnie całowałbym niegdyś, wtajemnicza mnie teraz w swoje myśli i wyznacza mi rolę w swoim życiu, podczas gdy ja ciągle nie zadowalam się tymi darami, pytałem sam siebie, czy pragnienia mężczyzny mają jakieś granice, skoro moje pragnienie, tak szybko zaspokojone, domaga się ponadto czegoś innego.

— To prawda — podjęła Małgorzata — że my, dzieci przypadku, miewamy cudaczne zachcianki i niepojęte porywy miłosne. Oddajemy się raz za to, raz za co innego. Są ludzie, którzy narażają się dla nas na ruinę, nie otrzymując w zamian nic, są inni, którzy posiadają nas za cenę jednego bukietu kwiatów. Nasze uczucia mają swoje kaprysy: to ich jedyna odskocznia, jedyne usprawiedliwienie. Oddałam ci się prędzej niż komukolwiek, przysięgam ci! Dlaczego? Dlatego że widząc, iż pluję krwią, wzięłaś mnie za rękę, płakałaś, byłeś jedyną istotą ludzką, która odczuła dla mnie litość. Powiem ci rzecz głupią: miałam kiedyś pieska, który patrzył na mnie ze smutkiem w oczach, kiedy kaszlałam. To jedyne stworzenie, które kochałam. Kiedy umarł, płakałam więcej niż po śmierci mojej matki. Co prawda, matka biła mnie do dwunastego roku życia. Otóż pokochałam cię od razu tak, jak swego pieska. Gdyby mężczyźni wiedzieli, co można uzyskać za jedną łzę, byłiby bardzo kochani, a my — rujnowałybyśmy ich o wiele mniej.

Twój list zdemaskował cię, pokazał mi, że nie posiadasz rozumnego serca, zaszkodził ci bardziej w oczach mojej miłości niż wszystko inne, co mógłbyś uczynić. Była w nim co prawda zazdrość, ale zazdrość pełna ironii i zuchwałości. Kiedy ten list nadszedł, byłam już i tak smutna, miałam cię zobaczyć w południe, zjeść z tobą śniadanie, a przy tym dzięki twej obecności przepędzić pewną natarczywą myśl, którą, zanim cię poznałam, traktowałam jako rzecz normalną.

Poza tym — ciągnęła Małgorzata — byłeś jedynym człowiekiem, przy którym zdałam sobie od razu

sprawę, że mogę myśleć i mówić swobodnie. Wszystkim, którzy się kręcą wokół takich dziewcząt jak ja, zależy szczególnie na tym, żeby śledzić ich najbliższe słowa, wyciągać konsekwencje z ich najmniej ważnych uczynków. Nie mamy oczywiście przyjaciół. Mamy samolubnych kochanków, którzy trwonią swój majątek nie dla nas, jak twierdzą, ale dla zaspokojenia swej próżności. Dla tych ludzi musimy być wesołe, kiedy oni są w dobrym humorze, zdrowe, kiedy oni chcą ucztować po nocy, sceptycznie tak jak oni. Nie wolno nam kierować się sercem pod groźbą drwin i utraty naszego kredytu.

Nie należymy do siebie. Nie jesteśmy już istotami ludzkimi, lecz rzeczami. Jesteśmy pierwsze, jeśli chodzi o ich miłość własną, ostatnie, jeśli chodzi o prawo do ich szacunku. Mamy przyjaciółki, ale przyjaciółki w rodzaju Prudencji, ongiś kurtyzany, które ciągle jeszcze gustują w rozrzutności, mimo że wiek już im na to nie pozwala. Zostają więc naszymi przyjaciółkami albo raczej rezydentkami. Ich przyjaźń jest często niewolnicza, nigdy bezinteresowna. Nigdy nie udziela nam rady, która nie dawałaby im zysku. Mało je obchodzi to, że mamy dziesięciu kochanków więcej, byleby one mogły zyskać na tym suknię albo bransoletkę, byleby mogły od czasu do czasu przejechać się naszym powozem i bywać w naszej łoży. Dziedziczą po nas wczorajsze bukiety i pożyczają nasze szale kaszmirowe. Nie oddają nam nigdy najdrobniejszej usługi, nie Wyciągając od nas w zamian dwa razy tyle, ile jest warta. Widziałeś to sam tego wieczoru, kiedy Prudencja przyniosła mi sześć tysięcy franków, o które za jej pośrednictwem prosiłam księcia. Od razu pożyczyła sobie pięćset franków, których mi nigdy nie zwróci albo spłaci je w od dawna niemodnych kapeluszach.

Możemy więc, albo raczej mogłam, liczyć na jedno tylko szczęście: dla mnie, czasem smutnej, a zawsze cierpiącej, było nim znalezienie szlachetnego człowieka, który by nie żądał sprawozdań z tego, jak żyję, i umiał być kochankiem raczej platonicznym. Takiego człowieka znalazłam w osobie księcia, ale książę jest stary, a starość ani nie chroni, ani nie pociesza. Myślałam, że potrafię pogodzić się z życiem, jakie mi urządził. Ale cóż chcesz, trawiła mnie śmiertelna nuda, a skoro już trzeba powoli umierać, lepiej rzucić się od razu w pożogę niż dusić się powoli czadem.

No i wtedy zjawiłeś się ty, młody, pełen życia, szczęśliwy, i spróbowałam uczynić cię takim, do jakiego tęskniłam w mojej rojnej i gwarnej samotności. Pokochałam w tobie mężczyznę nie takiego, jakim jest, ale takiego, jakim powinien być. Ty nie pojmujesz tej roli, odrzucasz ją jako niegodną siebie, jesteś zwykłym kochankiem, rób więc jak inni, płac i nie mówmy już o tym.

Małgorzata, zmęczona długim wyznaniem, odchyliła się na oparcie kanapy i aby stłumić słaby napad kaszlu, przyłożyła chusteczkę do warg i do oczu.

— Wybacz, wybacz — szeptałem — rozumiem już wszystko, ale chciałem to usłyszeć od ciebie, moja kochana Małgorzato. Zapomnijmy o wszystkim i zapamiętajmy sobie tylko jedno: że należymy wzajemnie do siebie, że jesteśmy młodzi i że się kochamy. Małgorzato, zrób ze mną, co chcesz, jestem twoim niewolnikiem. Ale, na Boga, zniszcz ten list, który do ciebie napisałem, i nie pozwól mi jutro wyjechać, bo umarłbym z dala od ciebie.

Małgorzata wydobyła zza stanika mój list i wręczając mi go, powiedziała z uśmiechem pełnym niewysłowionej słodyczy:

— Masz, przyniosłam ci go.

Podarłem list i ze łzami w oczach pocałowałem rękę, która mi go zwróciła.

W tym momencie weszła Prudencja.

— Prudencjo — powiedziała Małgorzata — czy wie pani, o co on mnie prosi ?

— Prosi panią o przebaczenie.

— Właśnie.

— I przebacza pani?

— Muszę, ale on domaga się jeszcze czego innego.

— Czego mianowicie ?

— Chce zjeść z nami kolację.

— I godzi się pani?

— A co pani o tym myśli?

— Myślę, że jesteście dwojgiem dzieciaków, co potracili głowy. Myślę również o tym, że jestem bardzo głodna i że im szybciej się pani zgodzi, tym prędzej siądziemy do kolacji.

— Chodźmy więc — rzekła Małgorzata — zmieścimy się wszyscy troje w moim powozie. Proszę — dodała zwracając się do mnie. — Nanine już chyba śpi, otworzy pan drzwi tym oto kluczem i postara się pan nie gubić go więcej.

Omal nie udusiłem Małgorzaty w swych objęciach.

Wszedł Józef.

— Proszę pana — rzekł z miną człowieka bardzo z siebie zadowolonego — walizy są gotowe.

— Wszystkie?

— Tak, proszę pana.

— No, to proszę je rozpakować. Nie jadę.

Mógłbym w kilku zdaniach opowiedzieć początki tego związku, ale chciałem panu pokazać, jaką drogą doszliśmy do tego: ja — że postanowiłem godzić się na wszystko, czego chciała Małgorzata, a Małgorzata — że nie mogła już żyć beze mnie.

Nazajutrz po owym wieczorze, kiedy odwiedziła mnie w domu, posłałem jej *Manon Lescaut*. Od tego momentu począwszy, nie mogąc zmienić życia mej przyjaciółki, musiałem zmienić swoje. Chciałem . przede wszystkim nie zostawiać sobie czasu na rozmyślania, jaką rolę zgodziłem się przyjąć, bo mimo woli przejąłoby to mnie wielkim smutkiem. Tak więc życie moje, zazwyczaj tak spokojne, stało się nagle bezładne i ożywione. Niech pan nie sądzi, że miłość kobiety lekkich obyczajów, choćby nawet całkowicie bezinteresowna, nic nie kosztuje. Nic nie jest tak kosztowne, jak tysiące kaprysów, kwiaty, łoże, kolacje, wycieczki na wieś, których niepodobna odmówić swej kochance.

Jak już panu powiedziałem, nie miałem majątku. Mój ojciec był i jest jeszcze generalnym poborcą w C. Słynie tam z wielkiej zacności i dzięki temu zdobył kaucję, którą trzeba było złożyć przed objęciem urzędu. Urząd ten przynosi mu czterdzieści tysięcy franków rocznie i w ciągu dziesięciu lat pełnienia swej funkcji ojciec nie tylko spłacił kaucję, ale zaczął odkładać na posag dla mojej siostry. Jest to człowiek niezmiernie czcigodny. Matka moja, umierając, zostawiła sześć tysięcy franków rocznej renty, którą ojciec podzielił między siostrę i mnie tego dnia, gdy objął swoje stanowisko. Później, kiedy miałem już dwadzieścia jeden lat, dołożył do tej małej renty pensję roczną w kwocie pięciu tysięcy franków i zapewnił mnie, że mając w sumie osiem tysięcy mógłbym żyć bardzo wygodnie w Paryżu, gdybym zechciał ponadto wyrobić sobie pozycję w palestrze bądź też w zawodzie lekarskim. Pojechałem więc do Paryża, skończyłem prawo, zdałem egzamin adwokacki i, jak wielu młodych ludzi, schowawszy dyplom do kieszeni dałem się ponieść lekkomyślnemu trybowi paryskiego życia. Moje wydatki były dość skromne; wydawałem jednak mój roczny dochód w ciągu ośmiu miesięcy, a pozostałe cztery spędzałem u ojca, co w sumie dawało dwanaście tysięcy franków renty tudzież stwarzało mi opinię dobrego syna. Poza tym, nie miałem grosza długu.

Taka była moja sytuacja, kiedy poznałem Małgorzatę.

Pojmuje pan, że miano woli mój tryb życia stał się bardziej kosztowny. Małgorzata miała naturę kapryśną, należała do tej kategorii kobiet, które nie uważają, by koszt tysiąca rozrywek, składających się na ich egzystencję, był poważny. Tak więc, chcąc przebywać jak najdłużej w moim towarzystwie, pisała do mnie rano, że zje ze mną obiad, ale nie u siebie, lecz w jakiejś restauracji bądź w Paryżu, bądź też na wsi. Przyjeżdżałem po nią, jedliśmy obiad, szliśmy do teatru, często wy bieraliśmy się na kolację, i tak oto wydawałem w ciągu wieczora cztery albo pięć ludwików, co stanowiło dwa i pół tysiąca albo i trzy tysiące franków miesięcznie. W ten sposób mój roczny budżet starczał na trzy i pół miesiąca, co stawiało mnie wobec konieczności zaciągania pożyczek albo też — porzucenia Małgorzaty.

Otóż zgodziłem się na wszystko, tylko nie na tę drugą ewentualność.

Wybaczy pan, że zaprzętam pańską uwagę tymi szczegółami, niemniej jednak stały się one przyczyną późniejszych wydarzeń. Historia, jaką opowiadam, jest prawdziwa i prosta, dlatego też pozwalam sobie zachować całą naiwność jej szczegółów.

Zdałem sobie tedy sprawę, że ponieważ nic na świecie nie zdoła mnie skłonić do zapomnienia mojej przyjaciółki, muszę znaleźć jakiś sposób na pokrycie wydatków potrzebnych do prowadzenia takiego trybu życia. Poza tym, miłość pochłaniała mnie tak dalece, że każda chwila spędzona z dala od

Małgorzaty wydawała mi się rokiem, czułem potrzebę spalenia tej chwili w ogniu jakiejś namiętności, przeżycia jej tak szybko, abym się nie spostrzegł, że żyję.

Zrazu pożyczyłem sobie pięć albo sześć tysięcy franków i zacząłem grać, odkąd bowiem pozamykano domy gry, gra się wszędzie. Dawniej, wszedłszy do Frascati, miało się szansę wygrania fortuny: grano o pieniądze, a jeśli się przegrało, można było powiedzieć sobie na pociechę, że równie dobrze można było wygrać. Dzisiaj, z wyjątkiem klubów, gdzie obowiązuje jeszcze pewien rygor w sprawach wypłat, ma się prawie pewność, że wygrawszy poważną sumę, nie otrzyma się jej na rękę. Łatwo zrozumieć, dlaczego.

Grę uprawiają przede wszystkim młodzi ludzie, którzy mają wielkie potrzeby i którym zbywa na majątku koniecznym do utrzymania wysokiej stopy życiowej.

Grają więc i rezultat jest zazwyczaj taki, że wygrywają, a wówczas przegrywający muszą opłacać konie i kochanki tych panów, co jest mało przyjemne. Powstają długi, z których honor i życie wychodzą zawsze trochę nadszarpnięte. I człowiek uczciwy okazuje się zrujnowany przez wielce uczciwych młodych ludzi, których jedyną wadą jest to, że nie mają dwustu tysięcy franków rocznej renty.

Nie potrzebuję wspominać o tych, co kradną przy grze: pewnego dnia rozchodzi się wiadomość o ich przymusowym wyjeździe albo spóźnionym wyroku.

Pograżyłem się więc w tym zawrotnym i hałaśliwym życiu, które dawniej odstraszało mnie, a teraz stało się niezbędnym uzupełnieniem mojej miłości do Małgorzaty. Cóż miałem robić ?

Gdybym te noce, których nie spędzałem przy ulicy d'Antin, spędzał u siebie w domu, nie mógłbym spać. Zazdrość nie dałaby mi zmrużyć oka, zżerałaby mi mózg i serce. Tymczasem gra wypierała na pewien czas gorączkę zazdrości i wciągała w namiętność, która mnie pochłaniała aż do chwili, kiedy miałem się udać do mojej przyjaciółki. Wówczas — i to świadczyło o potędze mojej miłości — czy byłem wygrany, czy przegrany, wstawałem od stołu, litując się nad tymi, których przy nim zostawiałem i których po wyjściu nie czekało szczęście podobne do mojego.

Dla większości z nich gra była koniecznością. Dla mnie — środkiem zaradczym.

Uleczony z uczucia do Małgorzaty, byłbym uleczony z gry. Toteż wśród całej tej zabawy zachowywałem dość dzielnie zimną krew: przegrywałem tylko tyle, ile mogłem zapłacić, i wygrywałem tylko tyle, ile mógłbym przegrać.

Zresztą, wena mi sprzyjała. Nie robiłem długów i wydawałem trzy razy więcej niż wtedy, kiedy nie grałem.

Trudno byłoby oprzeć się urokom życia, które pozwalało mi bez większych kłopotów zaspokajać tysiące kaprysów Małgorzaty. Co do niej, to kochała mnie coraz bardziej.

Jak już panu powiedziałem, na początku przyjmowała mnie jedynie między północą i szóstą rano. Później pozwalała mi od czasu do czasu bywać w swej loży, zdarzało się także, że szliśmy razem na obiad. Pewnego ranka wyszedłem od niej o ósmej, a był nawet taki dzień, kiedy wyszedłem w południe.

Zanim miała nastąpić przemiana duchowa, dokonała się w życiu Małgorzaty przemiana fizyczna. Postanowiłem ją wyleczyć, ona zaś, odgadując mój zamiar, ulegała mi we wszystkim, aby w ten sposób okazać mi wdzięczność. Udało mi się bez większych wysiłków i wstrząsów wyzwolić ją prawie całkowicie od jej dawnych przyzwyczajzeń. Mój lekarz, z którym ją zetknąłem, powiedział mi, że jedynie odpoczynek i spokój mogą podratować jej zdrowie. Toteż wystawne kolacje i bezsenne noce zastąpione zostały regularnym snem i higienicznym trybem życia. Mimo woli Małgorzata przyzwyczała się do nowej egzystencji, której zbawienne skutki musiała przecież odczuć. Zaczynała już spędzać wieczory u siebie albo, jeśli pogoda sprzyjała, otulała się kaszmirowym szalem i

koronkową mantylą, i potem jak dwoje dzieci szliśmy pieszo na wieczorny spacer po ciemnych alejach Pól Elizejskich. Wracała zmęczona, zjadała lekką kolację i kładła się do łóżka pograwszy przedtem na fortepianie albo poczytawszy książkę, co jej się dotąd nigdy nie zdarzało. Kaszel, który, ilekroć go słyszałem, rozdzierał mi serce, zniknął prawie zupełnie.

Po sześciu tygodniach nie było już mowy o hrabim, całkowicie wykreślonym z jej życia. Tylko książę zmuszał mnie jeszcze do ukrywania mego związku z Małgorzatą. Ale i on, kiedy znajdowałem się u niej, bywał często odprawiany z kwitkiem — pod pretekstem, że pani śpi i kazała się nie budzić.

Wiedząc, że Małgorzata nabyła już zwyczaj, a nawet potrzebę widzenia mnie obok siebie, przerywałem grę akurat w chwili, kiedy zręczny gracz powinien ją kończyć. W rezultacie, dzięki moim wygrany znalazłem się w posiadaniu dziesięciu tysięcy franków, które wydawały mi się niewyczerpanym kapitałem.

Nadszedł czas, kiedy zwykłem był wyjeżdżać do ojca i siostry — a ja nie opuszczałem Paryża. Toteż często otrzymywałem od nich listy, które przynaglały mnie do wyjazdu. Na te przynaglenia odpowiadałem wymijająco, powtarzając, że czuję się dobrze i że nie potrzebuję pieniędzy — dwa argumenty, które, jak mi się zdawało, powinny być jakoś pocieszyć mojego ojca i wytłumaczyć opóźnienie dorocznej wizyty.

Tymczasem Małgorzata, zbudzona któregoś ranka blaskiem wiosennego słońca, wyskoczyła z łóżka i zapytała mnie, czy chciałbym wywieźć ją na wieś na cały dzień. Posłaliśmy po Prudencję i wyruszyliśmy we troje. Nanine otrzymała polecenie zawiadomienia księcia, iż Małgorzata chciała skorzystać z pięknego dnia i wyjechała na wieś z panią Duvernoy.

Obecność Prudencji była potrzebna, aby uspokoić starego księcia, ponadto Prudencja należała do tych kobiet, które są jakby stworzone dla przyjemności wiejskich. Jej niezmacona wesołość i zawsze dopisujący apetyt nie pozwalały pozostałym towarzyszom nudzić się ani przez chwilę. Umiała znakomicie zamawiać jaja, czereśnie, mleko, smażonego królika, słowem wszystko, co składa się na tradycyjne śniadanie w okolicach Paryża.

Pozostawało już tylko ustalić, dokąd jedziemy. I w tym względzie Prudencja wybawiła nas z kłopotu. Zapytała więc:

— Czy chcecie jechać na prawdziwą wieś?

— Tak.

— No, to jedziemy do Bougival, do „Jutrzenki”, należącej do wdowy Arnould. Armandzie, proszę iść wynajmując karete.

W półtorej godziny później byliśmy u wdowy Arnould. Zna pan chyba tę gospodę, która w dzień powszedni jest hotelem, a w niedzielę — podmiejską knajpą. Z ogrodu, który leży na wysokości pierwszego piętra, roztacza się wspaniały widok. Po lewej stronie akwedukt Marly zamyka horyzont, po prawej wzrok gubi się w bezkresnych wzgórzach. Rzeka, w tym miejscu prawie nieruchoma, rozwija się jak szeroka wstęga z białej mory pomiędzy równiną Gabillons i wyspą Croissy, która jak gdyby kołysze się w nieustannym drzeniu wysokich topól i poszumie wierzb.

Dalej, skąpane w promieniach słonecznych, widnieją białe domki o czerwonych dachach, a całości krajobrazu dopełniają budynki manufaktury, które dzięki odległości tracą swą komercyjną brzydotę.

A w głębi — Paryż we mgle!

Prudencja miała rację: była to prawdziwa wieś i, muszę przyznać, było to prawdziwe śniadanie.

Nie mówię tego przez wdzięczność za szczęśliwe chwile, jakie dała mi ta miejscowość, niemniej jednak Bou-gival, pomimo swej okropnej nazwy, jest jednym z najładniejszych zakątków, jakie można sobie wyobrazić. Wiele podróżowałem, oglądałem dużo pięknych miejscowości, ale nie widziałem bardziej czarownej niż ta wioska, wdzięcznie położona u stóp osłaniającego ją wzgórza.

Pani Arnould zaproponowała przejażdżkę łodzią, na co Małgorzata i Prudencja zgodziły się z radością.

Kojarzono zawsze wieś z miłością. I słusznie, gdyż nie ma piękniejszego tła dla kobiety kochanej aniżeli błękitne niebo, kwiaty, samotność wśród pól i lasów.

Jakkolwiek kocha się kobietę, jakiegokolwiek ma się zaufanie do niej i jej przeszłości, która jest rękomią przyszłości, zawsze jest się mniej lub więcej zazdrosnym. Jeśli był pan zakochany, poważnie zakochany, musiał pan zaznać owej potrzeby wyosobnienia ze świata istoty, w której chciałoby się zamknąć swe życie. Wydaje się, że kobieta kochana, choćby najbardziej obojętna wobec otoczenia, traci swą czystość w kontakcie ze światem ludzi i rzeczy. Jeśli o mnie chodzi, odczuwałem to bardziej niż ktokolwiek inny. Miłość moja nie była miłością zwykłą: kochałem tak, jak tylko człowiek normalny może kochać, ale kochałem Małgorzatę Gautier, to znaczy, że w Paryżu mogłem na każdym kroku otrzeć się o kogoś, kto był kochankiem tej kobiety albo mógł zostać nim nazajutrz. Podczas gdy na wsi, wśród ludzi, których nigdyśmy nie widzieli i którzy nie zajmowali się nami, na łonie przyrody zdobnej we wszystkie uroki wiosny i odgradzonej od hałasów miejskich, nie musiałem kryć się ze swą miłością, mogłem kochać bez wstydu i lęku.

Tutaj Małgorzata zatraciła jakby cechy kurtyzany. Miałem obok siebie kobietę młodą i piękną, którą kochałem, która mnie kochała i której na imię było Małgorzata. Przeszłość nie miała już kształtów, przyszłość była bez chmur. Słońce oświetlało moją przyjaciółkę tak samo, jak najbardziej bezgrzeszną narzeczoną. Spacerowaliśmy po czarujących ustroniach, które zdawały się stworzone po to, aby przypominać wiersze Lamartine'a i melodie Scudo. Małgorzata miała na sobie białą suknię, opierała się na moim ramieniu, wieczorem, pod gwiazdym niebem powtarzała mi słowa powiedziane już w przededniu, a w oddali świat żył dalej nie rzucając cienia na naszą młodość i naszą miłość.

Taką wizję przesiewało przez listowie upalne słońce tego dnia, gdy rozciągnięty na trawie wyspy, do którego przybiliśmy, wolny od wszelkich więzów, pozwalałem swej myśli biec na spotkanie wszelkich nadziei.

Trzeba dodać, że z owego miejsca widziałem na brzegu czarowny dwupiętrowy domek, ogrodzony kratą w kształcie półkola. Za kratą przed domem zielenił się trawnik jednolity jak aksamit, za domem zaś znajdował się lasek pełen tajemniczych zakątków, w którym każda świeżo przetarta ścieżka co rano porastała mchem. Bluszcz okrywał ten nie zamieszkaný dom od samego progu do pierwszego piętra.

Urzeczony tym widokiem zacząłem w końcu wierzyć, że dom należy do mnie, tak bardzo odpowiadał moim marzeniom. Widziałem tu Małgorzatę i siebie, w dzień spacerujących po lesie, wieczorem siedzących na trawie, i zadawałem sobie pytanie, czy ktoś jeszcze na ziemi mógłby być tak szczęśliwy jak my.

— Jaki śliczny dom! — powiedziała Małgorzata, która śledziła mój wzrok, a może i myśl.

— Gdzie? — zapytała Prudencja.

— Tam — Małgorzata wskazała dom palcem.

— Ach, przepiękny! Podoba się pani?

— Bardzo.

— No, to niech pani powie księciu, żeby go dla pani wynajął. Zrobi to, jestem pewna. A jeśli pani chce, mogę to wziąć na siebie.

Małgorzata spojrzała na mnie, jak gdyby pytając, co o tym myślę.

Marzenie moje rozwiało się przy ostatnich słowach Prudencji. Wtrąciły mnie one z powrotem w rzeczywistość tak brutalnie, że byłem jakby oszołomiony.

— Istotnie, pomysł jest doskonały — wyjąkałem, nie wiedząc, co mówię.

— No, to w takim razie ja to załatwię — Małgorzata uścisnęła mi rękę, tłumacząc sobie moje słowa wedle własnego życzenia.

Dom był wolny i do wynajęcia za dwa tysiące franków.

— Będiesz tu szczęśliwy? — zapytała Małgorzata.

— A czy na pewno będę mógł tu bywać?

— A dla kogóż miałabym się tu pogrzebać, jeśli nie dla ciebie?

— No, to pozwól, Małgorzato, że ja ten dom wynajmę.

— Oszalałeś? To byłoby nie tylko niepotrzebne, ale i niebezpieczne. Wiesz dobrze, że nie wolno mi przyjmować nic od nikogo poza jednym człowiekiem. Pozwól mi więc działać i nie mów nic, duży dzieciaku!

— Jeżeli tak — wtrąciła Prudencja — to jak tylko będę miała dwa dni wolne, przyjadę spędzić je z wami.

Opuściliśmy dom i ruszyliśmy w drogę do Paryża, rozmawiając przez cały czas o nowym postanowieniu. Nie wypuszczałem Małgorzaty ze swych ramion, a wysiadając z powozu byłem już skłonny rozpatrywać jej pomysł z większą wyrozumiałością, z mniejszą dozą skrupułów.

Nazajutrz Małgorzata wyprawiła mnie wcześniej mówiąc, że księżę ma przyjść z samego rana, i przyrzekając, że jak tylko ten wyjdzie, napisze mi, aby umówić się ze mną, jak zwykle, na wieczór. Istotnie, w ciągu dnia otrzymałem ten oto liścik:

Jadę z księciem do Bougival, proszę być u Prudencji dziś o ósmej wieczór.

O oznaczonej godzinie Małgorzata była z powrotem i odnalazła mnie u pani Duvernoy.

— No, więc wszystko załatwione — powiedziała wchodząc.

— Dom jest wynajęty? — zapytała Prudencja.

— Tak. Zgodził się natychmiast.

Nie znałem księcia, ale wstyd mi było, że przyprawiam mu rogi.

— To jeszcze nie wszystko! — podjęła Małgorzata.

— Co jeszcze?

— Zatrzaszczyłam się o mieszkanie dla Armanda.

— W tym samym domu? — zapytała śmiejąc się Prudencja.

— Nie, ale w „Jutrzence”, gdzie jedliśmy śniadanie. Podczas gdy księżę zachwycał się widokiem, zapytałam panią Arnould — bo tak się ta pani nazywa, nieprawda? — zapytałam ją więc, czy ma jakieś przyzwoite mieszkanie. Okazało się, że ma, z salonem, sypialnią i przedpokojem. Właśnie to, czego trzeba, jak sądzę. Sześćdziesiąt franków miesięcznie. Całość jest umeblowana tak, że nawet hipochondrykowi musi poprawić się humor. Wynajęłam to mieszkanie. Czy dobrze zrobiłam?

Rzuciłem się Małgorzacie na szyję.

— Będzie cudownie — mówiła dalej Małgorzata. — Pan dostanie klucz od małych drzwi, a księciu przyrzekłam klucz od okratowanej furtki, który nie będzie mu potrzebny, bo jeśli będzie przyjeżdżał, to tylko w dzień. Między nami mówiąc, myślę, że jest zachwycony tym kaprysem, który oddali mnie od Paryża na jakiś czas, a jego rodzinie zamknie usta. Zapytał mnie jednak, jak ja, która tak kocham Paryż, mogłam się zdecydować na zagrzebanie się na wsi. Odpowiedziałam, że jestem chora i że wyjeżdżam, aby odpocząć. Niezupełnie, zdaje się, uwierzył, biedny staruszek ciągle coś węszy. Musimy więc być bardzo ostrożni, kochany Armandzie, bo księżę gotów mnie tam pilnować, a ważne jest nie tylko to, że wynajął dom, ale również i to, aby zapłacił moje długi, których, niestety, mam sporo. Czy to wszystko odpowiada panu?

— Tak — odrzekłem usiłując zagłuszyć skrupuły, jakie te sprawy budziły we mnie od czasu do czasu.

— Obejrzelismy dom z całą dokładnością, będzie nam cudownie. Księżę zajmował się wszystkim. Ach, mój drogi — dodała całując mnie — nie jesteś nieszczęśliwy, milioner ściele ci gniazdko.

— A kiedy się pani przeprowadza? — zapytała Prudencja.

— Jak najprędzej.

— Zabiera pani ze sobą powóz i konie?

— Zabieram całą służbę. A pani zaopiekuje się mieszkaniem przez czas mojej nieobecności.

W tydzień później Małgorzata objęła w posiadanie dom wiejski, a ja zamieszkałem w „Jutrzence”.

I zaczęło się życie, które z trudem będę mógł opisać.

W pierwszym okresie pobytu w Bougival Małgorzata nie mogła jeszcze całkiem zerwać ze swymi zwyczajami: odwiedzały ją wszystkie przyjaciółki, w domu ucztowano bez przerwy. Przez pierwszy miesiąc nie było dnia, w którym do stołu nie siadałoby osiem albo dziesięć osób. Prudencja ze swej strony sprowadzała wszystkich swych znajomków i czyniła honory domu, jakby była jego gospodynią.

Wszystko to, jak się pan domyśla, opłacał ksiązę, a mimo to zdarzało się niekiedy, że Prudencja prosiła mnie o tysiąc franków, niby w imieniu Małgorzaty. Wie pan, że miałem trochę pieniędzy wygranych, toteż skwapliwie dawałem Prudencji to, o co za jej pośrednictwem prosiła Małgorzata. W obawie jednak, by jej potrzeby nie przekroczyły tego, co posiadałem, pożyczyłem sobie w Paryżu sumę równą tej, jaką pożyczyłem już niegdyś, a którą zwróciłem bardzo punktualnie.

Byłem więc znowu posiadaczem dziesięciu tysięcy franków, nie licząc pensji.

Jednakże przyjemność goszczenia przyjaciółek przygasła nieco wobec wydatków, jakie to za sobą pociągało, a zwłaszcza wobec tego, że Małgorzata musiała niekiedy prosić mnie o pieniądze. Ksiązę, który wynajął dla niej ten dom jako miejsce odpoczynku, nie pojawiał się tu z obawy, by nie natknąć się na liczne i wesołe towarzystwo, przez które nie chciał być widziany. Bo też przyjechawszy któregoś dnia, aby zjeść kolację sam na sam z Małgorzatą, trafił akurat na obiad, w którym uczestniczyło piętnaście osób i który nie był jeszcze skończony w chwili, gdy zamierzał się do kolacji. Kiedy, nie domyślając się niczego, otworzył drzwi do jadalni, powitał go ogólny śmiech. Musiał się szybko wycofać wobec rozpasanej wesołości kilkunastu kobiet.

Małgorzata wstała od stołu, odnalazła księcia w sąsiednim pokoju i próbowała go jakoś ułagodzić, ale starszy pan, dotknięty do żywego, nie wyzbył się urazy. Oznajmił szorstko biednej dziewczynie, że ma dość opłacania szaleństw kobiety, która nie umie nawet u siebie w domu nakazać dlań szacunku, i wyszedł bardzo rozgniewany.

Od tego dnia ksiązę przestał bywać w Bougival. Małgorzata pozbyła się wprawdzie swych codziennych gości i zmieniła przyzwyczajenia, ksiązę jednak nie dawał znaku życia. Zyskałem na tym tyle, że moja przyjaciółka należała bardziej do mnie, i to, o czym marzyłem, przybierało nareszcie realne kształty. Małgorzata nie mogła się obyć beze mnie. Nie dbając już o nic, afiszowała się publicznie naszym związkiem, doszło w końcu do tego, że nie opuszczałem już jej domu. Służba nazywała mnie „monsieur” i traktowała oficjalnie jako swego pana.

Prudencja, zaniepokojona zmianą trybu życia Małgorzaty, prawila jej nieraz morały. Ale dziewczyna odpowiadała, że kocha mnie, że nie może żyć beze mnie i że cokolwiek miałyby się stać, nie wyrzeknie się już szczęścia codziennego obcowania ze mną, dodając w końcu, że ci, którym się to nie podoba, mogą więcej nie przyjeżdżać.

Słyszałem to wszystko tego dnia, kiedy Prudencja oświadczyła Małgorzacie, że ma jej coś ważnego do powiedzenia. Podśluchiwałem pod drzwiami pokoju, w którym się obie zamknęły.

Po jakimś czasie Prudencja znów się zjawiała.

Wchodząc, nie spostrzegła mnie, gdyż byłem w głębi ogrodu. Ze sposobu, w jaki Małgorzata wyszła jej na spotkanie, domyśliłem się, że zanosí się na rozmowę podobną do tej, jaką raz podśluchiwałem. Chciałem ją usłyszeć i tym razem.

Obie kobiety zamknęły się w buduarze, a ja stanąłem pod drzwiami.

— No i co? — zapytała Małgorzata.

— No więc, widziałam się z księciem.

— I co pani powiedział?

— Ze chętnie wybaczy pani pierwszy afront, ale dowiedział się, że żyje pani z panem Armandem Duval, a tego już wybaczyć nie może. Niechaj Małgorzata zerwie z tym młodym człowiekiem, powiedział, to jak dawniej będę dawał na wszystko, czego jej potrzeba, w przeciwnym razie musi przestać zwracać się do mnie z czymkolwiek bądź.

— I co pani odpowiedziała?

— Że przekażę pani jego decyzję, i przyrzekłam, że przemówię pani do rozsądku. Drogie dziecko, niechże się pani zastanowi nad tym, co pani traci i czego nigdy nie da pani Armand. On co prawda

kocha panią całym sercem, ale nie ma tyle pieniędzy, aby zaspokoić wszy stkie pani potrzeby. Pewnego dnia będziecie się musieli rozstać, a wtedy może być za późno. Księżę nie zechce już nic zrobić dla pani. Czy chciałaby pani, żebym pomówiła z Armandem?

Małgorzata jak gdyby się namyślała, bo nie słyszałem odpowiedzi. Czekałem na nią z gwałtownym biciem serca.

— Nie — odrzekła wreszcie — nie porzucę Armanda i nie będę ukrywała, że z nim żyję. Może to i szaleństwo, ale cóż pani chce, kocham go! Przyzwyczał się do tego, że może mnie kochać bez przeszkód, zanadto by cierpiał, gdyby musiał mnie opuścić choćby na jedną godzinę. Zresztą, nie mam już tyle czasu przed sobą, abym mogła się unieszczęśliwić i spełnić wolę starca, którego sam widok postarza mnie. Niech sobie zachowa swoje pieniądze, obejdę się bez niego.

— Ale jak sobie pani poradzi?

— Nie wiem.

Prudencja chciała już zapewne odpowiedzieć, gdy wszedłem raptownie i rzuciłem się do nóg Małgorzaty, okrywając jej ręce łzami radości — radości, że jestem tak kochany.

— Moje życie należy do ciebie, Małgorzato, tamten człowiek nie jest ci potrzebny. Czyż nie jestem przy tobie? Czyż mógłbym cię opuścić? Czy można czymkolwiek odpłacić za szczęście, jakie mi dajesz? Nie ma już żadnych więzów, Małgorzato, kochamy się! Co nas obchodzi reszta?

— Och, tak, mój Armandzie, kocham cię! — wyszeptła obejmując mnie obiema rękami za szyję. — Kocham cię, nigdy bym nie sądziła, że tak potrafię kochać. Będziemy szczęśliwi, będziemy sobie spokojnie żyli, a dawne życie, którego teraz się wstydzę, pożegnam na zawsze. Nigdy nie wypomnisz mi przeszłości, prawda?

Łzy mąciły mi głos. Nie mogąc odpowiedzieć, przycisnąłem Małgorzatę do serca.

— No, cóż — zwróciła się do Prudencji wzruszonym głosem — opowie pani księciu, co pani tu widziała, i doda pani, że on nie jest nam potrzebny.

Od tego dnia począwszy nie było mowy o księciu. Małgorzata nie była już tą dziewczyną, którą kiedyś znałem. Unikała wszystkiego, co mogłoby przypomnieć środowisko, w którym ją poznałem. Nigdy żona ani siostra nie mogłaby okazać mężowi czy bratu takiej miłości i troski, jaką mnie otaczała. Jej natura, wyczulona przez chorobę, była wrażliwa na wszystko, podatna na wszelkie uczucia. Zerwała ze swymi koleżankami i ze swymi nawykami, ze swym językiem i dawną rozrzutnością. Kiedyśmy wychodzili z domu, aby pojechać na spacer kupioną przeze mnie śliczną łódką, nikt nie mógłby przypuścić, że ta kobieta w białej sukni i wielkim słomkowym kapeluszu, z przewieszonym przez ramię jedwabistym futerkiem, które miało ją chronić przed chłodem wiejącym od rzeki — że to jest Małgorzata Gautier, której zbytki i skandale jeszcze cztery miesiące temu wywoływały taki rozgłos.

Niestety, za szybko chcieliśmy być szczęśliwi, jakbyśmy przeczuwali, że to szczęście nie może być długotrwałe.

Od dwóch miesięcy nie byliśmy w Paryżu. Nikt nas nie odwiedzał z wyjątkiem Prudencji i owej Julii Duprat, o której już wspomniałem i której Małgorzata miała później powierzyć swą wzruszającą opowieść.

Spędzałem całe dni u stóp mojej przyjaciółki. Otwieraliśmy okna wychodzące na ogród i patrząc na kwiaty, rozchylające kielichy w radosnej pełni lata, oddychaliśmy życiem prawdziwym, którego ani Małgorzata, ani ja nie znaleźliśmy dotychczas.

Ta kobieta dziwiła się jak dziecko na widok najbliższych rzeczy. Bywały dni, kiedy niczym dziesięcioletnia dziewczynka goniła po ogrodzie za motylem lub ważką. Kurtyzana, która potrafiła wydawać na bukiety więcej, niż potrzebowała cała rodzina na dostatnie życie, siedziała nieraz na

trawie całą godzinę, przyglądając się zwykłej stokrotce.

W tym właśnie czasie czytywała często *Manon Lescaut*. Niejeden raz przyłapałem ją na kreśleniu uwag na marginesie książki. I ciągle mówiła, że kobieta, która kocha, nie postępuje tak jak Manon.

Otrzymała dwa albo trzy listy od księcia. Rozpoznawszy pismo, oddawała mi je nie czytane. Treść tych listów wyciskała mi niekiedy łzy z oczu.

Księżę sądził, że zamykając przed nią swą kabzę, zdoła odzyskać Małgorzatę. Kiedy się jednak przekonał, że ten sposób zawodzi, nie mógł wytrzymać: napisał znowu prosząc, aby mu pozwolono wrócić jak dawniej, i godził się na wszelkie warunki.

Czytałem te natarczywe, ciągle ponawiane listy i darłem je, nic nie mówiąc Małgorzacie o tym, co zawierały, nie radząc jej, aby się spotkała ze starcem, chociaż skłaniało mnie do tego współczucie dla nieboraka. Obawiałem się, by nie pojęła mej rady w ten sposób, że zwracając księciu prawo do wizyt, chcę obciążyć go znowu kosztami utrzymania domu. Bałem się przede wszystkim, by nie posądziła mnie o to, że byłbym zdolny wyrzec się odpowiedzialności za jej życie i odżegnać od konsekwencji, jakie jej miłość dla mnie mogłaby za sobą pociągnąć.

W rezultacie, księżę, nie otrzymując odpowiedzi, przestał pisać, a Małgorzata i ja żyliśmy nadal razem, nie troszcząc się o przyszłość.

XVIII

Trudno byłoby opisać szczegóły naszego nowego życia. Składało się ono z dziecięcych wybryków, pełnych czaru dla nas, ale pozbawionych znaczenia dla osób, którym bym je opowiedział. Wie pan, co to znaczy kochać kobietę, wie pan, jak kurczą się wtedy dni, z jak słodkim uczuciem lenistwa przechodzi się do dnia następnego. Zna pan zdolność zapominania o wszystkim, zdolność, która rodzi się z miłości namiętnej, ufnej i wzajemnej. Wydaje się, iż wszelka istota poza kobietą kochaną jest niepotrzebna we wszechświecie. Żałuje się rozdrobnionych uczuć, ofiarowanych innym kobietom, i nie dopuszcza się możliwości uściśnięcia jakiejś innej ręki poza tą, którą się trzyma w swojej. Mózg nie znosi ani pracy, ani wspomnienia, niczego wreszcie, co by mogło oderwać go od jedynej myśli, która go pochłania. Co dzień odkrywa się w swej kochance nowy czar, nową nieznaną rozkosz.

Często z zapadnięciem nocy siadaliśmy w lasku, który górował nad domem. Słuchaliśmy tutaj odgłosów wieczoru, myśląc o bliskiej już godzinie, kiedy spoczniemy jedno w ramionach drugiego na całą noc aż do rana. Kiedy indziej znowu spędzaliśmy w łóżku cały dzień, nie pozwalając nawet słońcu wtargnąć do pokoju. Zastony były szczelnie zasunięte i zdawało nam się, że świat zewnętrzny na chwilę zatrzymał się w biegu. Tylko Nanine miała prawo otworzyć drzwi, ale jedynie po to, aby wnieść posiłek. Jedliśmy go leżąc i przeplatając go bez ustanku śmiechem i swawolą. Potem następowały chwile snu, gdyż pogrążeni w miłości byliśmy jak dwoje pływaków, którzy wynurzają się na powierzchnię jedynie po to, aby zaczerpnąć powietrza.

Jednakże chwilami spostrzegałem u Małgorzaty smu tek, a nawet łzy. Pytałem ją, skąd te nagłe zmartwienia, i słyszałem w odpowiedzi:

— Nasza miłość, mój drogi Armandzie, nie jest miłością zwykłą. Kochasz mnie tak, jakbym nigdy nie należała do nikogo, i drzę na myśl o tym, że później, wyrzucając sobie tę miłość i wypominając mi moją przeszłość jako przestępstwo, wtrącisz mnie znowu w dawne życie, z którego mnie wyciągnąłeś. Pomyśl, że teraz, kiedy zakosztowałam innego życia, umarłabym, gdybym musiała powrócić do dawnego. Powiedz mi więc, że nie porzucisz mnie nigdy.

— Przysięgam ci!

Patrzyła na mnie tak, jakby chciała wyczytać w moich oczach, że ta przysięga jest szczerą, potem rzuciła mi się w objęcia i tuląc głowę do mojej piersi, mówiła:

— Bo ty nie wiesz, jak bardzo cię kocham!

Pewnego wieczora, wsparci o parapet okna, patrzyliśmy na księżyc, który zdawał się z trudem wynurzać z ławicy obłoków, słuchaliśmy wiatru szumiącego w gałęziach drzew. Trzymając się za ręce milczeliśmy przeszło kwadrans, gdy nagle Małgorzata powiedziała:

— Nadchodzi zima, chcesz może, abyśmy wyjechali?

— Dokąd?

— Do Włoch.

— Nudzisz się więc?

— Boję się zimy, a zwłaszcza naszego powrotu do Paryża.

— Dlaczego?

— Z wielu względów.

I podjęła szybko, przemilczając powody swych obaw:

— Chcesz wyjechać? Sprzedam wszystko, co mam, pojedziemy tam na stałe, pozbędę się resztek swej przeszłości, nikt nie będzie wiedział, kim jestem. Chcesz?

— Jedźmy, jeśli ci to sprawi przyjemność, Małgorzato. Wybierzmy się w podróż. Czy jednak koniecznie trzeba sprzedać rzeczy, które z zadowoleniem odnajdziesz po powrocie? Nie mam tak wielkiego majątku, aby móc przyjąć podobną ofiarę, ale mam jeszcze tyle, abyśmy mogli wygodnie odbyć pięcio- albo sześciomiesięczną podróż, jeśli to cię choć trochę rozerwie.

— A właściwie nie — powiedziała odchodząc od okna i siadając na kozetce w głębi pokoju. — Po co 'wyjeżdżać i tam wydawać pieniądze? Tutaj i tak już dosyć cię kosztuję.

— Robisz mi z tego zarzut, Małgorzato, to nie jest szlachetne.

— Wybacz, przyjacielu — rzekła podając mi rękę — ale zanosi się na burzę i to mi rozstraja nerwy. Nie mówię tego, co chciałabym powiedzieć.

Pocałowała mnie, po czym popadła w długą zadumę.

Podobne sceny powtarzały się wiele razy, nie wiedziałem, co jest ich powodem, niemniej jednak domyślałem się, że Małgorzatę dręczy niepokój o przyszłość. Nie mogła wątpić o mojej miłości, która pogłębiała się z każdym dniem, a jednak często ogarniał ją smutek. I jeśli zwierzała mi się z przyczyn tego smutku, były to zawsze przyczyny natury fizycznej.

Sądząc, że męczy ją życie zbyt monotonne, proponowałem jej powrót do Paryża, ale zawsze odmawiała, zapewniając mnie, że nigdzie nie będzie tak szczęśliwa, jak na wsi.

Prudencja przyjeżdżała rzadko, za to pisała listy, o które nigdy nie pytałem Małgorzaty, choć każdy list poważnie ją absorbował. Mogłem tylko snuć domysły.

Pewnego dnia, widząc, że Małgorzata nie opuszcza swego pokoju, wszedłem do niej. Pisała.

— Do kogo piszesz? — zapytałem.

— Do Prudencji. Chcesz, abym ci przeczytała ten list?

Czułem wstręt do wszystkiego, co mogłoby się wydać podejrzeniem, odpowiedziałem więc, że nie muszę wiedzieć, co pisze. Miałem jednak pewność, że ten list wyjaśniłby mi istotną przyczynę jej smutku.

Nazajutrz była piękna pogoda. Małgorzata zaproponowała mi wycieczkę łodzią na wyspę Croissy. Wydawała się bardzo wesoła. Wróciliśmy do domu o piątej.

— Była tu pani Duvernoy — oznajmiła Nanine.

— I wyjechała z powrotem? — zapytała Małgorzata.

— Tak, powozem pani. Powiedziała, że tak było umówione.

— Dobrze — odrzekła żywo Małgorzata. — Proszę podać do stołu.

W dwa dni później nadszedł list od Prudencji i przez dwa tygodnie Małgorzata była jak gdyby wolna od tajemniczych napadów melancholii, za które ciągle mnie przepraszała.

Tymczasem powóz nie wracał.

— Czemuż to Prudencja nie odsyła ci powozu? — zapytałem któregoś dnia.

— Jeden z koni jest chory, a powóz wymaga naprawy. Lepiej będzie, jeśli to wszystko zostanie załatwione, dopóki jesteśmy tutaj, niż po naszym powrocie do Paryża. Tutaj powóz nam niepotrzebny.

Prudencja odwiedziła nas w kilka dni później i potwierdziła to, co powiedziała Małgorzata. Obie kobiety spacerowały same po ogrodzie, a kiedy przyłączyłem się do nich, zmieniły temat rozmowy.

Wieczorem, odjeżdżając, Prudencja skarżyła się na chłód i poprosiła Małgorzatę o pożyczenie jej kaszmirowego szala.

Tak upłynął miesiąc. W tym czasie Małgorzata była weselsza i bardziej rozkochana niż kiedykolwiek.

Tymczasem powóz nie wracał, szal kaszmirowy nie został odesłany. Wszystko to intrygowało mnie mimo woli, a że wiedziałem, w której szufladzie Małgorzata przechowuje listy Prudencji,

skorzystałem z chwili, kiedy Małgorzata była w ogrodzie, pobiegłem do szuflady i spróbowałem ją otworzyć. Na próżno, była zamknięta na klucz.

Wówczas przeszukałem szuflady, w których zazwyczaj leżały klejnoty i diamenty. Te nie były zamknięte, ale stwierdziłem, że szkatułki zniknęły, oczywiście wraz z całą zawartością.

Dojmujący lęk ścisnął mi serce.

Miałem już zażądać od Małgorzaty wyjaśnień, ale zaniechałem tego, bo przecież nie powiedziałyby mi całej prawdy.

— Moja droga Małgorzato — zwróciłem się tedy do niej — przychodzę cię prosić o pozwolenie na wyjazd do Paryża. U mnie w domu nie wiedzą, gdzie jestem, a powinny były nadejść listy od ojca. Na pewno się niepokoi, więc muszę mu odpowiedzieć.

— Jedź, kochanie, ale wracaj wcześniej.

W Paryżu pobiegłem wprost do Prudencji.

— Moja pani — powiedziałem bez dłuższych wstępów — niech mi pani powie otwarcie, gdzie są konie Małgorzaty?

— Sprzedane.

— A szal kaszmirowy?

— Sprzedany.

— Diamenty?

— Zastawione.

— Kto sprzedał je i zastawił?

— Ja.

— Dlaczego mnie pani o tym nie zawiadomiła?

— Bo Małgorzata mi zakazała.

— A dlaczego nie zwróciła się pani do mnie o pieniądze?

— Dlatego że ona nie chciała. — Na co poszły te pieniądze?

— Na długi.

— Ma więc dużo długów?

— Jeszcze trzydzieści tysięcy franków albo prawie tyle. Ach, mój drogi, uprzedzałam pana. Nie chciał pan wierzyć, no więc teraz jest już pan chyba przekonany. Tapicer, wobec którego za wydatki Małgorzaty odpowiadał książe, został przez niego wyrzucony za drzwi, a nazajutrz książe napisał mu, że nic już nie uczyni dla panny Gautier. Tapicer domagał się pieniędzy, dano mu kilka zaliczek. Poszło na nie kilka tysięcy franków, o które parna prosiłam. Potem znalazły się litościwe dusze, które ostrzegły go, że jego dłużniczka, porzucona przez księcia, żyje z chłopcem bez majątku. Inni wierzyciele zostali również powiadomieni, zażądali pieniędzy i przysłali komornika. Małgorzata chciała już wszystko sprzedać, ale było za późno, zresztą ja bym się temu sprzeciwiła. Trzeba było płacić, a nie chcąc prosić pana o pieniądze, sprzedała konie i kaszmiry i zastawiła klejnoty. Chce pan rzucić okiem na poświadczenia nabywców i kwity lombardowe?

I otworzywszy szufladę, Prudencja pokazała mi kwity.

— Ach, sądził pan — ciągnęła z uporem kobiety, która ma prawo powiedzieć: „Miałam rację!” — sądził pan, że wystarczy kochać kobietę i pędzić z nią na wsi sielankowe i beztrudne życie? Nie, mój drogi, nie! Istnieje byt materialny i najbardziej wzniosłe postanowienia są związane z ziemią niemi, które mogą wydawać się śmieszne, ale są z żelaza i nie dają się łatwo przeciąć. Jeżeli Małgorzata nie zdradziła pana ze dwadzieścia razy, to dlatego, że jest naturą wyjątkową. Ja nie szczeniłam jej rad, bo trapiło mnie to, iż biedaczka wyzbywa się wszystkiego. Ale nie chciała! Mówiła, że kocha pana i że nie zdradzi pana za nic w świecie. Wszystko to jest bardzo ładne, bardzo poetyczne, ale nie tą

monetą płaci się wierzycielom. Teraz nie wykaraska się, jeżeli nie zdobędzie trzydziestu tysięcy franków, powtarzam to panu.

— Dobrze, ja dam tę sumę.

— Pożyczy ją pan?

— Mój Boże, tak.

— Ładna historia! Pokłóci się pan z ojcem, obciąży pan swe dochody, a niełatwo jest znaleźć tak z dnia na dzień trzydzieści tysięcy franków. Niech mi pan wierzy, drogi Armandzie, znam lepiej kobiety niż pan. Nie rób pan tego głupstwa, które prędzej czy później trzeba będzie odpokutować. Niech pan będzie rozsądny. Nie namawiam pana do porzucenia Małgorzaty, ale niech pan żyje z nią tak, jak na początku lata. Niech pan jej pozwoli uwolnić się od kłopotów. Księżę wróci do niej z czasem. Hrabia N., jeśli go przyjmie na powrót — powiedział mi to wczoraj — zapłaci wszystkie długi i będzie jej dawał cztery albo pięć tysięcy franków miesięcznie. On ma dwieście tysięcy franków rocznej renty. Zapewni jej pozycję, podczas gdy pan, tak czy inaczej, będzie musiał Małgorzatę opuścić. Niechże pan nie zwleka z tym do chwili, kiedy będzie pan zrujnowany, tym bardziej że hrabia N. jest durniem i nikt nie zabroni panu być kochankiem Małgorzaty. Ona z początku trochę popłacze, ale w końcu przyzwyczai się i będzie panu wdzięczna za to, co pan zrobił. Niech się panu zdaje, że Małgorzata jest mężatką i że przyprawia pan rogi jej mężowi. To wszystko. Mówiłam już to panu kiedyś, tylko że wtedy była to jedynie rada, a dzisiaj to prawie konieczność.

Prudencja miała rację, choć racja ta była nieco okrutna.

— Tak to już jest — ciągnęła dalej zamykając szufladę z kwitami. — Kobiety lekkich obyczajów potrafią przewidzieć tylko to, że ktoś je będzie kochał, nigdy, że same pokochają, bo inaczej odkładałyby pieniądze i z nadejściem trzydziestki mogłyby zafundować sobie luksus posiadania kochanka, który by im nie płacił. Gdybym kiedyś wiedziała to, co wiem teraz!... Jednym słowem, niech pan nic nie mówi Małgorzacie i sprowadzi ją z powrotem do Paryża. Żyliście z sobą sam na sam cztery albo pięć miesięcy, to wystarczy. A teraz niech pan przymknie oczy. To wszystko, czego się od pana wymaga. Za dwa tygodnie Małgorzata zgodzi się na hrabiego N., przez zimę będzie odkładała, a latem przyszłego roku zaczniecie od nowa. Tak się to robi, mój drogi!

Prudencja wydawała się zachwycona swoją radą, ja odrzuciłem ją z oburzeniem.

Nie tylko miłość moja i godność nie pozwalały mi postępować tak, jak radziła Prudencja, ale ponadto byłem przekonany, że w obecnym swoim stanie Małgorzata będzie wolała raczej umrzeć niż zgodzić się na podobny kompromis.

— Dostyc żartów — rzekłem do Prudencji. — Ostatecznie, ile Małgorzacie potrzeba?

— Mówiłam już, że trzydzieści tysięcy franków.

— Kiedy ta suma musi być wpłacana?

— Przed upływem dwóch miesięcy.

— Będzie ją miała. Prudencja wzruszyła ramionami.

— Wręcę ją pani, ale proszę mi przysiąc, że nic pani o tym nie powie Małgorzacie.

— Niech pan będzie spokojny.

— A jeżeli ona przyśle pani coś jeszcze na sprzedaż lub zastaw, proszę mnie zawiadomić.

— Nie ma obawy, ona już nic nie posiada. Zajrzałem do domu, aby się dowiedzieć, czy nie ma listów od ojca. Były cztery.

W pierwszych trzech listach ojciec dawał wyraz swej trosce z powodu mego milczenia i pytał o jego przyczyny. W ostatnim dawał mi do zrozumienia, że wie już o zmianie, jaka zaszła w moim życiu, i zapowiadał rychły przyjazd.

Miałem zawsze wielki szacunek i szczerzy sentyment dla mego ojca. Odpowiedziałem mu więc, że przyczyną mego milczenia była krótka podróż, i prosiłem, by zawiadomił mnie o dniu swego przyjazdu, iżbym mógł wyjść mu na spotkanie.

Zostawiłem służącemu swój adres wiejski, poleciwszy mu przywieźć pierwszy list, jaki nadejdzie z miasta C, po czym odjechałem natychmiast do Bougival.

Małgorzata czekała na mnie przy furtce ogrodowej.

W jej spojrzeniu widać było niepokój. Rzuciła mi się na szyję, ale nie mogła się powstrzymać od pytania:

— Widziałeś się z Prudencją?

— Nie.

— Byłeś dość długo w Paryżu...

— Zostałem w domu listy od ojca i musiałem na nie odpowiedzieć.

W parę minut później weszła zadyszana Nanine. Małgorzata wstała i zamieniła z nią kilka słów szeptem. Kiedy Nanine wyszła, Małgorzata usiadła obok mnie i wzięwszy za rękę powiedziała:

— Dlaczego skłamałeś? Byłeś u Prudencji.

— Kto ci to powiedział?

— Nanine.

— A skąd ona wie o tym?

— Śledziła cię.

— Kazałaś mnie śledzić?

— Tak. Pomyślałam sobie, że musi być poważna przyczyna, skoro tak nagle pojechałeś do Paryża, ty, który nie opuszczasz mnie od czterech miesięcy. Bałam się, czy nie stało ci się coś złego albo czy nie masz jakiejś innej kobiety.

— Dzieciaku!

— Teraz jestem już spokojna. Wiem, coś robił, ale nie wiem jeszcze, co ci nagadano.

Pokazałem Małgorzacie listy od ojca.

— Nie o to cię pytam. Chciałabym wiedzieć, po coś poszedł do Prudencji.

— Aby ją zobaczyć.

— Kłamiesz, mój drogi.

— No więc poszedłem ją zapytać, czy koń ma się lepiej, czy ona nie potrzebuje już twego kaszmiru ani twoich klejnotów.

Małgorzata zaczerwieniła się, ale nic nie odrzekła.

— I tak dowiedziałem się, coś zrobiła z końmi, szalem i diamentami.

— Masz mi to za złe?

— Mam ci za złe, że nie przyszło ci na myśl poprosić mnie o to, czego potrzebowałam.

— W takim związku jak nasz, jeśli kobieta ma choć trochę godności, powinna raczej wziąć na siebie wszelkie możliwe ofiary niż zwracać się o pieniądze do kochanka i tym samym nadawać swej miłości jakiś rys sprzedajności. Kochasz mnie, jestem tego pewna, ale nie wiesz, jak cienka jest nić, która łączy serce mężczyzny z takimi kobietami jak ja. Któż to wie, może któregoś dnia niedostatek

albo jakaś przykrość podsunie ci myśl, że w naszym związku tkwi kalkulacja oparta na wyrachowaniu! Prudencja jest gadatliwa. Na co potrzebne mi konie? Sprzedałam je dla oszczędności, mogę się bez nich obejść i nic już na nie nie wydaję. Bylebyś tylko mnie kochał, to wszystko, czego wymagam, a będziesz mnie kochał tak samo bez koni, kaszmirów i diamentów. Wszystko to było powiedziane tonem tak naturalnym, że słuchałem ze łzami w oczach.

— Ależ moja zagna Małgorzato — odrzekłem ściskając czule ręce przyjaciółki — wiedziałaś przecież, że któregoś dnia dowiem się o twojej ofercie, a wtedy nie będę mógł się na nią zgodzić.

— A to dlaczego?

— Dlatego, drogie dziecko, że nie życzę sobie, aby uczucie, jakie żywisz dla mnie, narażało cię na utratę choćby jednego klejnotu. Również i ja nie chcę, abyś w momencie niedostatku czy przykrości mogła sobie pomyśleć, że gdybyś żyła z innym człowiekiem, taka chwila by się nie zdarzyła. Nie chcę, abyś sobie wyrzucała choćby przez jedną minutę, że żyjesz ze mną. Za parę dni odzyskasz swe konie, diamenty i kaszmiry. Są one dla ciebie równie niezbędne, jak powietrze, i może to śmieszne, ale podobasz mi się bardziej jako kobieta otoczona luksusem niż żyjąca w skromnych warunkach.

— No, to w takim razie już mnie nie kochasz!

— Oszalałaś!

— Bo gdybyś mnie kochał, pozwoliłbyś mi kochać cię tak, jak tego pragnę. Tymczasem przeciwnie, wciąż widzisz we mnie dziewczę, dla której luksus jest nieodzowny i której uważasz za konieczne ciągle płacić. Wstydzisz się przyjmować dowody mojej miłości. Mimo własnej woli zamierzasz porzucić mnie pewnego dnia i zależy ci na tym, aby twoja przyzwoitość była wolna od wszelkich podejrzeń. Masz rację, mój drogi, ale spodziewałam się czegoś więcej.

Małgorzata uczyniła ruch, jakby chciała wstać, ale powstrzymałem ją mówiąc:

— Chcę, abyś była szczęśliwa i abyś nie miała mi nic do zarzucenia, to wszystko.

— A jednak musimy się rozstać!

— Dlaczego, Małgorzato? Kto może nas rozdzielić?

— Ty, który nie chcesz, abym zrozumiała twoją sytuację i który masz próżną ambicję ocalenia mojej, ty, który zachowując mój dotychczasowy zbytek, chcesz zachować dystans moralny, jaki nas dzieli, ty wreszcie, który nie wierzysz, że moje uczucie jest na tyle bezinteresowne, iż mógłbyś się podzielić ze mną tym, co masz i co wystarczy najzupełniej, abyśmy mogli żyć szczęśliwie razem, ty, który wolisz się zrujnować niż wyzbyć się śmiesznego przesądu. Czy sądzisz, że powóz i klejnoty są dla mnie tyleż warte, co twoja miłość? Czy sądzisz, że szczęście polega na zaspokajaniu próżności dającym zadowolenie, kiedy się nie kocha, a będącym czymś nie do zniesienia, kiedy Obdarza się kogoś uczuciem? Zapłacisz moje długi, zdyskontujesz swój majątek i będziesz mnie nareszcie utrzymywał! Jak długo to potrwa? Dwa albo trzy miesiące, a potem będzie za późno na rozpoczęcie życia, które ci proponuję, bo wtedy będziesz się musiał godzić na wszystko, cokolwiek uczynię, a to właśnie nie przystoi człowiekowi honoru; gdy tymczasem obecnie masz osiem albo dziesięć tysięcy rocznej renty, które pozwalają nam przyzwoicie żyć. Sprzedam wszystko, co zbyteczne, i sama ta wyprzedaż da mi dwa tysiące franków rocznie. Wynajmiemy sobie ładne mieszkanie, w którym będziemy sami. Latem będziemy wyjeżdżać na wieś nie do takiego domu jak ten, ale do małego domku na dwie osoby. Ty jesteś niezależny, ja jestem wolna, jesteśmy młodzi. Na Boga, Armandzie, nie wtrącaj mnie z powrotem w żywot, jaki musiałam prowadzić dawniej.

Nie mogłem odpowiedzieć, łzy uznania i miłości zalewały mi oczy, rzuciłem się w ramiona Małgorzaty.

— Chciałam wszystko załatwić ci nie mówiąc — ciągnęła dalej — zapłacić wszystkie długi, urządzić nowe mieszkanie. W październiku wrócilibyśmy do Paryża i sprawa byłaby wyjaśniona.

Skoro jednak Prudencja powiedziała ci wszystko, musisz zgodzić się na to przedtem, zamiast, jak chciałam, już po fakcie. Czy kochasz mnie na tyle?...

Był to wyraz oddania, któremu niepodobna się było oprzeć. Całowałem z żarem rękę Małgorzaty mówiąc:

— Zrobię wszystko, co zechcesz.

Ogarnęła ją wówczas szalona radość: tańczyła, śpiewała, cieszyła się skromnością swego nowego mieszkania, omawiała już ze mną sprawy jego rozkładu i dzielnicy, w której powinno się znajdować. Była szczęśliwa i dumna z decyzji, która miała nas związać z sobą ostatecznie.

Nie chciałem pozostać jej dłużny. W jednej chwili powziąłem myśl, która zadecydowała o moim życiu. Ustaliłem swą sytuację majątkową i przepisałem na rzecz Małgorzaty rentę, którą miałem po matce, a która wydawała mi się zbyt nikła, aby wynagrodzić poświęcenie przyjaciółki.

Zostawało mi jeszcze pięć tysięcy franków pensji, którą wypłacał mi ojciec. Cokolwiek mogłoby się stać, roczna pensja powinna była zawsze wystarczyć mi na życie.

Nic nie powiedziałem Małgorzacie o swojej decyzji, byłem bowiem pewien, że odrzuci mój dar.

Źródłem owej renty była hipoteka w wysokości sześćdziesięciu tysięcy franków na pewnym domu, którego nigdy nie widziałem. Wiedziałem tylko, że co każdy kwartał notariusz mojego ojca, stary przyjaciel naszej rodziny, wypłacał mi siedemset pięćdziesiąt franków za zwykłym pokwitowaniem odbioru.

Tego dnia, kiedy Małgorzata i ja powróciliśmy do Paryża, aby rozpocząć poszukiwania mieszkania, udałem się do notariusza i zapytałem go, co powinienem uczynić, aby przekazać moją rentę innej osobie.

Zacny ten człowiek pomyślał, że jestem zrujnowany, i zapytał mnie o powód tej decyzji. Ponieważ wcześniej czy później musiałbym mu powiedzieć, na czyją korzyść dokonuję tej zmiany, uznałem, że lepiej od razu wyjawić mu prawdę. Nie wysunął żadnego zastrzeżenia, do czego uprawniało go stanowisko notariusza i przyjaciela, i zapewnił mnie, że bierze na siebie załatwienie całej sprawy. Poprosiłem go, oczywiście, o jak najściślejszą dyskrecję wobec mojego ojca i poszedłem po Małgorzatę, która czekała na mnie u Julii Duprat, wołała bowiem zatrzymać się u niej niż wysłuchiwać morałów Prudencji.

Ruszyliśmy na poszukiwanie mieszkania. Wszystko, cośmy oglądali, Małgorzata uważała za zbyt drogie, a ja — za zbyt skromne. W końcu jednak uznaliśmy zgodnie, że najlepiej odpowiada nam położona w jednej z najspokojniejszych dzielnic Paryża mała oficyna, oddalona nieco od głównego domu. Za oficyną rozciągał się przemiły ogródek, który otaczały mury dostatecznie wysokie, aby nas odgrodzić od sąsiadów, i dostatecznie niskie, aby nie przesłaniać nam widoku. Trafiliśmy więc lepiej, niż się spodziewaliśmy.

Poszedłem do domu, aby zwolnić swoje mieszkanie, Małgorzata zaś udała się do pewnego pośrednika, który, jak twierdziła, zrobił już dla jednej z jej przyjaciółek to, o co chciała go prosić dla siebie.

Wróciła do mnie, na ulicę Provence, szczęśliwa. Ów człowiek podjął się uregulować wszystkie jej długi, wręczyć jej pokwitowanie i w zamian za meble dopłacić jeszcze dwadzieścia tysięcy franków. Wiedząc, jaką sumę osiągnęła licytacja, zdaje pan sobie sprawę, że ten uczynny osobnik byłby jeszcze zarobił na swojej klientce trzydzieści tysięcy franków.

Wróciliśmy do Bougival bardzo zadowoleni, pochłonięci rozważaniem projektów na przyszłość, którą nasza beztroska i miłość ukazywały nam w najbardziej różowym świetle.

W tydzień później, gdyśmy siedzieli przy śniadaniu, Nanine oznajmiła nam, że mój służący pragnie ze mną rozmawiać.

— Proszę pana — oświadczył — ojciec pana przyjechał do Paryża i prosi, żeby pan natychmiast wrócił do domu, gdzie na pana czeka.

Wiadomość ta była rzeczą najzwyczajszą w świecie, a jednak Małgorzata i ja spojrzeliśmy po sobie z niepokojem. Przeczuliśmy nieszczęście. Nie czekając, aż zwierzy mi się z wrażenia, które i ja podzielałem, dotknąłem jej ręki i rzekłem:

— Nic się nie bój.

— Wracaj jak najprędzej — całując mnie szepnęła Małgorzata. — Będę czekała przy oknie.

Odesłałem Józefa, polecając mu powiedzieć ojcu, że przybędę niebawem. Istotnie, w dwie godziny później byłem już na ulicy Provence.

Ojciec, w szlafroku, siedział w gabinecie i pisał.

Gdy wszedłem, podniósł na mnie oczy z takim wyrazem, iż domyśliłem się od razu, że mowa będzie o poważnych sprawach.

Przywitałem się z nim tak, jak gdybym nic nie wyczytał z jego twarzy.

— Kiedy przyjechałeś, ojcze?

— Wczoraj wieczór.

— Zajechałeś wprost do mnie, jak zwykle?

— Tak.

— Żałuję, że nie było mnie tutaj, aby cię przywitać. Spodziewałem się, że zaraz po tym zdaniu nastąpi

pouczenie moralne, jakie zapowiadała zimna twarz ojca. Ale nie odrzekł nic, zapieczętował list i polecił Józefowi nadać go na pocztę.

Kiedyśmy zostali sami, ojciec wstał i oparłszy się o kominek powiedział:

— Musimy, mój drogi Armandzie, pomówić o sprawach poważnych.

— Słucham cię, ojcze.

— Przrzekasz mi, że będziesz szczery?

— Zawsze jestem szczery.

— Czy to prawda, że żyjesz z kobietą nazwiskiem Małgorzata Gautier?

— Tak.

— Czy wiesz, kim ona była?

— Kobietą lekkich obyczajów.

— I to dla niej zapomniałeś odwiedzić nas w tym roku, siostrę i mnie?

— Tak, wyznaję to, ojcze.

— Bardzo więc kochasz tę kobietę?

— Sam widzisz, ojcze, skoro dla niej zaniedbałem święty obowiązek, co proszę pokornie mi teraz wybaczyć.

Ojciec nie oczekiwał chyba odpowiedzi tak kategorycznych, bo jak gdyby zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

— Zrozumiałeś chyba, że nie będziesz mógł w ten sposób żyć zawsze?

— Obawiałem się, ojcze, trudności związanych z takim życiem, ale nie zdawałem sobie z nich sprawy.

— Powinieneś jednak zrozumieć — podjął ojciec tonem nieco bardziej oschłym — że ja tego nie ścierpię.

— Powiedziałem sobie, że dopóki nie uczynię czegoś, co byłoby sprzeczne z szacunkiem, jaki winienem twojemu imieniu i tradycji rodzinnej, dopóty mogę żyć, jak żyję. I to rozproszyło nieco moje obawy.

Namiętności są silniejsze od uczuć rodzinnych. Aby zachować Małgorzatę, gotów byłem walczyć nawet z ojcem.

— No więc, nadeszła pora, aby zacząć żyć inaczej.

— Dlaczegoż to, drogi ojcze?

— Dlatego że twoje postępowanie podrywa szacunek, który rzekomo żywisz dla swojej rodziny.

— Nie umiem sobie wytłumaczyć tych słów.

— No, to ja ci je wytłumaczę. Że masz kochankę — to jest w porządku. Że płacisz jej jak przyzwoity pan powinien opłacać miłość dziewczyny lekkich obyczajów — to też jest w najlepszym porządku. Ale że dla niej zapominasz o sprawach najświętszych, że pozwalasz na to, aby pogłoski o twoim skandalicznym zachowaniu docierały aż do mnie na prowincję i rzucały cień na szacowne nazwisko, jakie ci dałem, oto czego być nie powinno i czego nie będzie.

— Ojciec pozwoli sobie powiedzieć, że ci, którzy informowali go o mojej osobie, sami są źle poinformowani. Jestem kochankiem panny Gautier, żyję z nią, to rzecz najzwyczajniejsza w świecie. Nie daję pannie Gautier nazwiska, które otrzymałem od ciebie, wydaję na nią to, na co zezwalają mi moje środki, nie mam żadnych długów i wreszcie nie znalazłem się w żadnej z tych sytuacji, które by uprawniały ojca do powiedzenia synowi tego, coś ty mi powiedział.

— Każdy ojciec ma prawo sprowadzić syna ze złej drogi, na którą wstąpił. Nie zrobiłeś jeszcze nic złego, ale na pewno zrobisz.

— Ojcze!

— Panie, znam lepiej życie niż pan. Uczucia prawdziwie czyste są udziałem jedynie kobiet prawdziwie cnotliwych. Każda Manon może sobie wychować jakiegoś Des Grieux, ale czasy się zmieniły, jak również i obyczaje. Byłoby źle, gdyby świat się starzał, a nie doskonalił. Opuści pan swą kochankę.

— Bardzo mi przykro, ojcze, że nie będę posłuszny, ale to niemożliwe.

— Zmuszę pana do tego.

— Niestety, ojcze, nie ma już wysp Świętej Małgorzaty, na które zsyłano kurtyzany, a gdyby jeszcze były, podążyłbym tam za panną Gautier, gdyby ojciec spowodował jej zesłanie. Cóż ojciec chce? Może to niezrozumiałe, ale szczęśliwy mogę być jedynie pod warunkiem, że pozostanę nadal kochankiem tej kobiety.

— Ależ, Armandzie, proszę sobie uprzytomnić, że stoi przed panem ojciec, który zawsze pana kochał i życzy mu tylko szczęścia. Czy to licuje z godnością pana — żyć w stanie małżeńskim z dziewczyną, którą wszyscy posiadali?

— Czy to ważne, ojcze, skoro nikt już nie będzie jej posiadał! Czy to ważne, skoro ta dziewczyna kocha mnie, skoro odradza się dzięki swojej miłości dla mnie i dzięki mojej miłości dla niej! Czy to ważne wreszcie, skoro jest nawrócona!

— Ech, czy myśli pan, że zadaniem człowieka honoru jest nawracać kurtyzany? Myśli pan, że tak śmieszny cel Bóg wyznaczył życiu i że serce tylko tym powinno się cieszyć? Jakiż będzie wynik tej cudownej kuracji i co pan sobie pomyśli o dzisiejszej rozmowie, kiedy będzie pan miał czterdzieści lat? Będzie się pan śmiał z tej miłości, jeżeli w ogóle potrafi się pan śmiać, jeżeli ta miłość nie pozostawi zbyt głębokich śladów. Czym byłby pan dzisiaj, gdybym ja, ojciec, wyznawał pańskie poglądy i gdybym rzucił swe życie na pastwę różnych igraszek miłości, zamiast zbudować je niezachwianie na idei honoru i uczciwości? Zastanów się pan i nie mów podobnych głupstw. No więc, opuści pan tę kobietę, ojciec błaga pana o to. Nie odpowiedziałem nic.

— Armandzie — ciągnął dalej ojciec — w imieniu twojej świętej matki, wyrzeknij się tego życia, o którym zapomnisz prędkiej, niż ci się wydaje, z którym wiąże cię jakaś niedorzeczna teoria. Masz dwadzieścia cztery lata, pomyśl o przyszłości. Nie możesz zawsze kochać tej kobiety, tak jak i ona nie zawsze będzie cię kochała. Oboje wyolbrzymiacie swoje uczucia. Zamykasz przed sobą karierę. Jeden krok więcej, a nie będziesz w stanie porzucić tej drogi i przez całe życie będzie cię dręczył wyrzut młodości. Wyjedź, spędź miesiąc albo dwa w towarzystwie swej siostry. Spokój i miłość rodziny ulecą cię z tej gorączki, bo to przecież nic innego. A przez ten czas przyjaciółka twoja się

pocieszysz, znajdzie sobie innego kochanka, i kiedy się przekonasz, dla kogo nieomal pokłóciłeś się z ojcem i straciłeś jego przywiązanie, powiesz mi, że miałem rację przyjeżdżając tu do ciebie, i będziesz mnie błogosławił. No więc, wyjedziesz, Armandzie, prawda?

Czułem, że ojciec ma rację, jeśli chodzi o inne kobiety, ale byłem przekonany, że nie ma racji w stosunku do Małgorzaty. Niemniej jednak ton, jakim wypowiedział ostatnie słowa, był tak łagodny, tak błagamy, że nie śmiałem odpowiedzieć.

— No więc? — dodał wzruszonym głosem.

— No więc, drogi ojcze, nie mogę ci nic przyrzec. To, o co mnie prosisz, jest ponad moje siły. Wierz mi — w tym momencie ojciec uczynił gest zniecierpliwienia — że przejaskrawiasz charakter tego związku. Małgorzata nie jest taką dziewczyną, jak myślisz. Ta miłość nie tylko nie sprowadza mnie na złą drogę, ale, przeciwnie, może rozwinąć we mnie uczucia najbardziej czcigodne. Prawdziwa miłość czyni zawsze lepszym, kimkolwiek byłaby kobieta, którą się kocha. Gdybyś znał Małgorzatę, pojąłbyś, że nie narażam się na nic. Jest ona szlachetna jak najbardziej szlachetne kobiety. Tyle ma w sobie bezinteresowności, ile inni chciwości.

— Co wcale jej nie przeszkadza przyjąć całego majątku pana, bo te sześćdziesiąt tysięcy franków, jakie ma pan po matce, stanowi, proszę to sobie zapamiętać, jedyny pana majątek.

Ojciec zachował prawdopodobnie tę admonicję i groźbę na sam koniec, jako ostatni cios. Byłem jednak silniejszy wobec pogroźek niż wobec próśb.

— Kto ojcu powiedział, że zamierzam oddać jej tę sumę?

— Mój notariusz. Czy człowiek uczciwy uczyniłby coś podobnego, nie uprzedziwszy mnie? Otóż przybyłem do Paryża po to, aby zapobiec rujnowaniu się pana na rzecz jakiejś dziewczki. Matka, umierając, zostawiła panu te pieniądze po to, aby miał pan z czego żyć przyzwoicie, a nie po to, aby obdarowywać swoje kochanki.

— Przysięgam ojcu, że Małgorzata nic nie wie o tej darowiźnie.

— A więc dlaczego pan to robi?

— Dlatego że Małgorzata, kobieta, którą ojciec lży i którą z jego woli miałbym porzucić, poświęca wszystko, co ma, aby móc żyć ze mną.

— I pan godzi się na to? Cóż za mężczyzna z pana, jeśli pozwala pannie Małgorzacie poświęcać dlań cokolwiek? Nie, tego mam już dosyć. Opuści pan tę kobietę. Przed chwilą prosiłem pana o to, a teraz rozkazuję.

Nie życzę sobie podobnych brudów w mojej rodzinie. Proszę się spakować i przygotować do wyjazdu ze mną.

— Przepraszam, ojcze, ale nie pojedę.

— Bo?

— Bo jestem już w tym wieku, kiedy nie słuca się rozkazów.

Ojciec zbladł.

— A więc dobrze, mój panie, wiem już, co mam robić. Zadzwoił. Wszedł Józef.

— Proszę przenieść moje walizy do Hotelu Paryskiego — polecił mu ojciec i przeszedł do mojego pokoju, gdzie skończył się ubierać.

Kiedy wyszedł stamtąd, zbliżyłem się doń i powiedziałem:

— Przyrzeka mi ojciec, że nie uczyni nic takiego, co mogłoby sprawić przykrość Małgorzacie?

Ojciec zatrzymał się, spojrzął na mnie z pogardą i odpowiedział tylko tyle:

— Zdaje się, że pan oszalał.

Po czym wyszedł, trzaskając drzwiami. Z kolei wyszedłem i ja, wynająłem powóz i pojechałem do Bougival. Małgorzata czekała przy oknie.

— Nareszcie! — zawołała rzucając mi się na szyję. — Nareszcie jesteście! Jakiś ty błady!

Opowiedziałem jej scenę z ojcem.

— Ach, mój Boże, domyślałam się tego. Kiedy Józef przywiózł nam wiadomość o przyjeździe twego ojca, zadrżałam jak na wieść o nieszczęściu. Drogi przyjacielu, to z mojego powodu masz zmartwienie. Zrobiłbyś może lepiej, gdybyś mnie opuścił, zamiast kłócić się z ojcem. A przecież nie zrobiłam mu nic złego. Żyliśmy sobie spokojnie, zamierzaliśmy żyć jeszcze spokojniej. Przecież ojciec twój wie, że musisz mieć kochankę, i powinien być zadowolony, że ja nią jestem, bo kocham cię i nie wymagam więcej, niż twoja pozycja na to zezwala. Czy powiedziałeś mu, jak ułożyliśmy sobie przyszłość?

— Tak, i to właśnie najbardziej go zirytowało, bo w tym postanowieniu dopatrywał się dowodu naszej miłości.

— Co teraz robić?

— Trzymać się razem, moja droga Małgorzato, i przeczekać burzę.

— Czy ta burza minie?

— Chyba tak.

— Ale twój ojciec nie poprzestanie na tym.

— A cóż on jeszcze może zrobić?

— Czy ja wiem? Wszystko, co może uczynić ojciec, który chce zmusić syna do posłuszeństwa. Przypomni ci moją przeszłość i uczyni mi może zaszczyt wynalezienia jakiejś nowej sprawki, żeby cię skłonić do zerwania.

— Wiesz dobrze, że cię kocham.

— Tak, ale wiem także, że wcześniej czy później trzeba usłuchać ojca, i w końcu dasz się może przekonać.

— Nie, Małgorzato, to ja go przekonam. Bo tylko plotki paru jego znajomych wywołały ten wielki gniew. Ale on jest dobry i sprawiedliwy i zmieni pogląd na całą sprawę. Ostatecznie, cóż mnie to wszystko obchodzi!

— Nie mów tak, Armandzie. Wolałabym już wszystko, tylko nie posądzenie, że to ja poróżniłam cię z rodziną. Przeczekaj dzisiejszy dzień i jutro wróc do Paryża. Ojciec twój namyśli się, tak jak i ty powinieneś się namyślić, i może w końcu dojdziecie do porozumienia. Nie podważaj jego zasad, udaj, że gotów jesteś na pewne ustępstwa. Postaraj się sprawić na nim wrażenie, że nie zależy ci tak bardzo na mnie, a wtedy ojciec uspokoi się. Nie trać nadziei, przyjacielu, i bądź pewien jednej rzeczy: że cokolwiek się wydarzy, Małgorzata pozostanie przy tobie.

— Przysięgasz mi?

— Czy muszę ci przysięgać?

Cóż to za rozkosz ulegać perswazji głosu, który się kocha! Spędziliśmy cały dzień na roztrząsaniu naszych projektów, jakbyśmy uprzytomnili sobie potrzebę najszybszego ich urzeczywistnienia. Każdej chwili oczekiwaliśmy jakiegoś wydarzenia, ale dzień minął szczęśliwie, nie przynosząc nic nowego.

Nazajutrz wyjechałem o dziesiątej i w południe przybyłem do hotelu. Ojca już nie było. Poszedłem do swego mieszkania, gdzie miałem nadzieję go spotkać. Nikt tam jednak nie zajrzał. Udałem się do notariusza. I tam go nie widziano.

Powróciłem do hotelu i czekałem tam do szóstej. Pan Duval nie wrócił.

Ruszyłem w powrotną drogę do Bougival.

Małgorzata nie czekała na mnie, jak poprzedniego dnia, przy oknie. Siedziała przy kominku, w którym palił się ogień, bo wieczór był już jesienny.

Była tak zamyślona, że nie słyszała mych kroków i nie odwróciła się, gdy podszedłem do jej fotela. Kiedy dotknąłem wargami jej czoła, drgnęła, jak gdyby ten pocałunek nagle ją obudził.

— Przestraszyłeś mnie — powiedziała. — Co z ojcem?

— Nie widziałem go. Nie wiem, co to ma znaczyć. Nie zastałem go ani w hotelu, ani nigdzie, gdzie przypuszczalnie mógłby się znajdować.

— No, to trzeba jutro zacząć od nowa...

— Wolałbym poczekać, aż on sam mnie wezwie. Zrobiłem, zdaje się, wszystko, co powinienem był zrobić.

— Nie, mój drogi, to jeszcze nie wszystko. Musisz wrócić do ojca, i to właśnie jutro.

— Dlaczego właśnie jutro, a nie jakiegoś innego dnia?

— Dlatego że — odparła Małgorzata jakby rumieniąc się przy tym — dlatego że w ten sposób okażesz większą gorliwość i prędzej uzyskamy przebaczenie.

Przez resztę dnia Małgorzata była zatroskana, roztargniona i smutna. Musiałem dwa razy powtarzać pytanie, aby otrzymać odpowiedź. Stan ten tłumaczyła lękiem, jaki ją trapił od dwóch dni.

W ciągu nocy starałem się ją uspokoić. Rano przynaglała mnie do wyjazdu z jakąś niepokojącą natarczywością, której nie umiałem sobie wytłumaczyć.

Tak jak poprzedniego dnia, ojciec był nieobecny, ale wychodząc zostawił dla mnie następujący list:

Jeśli chce pan dzisiaj zobaczyć się ze mną, proszę poczekać na mnie do czwartej. Gdybym do czwartej nie wrócił, proszę przyjść jutro na obiad, który zjemy razem. Muszę z panem porozmawiać.

Poczekalem do czwartej. Ojciec nie zjawił się. Wyjechałem.

Poprzedniego dnia zastałem Małgorzatę smutną, teraz była niespokojna i podniecona. Gdym wszedł, rzuciła mi się na szyję, ale długo płakała w moich ramionach. Ta jej nagła, rosnąca z każdą chwilą boleść przejmowała mnie głęboką trwogą, jednakże na wszystkie moje pytania Małgorzata nie dawała żadnej rzeczowej odpowiedzi, tłumacząc się tym, czym kobieta zwykła się tłumaczyć, gdy nie chce powiedzieć prawdy.

Kiedy się nieco uspokoiła, opowiedziałem jej o wynikach swojej wyprawy. Pokazałem jej list ojca, dodając, że możemy sobie wróżyć po nim więcej dobrego niż złego.

Po przeczytaniu listu i wysłuchaniu mojej uwagi Małgorzata rozplakała się, tak że musiałem wezwać Nanine. Obawiając się nerwowego ataku, położyliśmy ją do łóżka, wciąż jednak płakała nie mówiąc ani słowa i trzymała mnie za rękę, całując je co chwila.

Zapytałem Nanine, czy podczas mojej nieobecności Małgorzata nie odebrała jakiegoś listu czy wizyty, która mogłaby wytłumaczyć ten stan, ale Nanine odrzekła, że nikt nie przyjeżdżał i nic nie nadeszło.

A przecież od poprzedniego dnia działo się coś, co niepokoiło mnie tym bardziej, że Małgorzata ukrywała to przede mną.

Wieczorem jak gdyby uspokoiła się trochę. Gdy usiadłem na jej prośbę w nogach łóżka, poczęła znowu długo zapewniać mnie o swojej miłości. Potem uśmiechała się, ale uśmiechem wymuszonym, bo mimo woli oczy jej zachodziły łzami. Używałem wszelkich sposobów, aby wydobyć z niej istotną przyczynę rozterki, ale ona uporczywie zasłaniała się różnymi mglistymi wyjaśnieniami.

W końcu zasnęła w moich ramionach, lecz owym snem, który bardziej wyczerpuje, niż odświeża. Od czasu do czasu wydawała jakiś okrzyk, budziła się nagle i upewniwszy się, że jestem przy niej,

kazała mi przysięgać, że będę ją zawsze kochał.

Nie umiałem sobie wyjaśnić powodów tego cierpienia, które nękało ją do rana, kiedy to Małgorzata zapadła jakby w drzemkę. Nie spała od dwóch nocy.

Ale i ta drzemka nie trwała długo.

Około jedenastej Małgorzata zbudziła się i widząc, że jestem już ubrany, rozejrzała się wokół i zawołała:

— Już odchodzisz?

— Nie — powiedziałem biorąc ją za rękę — ale nie chciałem cię budzić. Jest jeszcze wcześnie.

— O której jedziesz do Paryża?

— O czwartej.

— Tak wcześnie? Ale do czwartej będziesz ze mną, prawda?

— Oczywiście, czyż nie robię tak zawsze?

— Co za szczęście! — I z wyrazem roztargnienia dodała: — Będziemy jedli śniadanie?

— Jeżeli sobie życzysz.

— A potem będziesz mnie całował aż do chwili odjazdu?

— Tak, i wrócę jak najwcześniej.

— Wrócisz? — spojrzała na mnie błędnym wzrokiem.

— Oczywiście.

— No, tak, wrócisz wieczorem, a ja jak zwykle będę na ciebie czekała. I będziesz mnie kochał, i będziemy szczęśliwi, jak od chwili kiedyśmy się poznali.

Słowa te były powiedziane głosem tak urywanym, zdawały się ukrywać myśl tak dręczącą i natrętą, że zadrzałem, aby Małgorzata nie wpadła w malignę.

— Posłuchaj — rzekłem wreszcie. — Jesteś chora, nie mogę cię zostawić w takim stanie. Napiszę do ojca, żeby na mnie nie czekał.

— Nie! Nie! — wykrzyknęła nagle. — Nie rób tego! Twój ojciec posądzi mnie znowu, że nie pozwałam ci spotkać się z nim, kiedy on chce się z tobą zobaczyć. Nie, nie, musisz jechać, musisz! Zresztą, nie jestem chora, czuję się świetnie. Miałam tylko niedobry sen i nie byłam jeszcze całkiem rozbudzona.

Od tej chwili Małgorzata starała się być wesoła. Już nie płakała.

Kiedy nadeszła godzina odjazdu, pocałowałem ją i zapytałem, czy nie pragnie odprowadzić mnie na dworzec. Wydawało mi się, że spacer ją rozerwie, a świeże powietrze dobrze jej zrobi. Zgodziła się, włożyła płaszcz i odprowadziła mnie wraz z Nanine, aby nie wracać do domu sama.

Wiele razy chciałem zrezygnować z wyjazdu. Ale przeświadczenie, że wrócę niedługo, i obawa, aby znowu nie narazić się ojcu, utwierdziły mnie w podjętej decyzji i wsiałem do pociągu.

— Do wieczora — rzekłem rozstając się z Małgorzatą. Nie odpowiedziała.

Raz już nie odpowiedziała na słowo pożegnania i wówczas, jak pan sobie przypomina, hrabia G. spędził u niej noc. Ale to było tak dawno, że wyleciało mi z pamięci, a jeśli się czegoś obawiałem, to na pewno nie tego, że Małgorzata mnie zdradzi.

Po przybyciu do Paryża pobiegłem do Prudencji. Spodziewając się, że jej humor i wesołość rozerwą Małgorzatę, chciałem ją prosić, aby pojechała do niej w odwiedziny.

Wszedłem bez uprzedzenia i zastałem Prudencję przy toalecie.

— Ach — zaniepokoiła się na mój widok — czy Małgorzata przyjechała razem z panem?

— Nie.

— Jak ona się czuje?

— Jest chora.

— A więc nie przyjedzie?

— A czy miała przyjechać?

Pani Duvernoy zarumieniła się i odpowiedziała z pewnym zakłopotaniem:

— Chciałam powiedzieć: skoro pan przyjechał do Paryża, to może ona przyjedzie za panem?

— Nie.

Spojrzałem na Prudencję. Spuściła oczy, a twarz jej zdawała się wyrażać obawę, aby moja wizyta zbyt długo się nie przeciągnęła.

— Przychodzę właśnie prosić, droga Prudencjo, aby pani zechciała jeszcze dziś wieczorem odwiedzić Małgorzatę, jeśli pani nie ma nic innego do roboty. Dotrzyma jej pani towarzystwa i będzie pani mogła tam przenocować. Nie widziałem jej nigdy w takim stanie jak dzisiaj i drżę ze strachu, że się poważnie rozchoruje.

— Mam dzisiaj proszony obiad i nie będę mogła odwiedzić Małgorzaty, ale zobaczę się z nią jutro.

Pożegnałem Prudencję, która wydała mi się tak samo zafrasowana jak Małgorzata, i poszedłem na spotkanie z ojcem.

Ojciec spojrzał na mnie badawczo i podał mi rękę.

— Twoje dwie wizyty, Armandzie, ucieszyły mnie bardzo. Natchnęły mnie nadzieją, że przemyślałeś sobie całą sprawę, co ja również uczyniłem.

— Czy wolno zapytać, ojcze, do jakich wniosków doszedłeś?

— Doszedłem do wniosku, mój drogi, że zbyt wielką wagę przywiązałem do otrzymanych tutaj informacji, i przyrzekłem sobie, że będę wobec ciebie mniej surowy.

— Co mówisz, ojcze! — zawołałem uradowany.

— Mówię, mój drogi synu, że każdy młody człowiek musi mieć kochankę i że teraz, kiedy posiadam nowe wiadomości, wolę już, abyś był kochankiem panny Gautier niż jakiegokolwiek innej kobiety.

— Mój dobry ojcze, jakież jestem szczęśliwy! Pogawędziliśmy jeszcze kilka chwil i siedliśmy do stołu. Ojciec był czarujący przez cały czas trwania obiadu.

Spieszno mi było do Bougival, aby czym prędzej donieść Małgorzacie o pomyślnej zmianie. Co chwila spoglądałem na zegar.

— Patrzysz na zegar — powiedział ojciec — chciałbyś mnie jak najprędzej pożegnać. Och, młodzi, młodzi, zawsze poświęćcie szczerze uczucia dla uczuć wątpliwych.

— Nie mów tak, ojcze! Małgorzata kocha mnie, jestem tego pewien.

Ojciec nie odpowiedział. Rzekłbyś, że ani o tym wątpił, ani w to wierzył. Bardzo nalegał, abym spędził z nim cały wieczór i wyjechał dopiero nazajutrz. Powiedziałem mu jednak, że zostawiłem Małgorzatę cierpiącą, i poprosiłem, aby mi pozwolił wrócić do niej jak najwcześniej, przyrzekając, że spotkam się z nim następnego dnia.

Pogoda była piękna. Ojciec chciał odprowadzić mnie na stację. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy. Przyszłość rysowała się tak, jak od dawna pragnąłem. Kochałem ojca bardziej niż kiedykolwiek.

W chwili kiedy miałem już odjechać, ojciec jeszcze raz spróbował mnie skłonić do pozostania w Paryżu. Odmówiłem.

— Tak ją kochasz? — zapytał.

— Jak szalenię.

— No to jedź! — i przeciągnął ręką po czole, jakby chciał odpędzić jakąś myśl, otworzył usta, jakby pragnął coś powiedzieć, jednakże uściśnął mi tylko rękę i odszedł rażnym krokiem, mówiąc:

— A więc, do jutra!

Zdawało mi się, że pociąg nie posuwa się naprzód.

Przyjechałem do Bougival o jedenastej wieczorem. W domu ani jedno okno nie było oświetlone. Dzwoniłem, ale nikt nie odpowiadał. Coś podobnego zdarzyło się po raz pierwszy. Wreszcie zjawił się ogrodnik i wpuścił mnie do środka.

Nanine wyszła mi naprzeciw ze świecą w ręce. Wszedłem do pokoju Małgorzaty.

— Gdzie jest pani?

— Pani pojechała do Paryża — odrzekła Nanine.

— Do Paryża?!

— Tak, proszę pana.

— Kiedy?

— W godzinę po panu.

— I nic nie poleciła ci przekazać?

— Nie.

Nanine zostawiła mnie samego.

„Mogła mieć jakieś obawy — pomyślałem sobie. — Pojechała do Paryża, aby się upewnić, czy spotkanie z ojcem nie było pretekstem, by uwolnić się od niej na jeden dzień. A może Prudencja napisała do niej w jakiejś ważnej sprawie...”

A przecież po przyjeździe do Paryża widziałem się z Prudencją i nie powiedziała mi nic takiego, co mogłoby nasunąć myśl, że pisała do Małgorzaty.

Naraz przypomniałem sobie pytanie zadane przez panią Duvernoy, kiedy powiedziałem, że Małgorzata jest chora: „A więc nie przyjedzie dzisiaj?” Przypomniałem sobie jednocześnie zakłopotaną minę Prudencji — pytanie zdawało się wskazywać, że są z sobą umówione — następnie płacz Małgorzaty, który nie ustawał przez cały dzień i o którym zapomniałem trochę pod wpływem dobrego przyjęcia ze strony ojca.

Od tej chwili wszystkie wypadki dnia jęły się wiązać z moim pierwszym podejrzeniem, wszystko, nawet łagodność ojca, utwierdziło to podejrzenie tak silnie, że zamieniło się ono w pewność.

Małgorzata prawie zażądała, abym pojechał do Paryża. Udała spokój, kiedy wyraziłem gotowość pozostania przy niej w domu. Czy wpadłem w pułapkę? Czy Małgorzata mnie zdradza? Czy liczyła na to, że uda jej się wrócić w porę, tak abym się nie dowiedział o jej wyprawie, a przypadek jakiś zatrzymał ją w Paryżu? Dlaczego nic nie powiedziała Nanine, dlaczego nie zostawiła dla mnie listu? Co miały oznaczać jej łzy, jej wyjazd, wszystkie te tajemnicze historie?

Takie zadawałem sobie pytania, przerażony, sam w pustym pokoju, zapatrzony w zegar, który wskazując północ zdawał się mówić, że jest za późno, abym mógł się jeszcze spodziewać powrotu Małgorzaty.

Jednakże po decyzjach, jakie zgodnie powzięliśmy oboje, po obopólnej zgodzie na poniesienie koniecznych ofiar — czy jest możliwe, aby mnie zdradziła? Nie. Odsuwałem od siebie pierwsze przypuszczenia.

Po prostu poczciwa dziewczyna znalazła nabywcę na meble i pojechała do Paryża, aby ostatecznie załatwić sprawę. Nie chciała mnie o tym uprzedzać, wiedząc, że ta sprzedaż, aczkolwiek zgodziłem się na nią jako na niezbędny warunek naszego przyszłego szczęścia, jest dla mnie czymś bardzo przykrym, a mówiąc mi o niej bała się zranić moją miłość własną. Woli więc powrócić dopiero wtedy, gdy wszystko będzie załatwione. Dlatego Prudencja, oczywiście, czekała na nią i wygadała

się przede mną przez swoje pytanie. Małgorzata nie mogła dzisiaj załatwić transakcji i dlatego nocuje u Prudencji. Może jednak przybędzie lada chwila, bo powinna przecież domyślić się, jak bardzo się niepokoję.

Ale w takim razie dlaczego płakała? Niewątpliwie, pomimo całej swej miłości dla mnie, nie mogło, biedactwo, wyrzec się zbytku, nie uroniwszy jednej łzy, zbytku, w którym żyła dotychczas, który stanowił o jej szczęściu i pozycji w świecie.

Gotów byłem wybaczyć Małgorzacie jej żal. Czekałem tylko niecierpliwie, aby okrywając ją pocałunkami powiedzieć, że domyślałem się przyczyn jej tajemniczej nieobecności.

Tymczasem jednak robiło się coraz później, a Małgorzata nie wracała.

Niepokój coraz mocniej ścisnął mój mózg i serce. Może coś jej się stało! Może jest chora, może umarła! Może lada chwila ktoś przyniesie mi wieść o nieszczęśliwym wypadku! Może świt zaskoczy mnie w tym samym stanie niepewności i lęku!

Myśl, że Małgorzata zdradza mnie w tym samym czasie, kiedy czekam na nią szarpany straszliwą rozterką, przestała mnie już dręczyć. Byłem pewien, że tylko jakaś niezależna od jej woli przyczyna zatrzymuje ją z dala ode mnie. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że tą przyczyną może być jedynie jakieś nieszczęście. O próżności ludzka, przybierasz najrozmaitsze postacie!

Wybiła godzina pierwsza. Powiedziałem sobie, że poczekam jeszcze godzinę, a o drugiej, jeśli Małgorzata nie wróci, ruszę do Paryża.

Tymczasem szukałem książki, aby rozproszyc swe myśli. Na stole leżał otwarty egzemplarz *Manon Lescaut*. Odniosłem wrażenie, że niektóre stronicie są jakby zwilżone łzami. Przewertowawszy książkę, zamknąłem ją, gdyż zaprzątnięty wątpliwościami nie chwytałem sensu czytanych słów.

Czas włókł się powoli. Niebo było zachmurzone. Szyby ociekały jesiennym deszczem. Chwilami puste łóżko wydawało mi się grobem. Bałem się.

Otworzyłem drzwi. Nasłuchiwałem. Dochodził mnie jedynie szum drzew targanych wiatrem. Żaden powóz nie przejeżdżał drogą. Pół do drugiej wybiło posępnym dzwonem na wieży kościelnej. Zaczynałem się bać, by ktoś nie wszedł do pokoju. Wydawało mi się, że o tej porze, przy tak ponurej pogodzie tylko nieszczęście mogło mnie nawiedzić.

Wybiła druga. Poczekałem jeszcze trochę. Tylko że gar zakłócał ciszę swym miarowym, monotonnym tykaniem.

W sąsiednim pokoju Nanine spała nad robótką. Gdy otworzyłem drzwi, zbudziła się i zapytała, czy pani wróciła.

— Nie, ale gdyby wróciła, proszę jej powiedzieć, że nie mogłem już dłużej znieść niepokoju i wyjechałem do Paryża.

— O tej porze?

— Tak.

— Ależ nie znajdzie pan powozu.

— Pójdę pieszo.

— Przecież pada deszcz.

— Nic nie szkodzi.

— Pani na pewno zaraz wróci, a jeśli nie, to nie będzie za późno, jeżeli pan jutro w dzień pojedzie zobaczyć, co ją zatrzymało. Mogą pana zabić po drodze.

— Nie ma obawy, moja droga Nanine. Do jutra. Pocziwa dziewczyna poszła po mój płaszcz, narzuciła mi go na ramiona, podjęła się nawet obudzić panią Arnould, aby się dowiedzieć, czy nie można by dostać powozu. Sprzeciwiłem się temu, gdyż byłem pewien, że nim doczekam się

niepewnych skutków jej starań, prędeż przejdę połowę drogi. Poza tym potrzebne mi było powietrze i wysiłek fizyczny, który by pochłonął nadmierne podniecenie.

Zabrałem z sobą klucz od mieszkania przy ulicy d'Antin i pożegnawszy Nanine, która odprowadziła mnie do furtki, ruszyłem w drogę.

Zrazu począłem biec, ale ziemia była świeżo rozmokła i męczyłem się w dwójnasób. Po pół godzinie marszu musiałem się zatrzymać, byłem zlany potem. Odetchnąłem nieco i ruszyłem w dalszą drogę. Noc była tak ciemna, że obawiałem się cały czas, aby nie wpaść na jedno z przydrożnych drzew, które nagle wyrastały przede mną niby biegnące ku mnie widma.

Minąłem jeden albo dwa wozy ciężarowe, które szybko zostawiłem za sobą. Jakaś kolasa rażno toczyła się w stronę Bougival. Kiedy mnie mijała, olśniony nadzieją, że znajduje się w niej Małgorzata, przystanąłem wołając: „Małgorzato!” Ale nikt nie odpowiedział i kolasa pojechała dalej.

Dopiero po dwóch godzinach dotarłem do rogatki Etoile. Widok Paryża przywrócił mi siły. Pobiegłem aleją, którą przemierzałem tyle razy. Owej nocy nie było tu żywej duszy. Rzekłbyś, aleja spacerowa wymarłego miasta.

Świtało. Kiedy przybyłem na ulicę d'Antin, wielkie miasto budziło się już powoli, aby niebawem przebudzić się na dobre. Zegar na kościele Świętego Rocha bił godzinę piątą, gdy wchodziłem do domu Małgorzaty.

Rzuciłem moje nazwisko odźwiernemu, który otrzymał ode mnie dosyć dwudziestofrankówek, aby wiedzieć, że mam prawo o piątej rano przychodzić do panny Gautier. Chciałem go zapytać, czy Małgorzata jest u siebie, ale mógłby mi odpowiedzieć, że jej nie ma, a wołałem wątpić dwie minuty dłużej, gdyż wątpiąc miałem jednak ciągle nadzieję.

Przyłożyłem ucho do drzwi, chcąc pochwycić jakiś hałas, jakiś ruch. Nie usłyszałem nic. Cisza wiejska jak gdyby przywędrowała za mną aż tutaj.

Otworzyłem drzwi i wszedłem.

Wszystkie firanki były szczelnie zasunięte. Skierowałem się do sypialni, otworzyłem drzwi, skoczyłem ku sznurom przy oknie, pociągnąłem je gwałtownie. Firanki rozsunęły się, słabe światło zajrzało do pokoju. Podbiegłem do łóżka.

Było puste!

Otwierałem po kolei wszystkie drzwi, obiegłem wszystkie pokoje.

Żywej duszy.

Można było oszaleć.

Wszedłem do gotowalni, otworzyłem okno i kilkakrotnie zawołałem Prudencję. Okno pani Duvernoy pozostało zamknięte.

Wtedy zszedłem do odźwiernego i zapytałem go, czy panna Gautier zaglądała do domu w ciągu dnia.

— Tak, z panią Duvernoy.

— Czy przekazała coś dla mnie?

— Nie.

— A czy nie wie pan, co panie zrobiły potem?

— Wsiadły do powozu.

— Co to był za powóz?

— Powóz prywatny.

Co to wszystko miało znaczyć? Zadzwoiłem do sąsiedniej bramy.

— Dokąd pan idzie? — zapytał mnie dozorca.

— Do pani Duvernoy.

— Jeszcze nie wróciła.

— Jest pan tego pewien?

— Tak, proszę pana. Mam nawet dla niej list, który przyniesiono wczoraj wieczór i którego jeszcze jej nie doręczyłem.

I pokazał mi list, na który machinalnie rzuciłem okiem.

Poznałem charakter pisma Małgorzaty. Wziąłem list do ręki i odczytałem adres: *Pani Duvernoy, dla pana Duval.*

— Ten list jest dla mnie — pokazałem dozorczy adres.

— To pan jest panem Duval?

— Tak.

— Ach, poznaję pana, pan często bywa u pani Duvernoy.

Znalazłszy się na ulicy, otworzyłem kopertę. Gdyby piorun trzasnął u moich stóp, byłbym mniej oszołomiony niż treścią owego listu.

W chwili kiedy będzie pan czytał ten list, Armandzie, będę już kochanką innego człowieka. Wszystko zatem jest między nami skończone.

Niech pan wróci do swego ojca, drogi przyjacielu, niech pan odwiedzi swą siostrę, młodą cnotliwą dziewczynę, nieświadomą naszej nędzy. W jej towarzystwie zapomni pan szybko o cierpieniach, jakie zadała panu Małgorzata Gautier, zgubiona dziewczyna, którą raczył pan kochać przez jakiś czas, a która zawdzięcza panu jedyne szczęśliwe chwile swego życia. Chyba nie potrwa ono już teraz zbyt długo.

Przeczytawszy ostatnie słowo, poczułem się bliski obłądu.

Przez chwilę bałem się, że padnę na bruk. Mgła jakaś przesłaniała mi oczy, krew waliła w skroniach.

Wreszcie opanowałem się nieco, rozejrzałem wokół, ogromnie zdziwiony tym, że życie innych ludzi toczy się dalej, nie zatrzymując się nad moim nieszczęściem.

Nie byłem dostatecznie silny, aby znieść samemu cios, jaki mi zadała Małgorzata. Przypomniałem sobie, że ojciec jest w tym samym mieście, że za dziesięć minut mogę się znaleźć obok niego i że jakakolwiek byłaby przyczyna mojej niedoli, on ją ze mną podzieli.

Pobiegłem jak wariat, jak złodziej do Hotelu Paryskiego. Klucz tkwił w drzwiach pokoju ojca. Wszedłem.

Ojciec czytał.

Można by powiedzieć, że czekał na mnie, tak małe zdziwienie okazał na mój widok.

Rzuciłem mu się w ramiona bez słowa, dałem mu list Małgorzaty i osunąwszy się przed jego łóżkiem, rozplakałem się jak dziecko.

Kiedy życie potoczyło się dawnym torem, nie mogłem uwierzyć, aby rodzący się dzień nie był podobny do tych, które go poprzedzały. Były chwile, kiedy mi się wydawało, że jakaś okoliczność, która uszła już mej pamięci, zmusiła mnie do spędzenia nocy poza domem Małgorzaty, że jednak gdybym wrócił do Bougival, odnalazłbym ją niespokojną, jak ja, i że zapytałaby zaraz, co mnie zatrzymało z dala od niej.

Musiałem co chwila odczytywać na nowo list Małgorzaty, aby się upewnić, że nie śniłem.

Ciało moje pod wpływem wstrząsu było niezdolne do jakiegokolwiek ruchu. Niepokój, noc, wiadomość poranna pozbawiły mnie sił. Ojciec skorzystał z tej całkowitej prostracji, aby zażądać ode mnie przyrzeczenia, że wyjadę razem z nim. Przyrzekłem wszystko, czego sobie życzył. Niezdolny do jakiegokolwiek dyskusji, byłem jednak spragniony prawdziwego uczucia, które pomogło mi żyć po tym, co zaszło. Byłem nawet szczęśliwy, że ojciec chciał podtrzymać mnie na duchu. Z owego dnia pozostała mi jedynie w pamięci chwila, kiedy ojciec, około piątej po południu, posadził mnie obok siebie w karetku pocztowej. Nic mi nie mówiąc kazał przygotować moje walizy i umieścić je razem ze swoim bagażem w tyle karetki.

Ocknąłem się dopiero wtedy, gdy miasto zniknęło. Bezludzie drogi przypomniało mi pustkę mego serca. Nie mogłem powstrzymać łez. Ojciec rozumiał, że słowa, nawet przez niego wypowiedziane, nie mogły mnie pocieszyć. Toteż pozwolił mi płakać nie odzywając się, czasem tylko ściskając mi rękę jakby po to, aby mi przypomnieć, że mam obok siebie przyjaciela.

W nocy spałem mało. Śniła mi się Małgorzata.

Zbudziłem się nagle, nie zdając sobie sprawy, dlaczego go znajduję się w karetku. Nie śmiałem zagadnąć ojca, bałem się, by nie powiedział: „Widzisz więc, że miałem rację, kiedy nie chciałem uwierzyć w miłość tej kobiety.”

Ale nie nadużył swojej przewagi i dojechaliśmy do C. Przez całą drogę ojciec nie powiedział nic, co miałoby jakiś związek ze zdarzeniem, które zmusiło mnie do wyjazdu.

Witając się z siostrą, przypominałem sobie słowa listu Małgorzaty, które jej dotyczyły, ale pojąłem natychmiast, że siostra, mimo całej swej dobroci, nie pozwoli mi zapomnieć kochanki.

Rozpoczął się sezon polowań i ojciec uznał, że to mogłoby mnie rozerwać. Zorganizował więc kilka wypraw myśliwskich w towarzystwie sąsiadów i znajomych. Wziąłem w nich udział bez specjalnej odrazy, ale i bez entuzjazmu, z pewną apatią, która cechowała wszystkie moje czyny od chwili wyjazdu.

Polowaliśmy z nagonką. Stawiano mnie na posterunku. Kładłem obok siebie nie nabitą fuzję i oddawałem się marzeniom. Patrzyłem na przepływające obłoki. W zadumie błądziłem wzrokiem po pustynnych równinach, od czasu do czasu dochodziło mnie wołanie jakiegoś myśliwego, który mnie ostrzegał, że tuż obok przemyka zając.

Żaden z tych szczegółów nie uchodził uwagi ojca; nie dawał się zwieść mojemu zewnętrznemu spokojowi. Rozumiał dobrze, że moje serce, jakkolwiek tak zgnębione, narażone będzie na niebezpieczne, gwałtowne, a może nawet zgubne reakcje. Starając się nie pocieszać mnie, robił wszystko, co było w jego mocy, aby dostarczyć mi rozrywek.

Siostra moja nie była wtajemniczona w te sprawy, nie mogła więc sobie wytłumaczyć, dlaczego ja, tak niegdyś wesoły, stałem się tak smutny i zamyślony.

Czasami, podchwyciwszy niespokojne spojrzenie ojca, wyciągałem doń rękę i ściskałem mu dłoń, chcąc jakby bez słów przeprosić go za przykrości, które mu sprawiłem.

Tak upłynął miesiąc, ale dłużej nie mogłem już znieść tego stanu. Obraz Małgorzaty ściagał mnie nieustannie. Zbyt ją kochałem, aby mogła naraz stać mi się obojętna. Albo musiałem ją kochać, albo nienawidzić. Jakiegokolwiek żywiłem dla niej uczucia, musiałem zobaczyć ją, i to natychmiast.

Pragnienie to opanowało mnie z tak przemożną siłą, z jaką wola może się odrodzić w od dawna bezwładnym ciele. Nie kiedyś w przyszłości, nie za miesiąc ani za tydzień, lecz już nazajutrz musiałem zobaczyć Małgorzatę. I oświadczyłem ojcu, że dla spraw, które wzywają mnie do Paryża, muszę go opuścić, ale że niebawem wrócę.

Ojciec domyślał się zapewne pobudek mojego wyjazdu, bo namawiał mnie, abym został. Widząc jednak, że w moim stanie rozdrażnienia rezygnacja z wyjazdu mogłaby pociągnąć za sobą fatalne skutki, ucałował mnie i nieomal ze łzami w oczach prosił, abym wrócił jak najszybciej.

Nie spałem przez całą drogę. Jakie były moje zamiary w momencie przybycia do Paryża, nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że przede wszystkim muszę się zająć Małgorzatą.

Poszedłem do siebie, aby się przebrać, a że było ładnie i dość jeszcze wcześnie, wybrałem się na Pola Elizejskie.

Nie upłynęło pół godziny, a ujrzałem nadjeżdżający w stronę Placu Zgody powóz Małgorzaty. Odkupiła swoje konie, bo powóz był ten sam, tylko że jej w nim nie było.

Zaledwie stwierdziłem nieobecność Małgorzaty, gdy rozejrzawszy się wokół, zobaczyłem ją idącą pieszo w towarzystwie nie znanej mi kobiety.

Przechodząc obok mnie zbladła i wargi jej skrzywiły się w nerwowym uśmiechu. Poczulem gwałtowne bicie serca, udało mi się jednak nadać twarzy wyraz chłodu i ukloniłem się oziębłe dawnej kochance. Ona zaś prawie natychmiast skierowała się w stronę powozu, do którego wsiadła wraz z towarzyszką.

Znałem Małgorzatę. To nieoczekiwane spotkanie ze mną musiało na niej zrobić niezwykle wrażenie. Zapewne wiadomość o moim wyjeździe, utwierdzająca ją w przekonaniu o trwałości naszego zerwania, powinna była przywrócić jej spokój. Ale znalazłszy się nagle wobec mnie twarzą w twarz i widząc moją bladość, zdała sobie sprawę, że mój powrót ma jakiś cel, i musiała zastanowić się nad tym, co będzie dalej.

Gdybym odnalazł Małgorzatę nieszczęśliwą, gdybym mógł zemścić się na niej przychodząc jej z pomocą, byłbym jej prawdopodobnie wybaczył i nie pomyślał nawet o tym, aby zadać jej ból. Ale odnajdywałem ją szczęśliwą, przynajmniej z pozoru. Kto inny zapewnił jej luksus, czego ja nie mogłem uczynić. Nasze zerwanie, spowodowane przez nią, przybierało tym samym cechy najpodlejszego wyrachowania. Byłem upokorzony i jako mężczyzna, i jako kochanek, i uznałem, że Małgorzata musi koniecznie zapłacić za to, co wycierpiałem.

Nie mogło mnie nie interesować to, co robiła ta kobieta. A zatem największy ból mogła jej zadać jedynie moja obojętność: musiałem więc udawać obojętność nie tylko wobec niej, ale także wobec innych ludzi.

Siląc się na uśmiech złożyłem wizytę Prudencji.

Pokojówka, idąc mnie zameldować, poprosiła, abym zaczekał kilka minut w salonie. Po chwili ukazała się pani Duvernoy i wprowadziła mnie do buduaru. Siadając usłyszałem, jak ktoś otwiera drzwi salonu, posadzka skrzypnęła pod czyimś lekkim krokiem i drzwi wejściowe zamknęły się z trzaskiem.

— Czy nie przeszkadzam pani? — zapytałem Prudencję.

— Bynajmniej, przed chwilą była tu Małgorzata. Kiedy zameldowano pana, uciekła. To ona właśnie dopiero co wyszła.

— A więc napędzam jej teraz strachu?

— Nie, ale boi się, że jej widok sprawi panu przykrość.

— Dlaczegoż to? — starałem się oddychać swobodnie, chcąc stłumić dławiące mnie wzruszenie. — Biedaczka porzuciła mnie, aby odzyskać swój powóz, meble i diamenty, i dobrze zrobiła, nie mam jej tego za złe. Spotkałem ją dzisiaj.

— Gdzie? — Prudencja patrzyła na mnie tak, jakby zadawała sobie pytanie, czy to ten sam człowiek, którego pamiętała jako niegdyś tak zakochanego.

— Na Polach Elizejskich, była z jakąś kobietą wcale ładną. Kto to jest?

— A jak ona wyglądała?

— Blondynka, szczupła, w długich lokach, oczy niebieskie, bardzo elegancka.

— A, to Olimpia. Rzeczywiście, bardzo ładna dziewczyna.

— Z kim ona żyje?

— Z nikim i z każdym.

— A gdzie mieszka?

— Ulica Tronchet, numer... Ach, widzę, że chce się pan do niej umizgnąć?

— Nigdy nic nie wiadomo.

— A Małgorzata?

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że wcale już o niej nie myślę, ale należę do tych mężczyzn, dla których sposób zerwania wiele znaczy. Otóż Małgorzata z taką łatwością ze mną się rozstała, że zrobiło mi się głupio na myśl, iż byłem w niej aż tak zakochany. Bo, prawdę mówiąc, bardzo kochałem tę dziewczynę.

— Ależ i ona pana kochała i wciąż jeszcze kocha. Dowodem jest to, że po dzisiejszym spotkaniu z panem przyszła do mnie natychmiast, aby mi o tym opowiedzieć. Kiedy weszła, była cała rozdygotana, bliska omdlenia.

— No i co powiedziała?

— Powiedziała: „On na pewno odwiedzi panią” i poprosiła, abym wybłagała dla niej u pana przebaczenie.

— Już jej przebaczyłem, może to pani powiedzieć Małgorzacie. Pocziwe z niej stworzenie, ale to jednak dziewczyna lekkich obyczajów. I powinienem był spodziewać się tego, co zrobiła. Jestem jej nawet wdzięczny za decyzję, którą powzięła, bo dzisiaj myślę z niepokojem, dokąd by nas zaprowadził pomysł zamieszkania razem na stałe. To było szaleństwo.

— Małgorzata będzie zadowolona, kiedy dowie się, że pogodził się pan z sytuacją. Był już, mój panie, najwyższy czas, aby pana opuściła. Ów kombinator, któremu zaproponowała sprzedaż swego umeblowania, odszukał jej wierzycieli, żeby się od nich wywiedzieć, ile wynosiły długi. Ci zlekli się i postanowili urządzić licytację po dwóch dniach.

— A teraz wszystko już zapłacone?

— Prawie.

— Kto dał na to pieniądze?

— Hrabia N. Ach, mój drogi, są mężczyźni specjalnie do tego stworzeni. Krótko mówiąc, dał jej dwadzieścia tysięcy franków, ale za to osiągnął swój cel. On dobrze wie, że Małgorzata nie jest w nim zakochana, ale to mu nie przeszkadza być dla niej bardzo miłym. Widział pan: odkupił jej konie, wykupił z lombardu klejnoty i daje jej tyle pieniędzy, ile dawał księżę. Jeśli Małgorzata zechce żyć spokojnie, zatrzyma go przy sobie na długo.

— A co ona robi? Czy zamieszkała w Paryżu na stałe?

— Odkąd pan wyjechał, nie chciała już wrócić do Bougival. Ja pojechałam po jej rzeczy, jak również i po pańskie, zrobiłam z tego paczkę, po którą może pan przysłać. Jest w niej wszystko,

oprócz portfeliku z pańskim monogramem. Małgorzata zabrała go i ma u siebie. Jeśli panu na nim zależy, mogę go odebrać.

— Niech go zatrzyma — wyjąkałem czując, że łzy napływają mi do oczu na wspomnienie wioski, gdzie byłem szczęśliwy, i na myśl o tym, że Małgorzata chciała jednak zachować rzecz, która by jej mnie przypominała.

Gdyby w owej chwili weszła do pokoju, odrzuciłbym wszelką myśl o zemście i padłbym do jej stóp. — Zresztą — ciągnęła Prudencja — nigdy nie widziałam jej takiej, jaką jest obecnie. Prawie nie sypia, biega po balach, chodzi na kolacje, nawet się upija. Ostatnio, po jakiejś kolacji przeleżała tydzień w łóżku, a kiedy lekarz pozwolił jej wstać, zaczęła od nowa, narażając się na najgorsze. Czy odwiedzi ją pan?

— Po co? Przyszedłem do pani, bo pani była zawsze bardzo miła dla mnie i znałem panią, zanim nawiązałem znajomość z Małgorzatą. To pani zawdzięczam, że byłem jej kochankiem, jak i pani zawdzięczam, że już nim nie jestem, prawda?

— Ach, dalibóg, zrobiłam wszystko, co mogłam, aby Małgorzata porzuciła pana, i sądzę, że później nie będzie mi pan tego wytykał.

— Jestem pani podwójnie wdzięczny — wstałem pełen niesmaku wobec tej kobiety, która brała poważnie wszystko, co jej mówiłem.

— Już pan idzie?

— Tak.

— A kiedy się pan pokaże?

— Niedługo. Żegnam.

— Żegnam.

Prudencja odprowadziła mnie do drzwi. Wróciłem do domu ze łzami wściekłości w oczach i pragnieniem zemsty w sercu.

Tak więc Małgorzata była taką samą dziewczką, jak wszystkie inne, tak więc głębokie uczucie, jakie żywiła dla mnie, nie zdołało przemóc w niej chęci powrotu do dawnego życia, potrzeby posiadania powozu i oddawania się orgiom.

Tak sobie myślałem wśród bezsennych nocy, a przecież gdybym rozważył rzecz na zimno, dojrzałbym w pełnym rozgłosu życia Małgorzaty potrzebę zdławienia w sobie jakiejś uporczywej myśli, jakiegoś natarczywego wspomnienia. Niestety, brało we mnie górę niedobre uczucie i szukałem tylko sposobu, aby zadać najdotkliwszy ból tej nieszczęsnej kobiecie.

Owa Olimpia, w której towarzystwie spotkałem Małgorzatę, była jeśli nie jej przyjaciółką, to w każdym razie osobą, z którą Małgorzata przestawała najczęściej od chwili powrotu do Paryża. Miała ona w tym czasie wydać bal, a że przypuszczałem, iż znajdzie się na nim Małgorzata, wystarałem się o zaproszenie.

Kiedy pełen dręczących uczuć przybyłem na bal, zabawa była już w pełni. Tańczono, a nawet krzyczano. W pewnej chwili spostrzegłem Małgorzatę tańczącą kadryla z hrabią N. Hrabia, bardzo dumny ze swej partnerki, zdawał się mówić: „Ta kobieta należy do mnie!”

Oparty plecami o kominek, obserwowałem tańczącą Małgorzatę. Gdy tylko mnie spostrzegła, zmieszała się. Pozdrowiłem ją niedbale wzrokiem i skinieniem ręki. Na myśl o tym, że po balu Małgorzata wyjdzie nie ze mną, lecz z tym bogatym durniem, na samo wyobraże nie tego, co powinno nastąpić po ich powrocie do jej domu, krew uderzała mi do głowy i brała mnie chęć przeszkodzenia im w amorach.

Po kontredansie poszedłem przywitać się z panią domu, która roztaczała swe wdzięki przed oczyma gości: wspaniałe ramiona i połowę olśniewającego biustu.

Była to piękna dziewczyna, ładniej zbudowana niż Małgorzata. Uświadomiłem to sobie tym bardziej, że nie uszły mej uwagi spojrzenia, jakie rzucała na nią Małgorzata, gdy rozmawiałem z panią domu. Kochanek tej kobiety mógłby być równie dumny, jak hrabia N., ona sama zaś była dostatecznie ładna, aby wzbudzić namiętność taką, jaką we mnie wzbudziła Małgorzata.

W owym czasie nie miała kochanka. Stać się nim — nie byłoby chyba takie trudne. Należało tylko pokazać jej tyle złota, aby przyciągnęło jej wzrok.

Powziąłem decyzję: ta kobieta będzie moją kochanką.

Rolę zalotnika rozpocząłem od tańca z Olimpią.

W pół godziny później Małgorzata, trupio blada, włożyła futro i opuściła bal.

To już było coś, ale jeszcze nie wszystko. Zdałem sobie sprawę, jaką mam władzę nad tą kobietą, i podle jej nadużywałem.

Teraz, kiedy pomyślę, że ona już nie żyje, staje przede mną pytanie: czy Bóg wybaczy mi krzywdę, jaką jej wyrządziłem.

Po bardzo szumnej kolacji zaczęto grać.

Usiadłem obok Olimpu i jałem rzucać stawki z takim rozmachem, że nie mogła nie zwrócić na to uwagi. W krótkim czasie wygrałem sto pięćdziesiąt albo dwieście ludwików. Rozrzucone przede mną złote monety przykuwały do siebie jej gorejący wzrok.

Byłem jedynym, który nie dał się pochłonąć bez reszty grze i który zajmował się Olimpią więcej niż inni. Wygrywałem przez całą noc i dawałem jej pieniądze, bo przegrała wszystko, co miała przed sobą, i prawdopodobnie wszystko, co posiadała.

O piątej nad ranem zaczęto się rozchodzić. Miałem wygrane trzysta ludwików.

Wszyscy byli już na dole, tylko ja pozostałem w tyle, czego nikt nie zauważył, gdyż żaden z gości nie był moim przyjacielem. Olimpia sama oświetlała schody i miałem już zejść w ślad za innymi, gdy odwracając się do niej rzekłem:

— Muszę z panią pomówić.

— Jutro — odparła.

— Nie, teraz.

— Co pan chce mi powiedzieć?

— Usłyszysz pani.

I wróciłem do mieszkania.

— Przegrała pani.

— Tak.

— Wszystko, co pani miała? Zawahała się.

— Proszę mówić szczerze.

— No więc, tak.

— Wygrałem trzysta ludwików. Oto one, jeśli pani zechce zatrzymać mnie u siebie.

I rzuciłem złoto na stół.

— Jak mam rozumieć tę propozycję?

— A tak, że kocham panią, u diaska.

— Nie, jest pan zakochany w Małgorzacie i chce zemścić się na niej, zostając moim kochankiem. Trudno oszukać taką kobietę jak ja, drogi przyjacielu. Niestety, jestem jeszcze zbyt młoda i zbyt ładna, aby przyjąć rolę, jaką mi pan proponuje.

— A więc odmawia pani?

— Tak.

— Czy woli mnie pani kochać za darmo? Na to ja z kolei bym się nie zgodził. Niech pani pomyśli, droga Olimpio: gdybym zaproponował pani trzysta ludwików za pośrednictwem trzeciej osoby na tych samych warunkach, byłaby się pani zgodziła. Wolę więc załatwić sprawę bezpośrednio z panią. Niech się pani zgodzi, nie dociekając przyczyn, które mną powodują. Niech pani sobie powie, że jest pani piękna, nic zatem dziwnego, że jestem w pani zakochany.

Małgorzata była dziewczyną tej samej kategorii co Olimpia, a przecież nigdy bym się nie ośmielił z miejsca, za pierwszym razem powiedzieć jej tego, co powiedziałem tej kobiecie. A to dlatego, że

Małgorzatą kochałem, że wyczułem w niej instynkty, których brak było Olimpii, i że w tej samej chwili, kiedy ubijałem z nią ów targ, mimo swej piękności przejmowała mnie niesmakiem. Oczywiście zgodziła się w końcu i w południe wyszedłem od niej w charakterze jej kochanka. Opuściłem jej łóżko, nie starając się zachować w pamięci pieszczot i miłosnych słówek, jakimi uważała za stosowne uraczyć mnie za sześć tysięcy franków. A jednak ludzie rujnowali się dla tej kobiety.

Od tego dnia począwszy, zadawałem Małgorzacie co dzień nowe tortury. Olimpia i ona przestały się widywać, łatwo zrozumieć, dlaczego. Zaofiarowałem mojej nowej kochance powóz i klejnoty, grałem, popełniałem wszystkie szaleństwa, jakie zwykło się popełniać dla takich kobiet jak Olimpia. Wieść o mojej nowej namiętności rozeszła się szybko po całym Paryżu.

Nawet Prudencja dała się zwieść, uwierzywszy w końcu, że całkiem już zapomniałem o Małgorzacie. Ta zaś, czy to dlatego, że domyślała się motywów mojego postępowania, czy też dlatego, że dała się wprowadzić w błąd jak wszyscy inni, z wielką godnością reagowała na ciosy, jakie jej co dzień zadawałem. Widać jednak było, że cierpi, bo ilekroć ją spotykałem, była coraz bardziej blada i smutna. Miłość moja, rozjątrzona do tego stopnia, że wydawała się nienawiścią, syciła się widokiem jej codziennej udręki. Wielekroć, w okolicznościach, kiedy moje okrucieństwo było już nikczemne, Małgorzata spoglądała na mnie wzrokiem tak błagalnym, że wstydziłem się narzuconej sobie roli i byłem gotów prosić ją o przebaczenie.

Ale te chwile skruchy mijały natychmiast, Olimpia zaś, wyzbywszy się wszelkich ambicji, rozumiała, że dręcząc Małgorzatę uzyska ode mnie wszystko, co zechce. Bez ustanku więc podburzała mnie przeciwko niej i z niecnym uporem kobiety, która czuje przyzwolenie mężczyzny, znieważała ją przy każdej okazji.

W końcu Małgorzatą, nie chcąc spotykać się ze mną i Olimpią, przestała chodzić na bale i widowiska. Wówczas miejsce bezpośrednich obelg zajęły listy anonimowe. Nie było tak haniebnej rzeczy, której nie pozwoliłbym opowiadać Olimpii i której bym sam nie opowiadał na temat Małgorzaty.

Aby dojść do tego, trzeba było stracić rozum. Byłem jak człowiek, który upiwszy się lichym winem popada w ów stan podrażnienia nerwów, kiedy ręka, nie kierowana już żadną myślą, zdolna jest popełnić zbrodnię. Równocześnie przechodziłem okropne męki. Spokój pozbawiony pogardy i godność pozbawiona wyniosłości, które Małgorzata przeciwstawiała moim atakom i które w moich oczach stawały ją znacznie wyżej ode mnie, podsycaly tylko moją irytację.

Pewnego wieczoru Olimpia spotkała się gdzieś przypadkowo z Małgorzatą. Tym razem Małgorzata nie mogła już darować głupiej dziewczynie jej arogancji, tak że ta musiała ustąpić z placu. Olimpia wróciła do domu wściekła, a Małgorzatę trzeba było wynieść bez przytomności.

Opowiadając mi o tym Olimpia oświadczyła, że Małgorzata, widząc ją samą, wywarła na niej zemstę za to, iż jest moją kochanką, i że wypadałoby, abym napisał do niej list, domagający się szacunku dla kobiety, którą kocham.

Nie potrzebuję dodawać, że przystałem na to i że wszystko, co mogło być najbardziej dotkliwe, hańbiące i okrutne, umieściłem w epistole, którą tego samego dnia przesałem Małgorzacie.

Tym razem cios był zbyt silny, aby nieszczęsna kobieta mogła go znieść bez słowa. Przewidywałem, że odpowiedź nadejdzie lada chwila. Toteż postanowiłem nie wychodzić z domu przez cały dzień.

Około drugiej rozległ się dzwonek i ujrzałem Prudencję. Przybrawszy obojętną minę zapytałem, czemu zawdzięczam jej wizytę. Ale tego dnia pani Duvernoy nie była usposobiona do śmiechu: tonem, w którym brzmiało poważne wzruszenie, wytknęła mi, że od dnia mego powrotu, to znaczy od trzech prawie tygodni korzystam z każdej okazji, aby urazić Małgorzatę, że Małgorzata jest z tego

powodu chora i że scena, jaka się rozegrała poprzedniego dnia, i mój list otrzymany tego rana sprawiły, iż musiała się położyć do łóżka.

Słowem, nie robiąc mi wyrzutów, Małgorzata za jej pośrednictwem błaga mnie o litość i oświadcza, że nie starcza jej już sił ani moralnych, ani fizycznych, aby znosić krzywdy, jakie jej wyrządzam.

— Że panna Gautier dała mi odprawę — odrzekłem Prudencji — to było jej prawo, ale że obraża kobietę, którą kocham, na to nie pozwolę nigdy.

— Drogi przyjacielu, jest pan pod wpływem dziewczyny bez serca i bez duszy. Co prawda, jest pan zakochany, ale to jeszcze nie powód, aby zamećzać bezbronną kobietę.

— Niechaj panna Gautier przyśle mi swego hrabiego N., a wtedy gra będzie równa.

— Wie pan dobrze, że ona tego nie robi. Niech pan więc, drogi Armandzie, da jej spokój. Gdyby pan ją zobaczył, wstyd by pana ogarnął, że tak się pan wobec niej zachowuje. Jest blada, kaszle, długo już teraz nie pociągnie.

I podając mi rękę Prudencja dorzuciła:

— Niech pan ją odwiedzi, wizyta pańska ucieszy ją ogromnie.

— Nie mam ochoty spotkać pana N.

— Pan N. nigdy u niej nie bywa. Ona go nie znosi.

— Jeśli Małgorzata chce mnie widzieć, wie, gdzie mieszkam, niech przyjdzie, ale moja noga nie postanie na ulicy d'Antin.

— I przyjmie pan ją dobrze?

— Jak najlepiej.

— No, to jestem pewna, że przyjdzie.

— Więc czekam.

— Nie wychodzi pan dzisiaj ?

— Będę w domu przez cały wieczór.

— Zaraz jej to powiem. Prudencja wyszła.

Nie napisałem nawet do Olimpii, że nie zobaczymy się tego wieczora. Nie robiłem ceremonii z tą dziewczyną. Spędzałem u niej zaledwie jedną noc na tydzień. Sądzę, że pocieszała się z aktorem jakiegoś teatru bulwarowego.

Wyszedłem na obiad i zaraz wróciłem. Kazałem wszędzie napalić i wyprawiłem Józefa.

Nie umiałbym zdać panu sprawy z nawału myśli i uczuć, jakie mną targały podczas jednej godziny oczekiwania. Gdy około dziewiątej usłyszałem dzwonek, wszystkie stopiły się we wzruszenie tak silne, że idąc ku drzwiom musiałem oprzeć się o ścianę, aby nie upaść.

Na szczęście, przedpokój był na wpół oświetlony i moja zmieniona twarz nie była bardzo widoczna.

Weszła Małgorzata, cała w czerni, z woalką na twarzy, którą ledwie rozpoznałem pod koronką.

Przeszła do salonu i uniosła woalkę. Była marmurowo blada.

— Oto jestem, Armandzie, chciał mnie pan widzieć, więc przyszedłem.

I ukrywszy twarz w dłoniach, wybuchnęła płaczem. Podeszedłem do niej.

— Co pani jest?

Uścisnęła mi rękę bez słowa, bo łyzy dławili ją w gardle. Ale po chwili, odzyskawszy nieco spokój, rzekła:

— Uczynił mi pan wiele złego, Armandzie, a ja przecież nic panu nie zrobiłam.

— Nic? — odparłem z gorzkim uśmiechem.

— Nic prócz tego, do czego zmusiły mnie okoliczności. Podczas ostatniej swej wizyty Małgorzata siedziała na

tym samym miejscu. Tylko że od owego czasu była już kochanką innego, inne pocałunki odcisnęły się

na jej wargach. A jednak czułem, że kocham tę kobietę, i to może więcej niż kiedykolwiek. Tymczasem trudno mi było rozpocząć rozmowę o tym, co było główną przyczyną jej przybycia. Małgorzata wyczuła to zapewne, gdyż podjęła:

— Przychodzę nudzić pana, Armandzie, bo mam dwie prośby: proszę wybaczyć mi to, co powiedziałam wczoraj panie Olimpi, ale proszę równocześnie o oszczędze nie mi tego, co pan zamierza mi jeszcze uczynić. Od dnia swego powrotu zrobił mi pan, obojętnie, z własnej woli czy nie, tyle złego, że teraz nie mogłabym znieść nawet czwartej części tych przykrości, jakie znosiłam do dzisiaj. Zlituje się pan nade mną, nieprawda? Zrozumie pan, że człowiek o szlachetnym sercu powinien postępować inaczej i nie mścić się na kobiecie tak chorej i zgnębionej jak ja. Proszę wziąć moją rękę. Mam gorączkę, wstałam z łóżka, aby tu przyjść i prosić pana nie o życzliwość, lecz o obojętność.

Wziąłem rękę Małgorzaty. Była istotnie rozpalona. Biedaczka dygotała pod swym aksamitnym płaszczem.

Przysunąłem do kominka fotel, na którym siedziała.

— Myśli pani — rzekłem — że i ja nie cierpiałem owej nocy, kiedy po godzinach oczekiwania na wsi poszedłem do Paryża, aby panią odszukać, i kiedy znalazłem list, który omal nie przyprawił mnie o szaleństwo? Jakże pani mogła mnie zdradzić, Małgorzato, mnie, który tak panią kochałem?

— Nie mówmy o tym, Armandzie, nie po to tu przyszedłem. Chciałam się z panem spotkać nie jako z wrogiem, oto wszystko. Chciałam jeszcze raz uścisnąć pana rękę. Ma pan młodą i ładną przyjaciółkę, którą pan kocha, jak powiadają, niechże pan będzie z nią szczęśliwy i zapomni o mnie.

— A pani, jest pani chyba szczęśliwa?

— Czy wyglądam na kobietę szczęśliwą, Armandzie? Niech pan nie pokpiwa z mojej udręki, pan, który wie najlepiej, jaka jest jej przyczyna i rozmiar.

— Od pani jedynie zależało, aby nigdy nie być nieszczęśliwą, jeśli pani nią jest, jak pani twierdzi.

— Nie, przyjacielu, okoliczności były silniejsze od mojej woli. Uległam nie skłonnościom dziewczyny lekkich obyczajów, jak pan zdaje się sądzić, ale poważnej konieczności i racjom, o których dowie się pan kiedyś i które każą panu wybaczyć mi to, co uczyniłam.

— Czemu nie wyjawi pani tych racji dzisiaj?

— Dlatego że nie przywróciłyby zbliżenia między nami, niemożliwego w tej chwili, a być może oddaliłyby pana od ludzi, od których nie powinien się pan oddalać.

— Co to za ludzie?

— Nie mogę panu powiedzieć.

— No, to kłamie pani.

Małgorzata wstała i skierowała się ku drzwiom.

— Nie wyjdzie pani — zasłoniłem sobą drzwi.

— Dlaczego?

— Dlatego że mimo to, coś zrobiła, kocham cię jeszcze i chcę cię zatrzymać tutaj.

— Aby mnie jutro wypędzić, prawda? Nie, to niemożliwe! Nasze losy są rozdzielone i nie próbujmy ich łączyć od nowa. Gdybym się zgodziła, gardziłby pan mną zapewne, podczas gdy teraz może mnie pan tylko nienawidzić.

— Nie, Małgorzato! — cała moja miłość i wszystkie żądze budziły się przy zetknięciu z tą kobietą.

— Nie, zapomnę o wszystkim i będziemy szczęśliwi tak, jak to sobie obiecywaliśmy.

Małgorzata potrząsnęła głową z powątpiewaniem.

— Czyż nie jestem niewolnicą, psem twoim? Rób ze mną, co chcesz, bierz mnie, należę do ciebie.

Zdjąwszy płaszcz i kapelusz, rzuciła je na kanapę i zaczęła niecierpliwie rozpinać stanik, gdyż mocą

reakcji właściwej tej chorobie krew uderzyła jej do głowy i zapierała oddech. Suchy i chrapliwy kaszel wstrząsnął jej piersią.

— Proszę powiedzieć mojemu stangretowi, że może odjechać.

Sam zszedłem na dół, aby odesłać powóz.

Kiedy wróciłem, Małgorzata leżała przed kominkiem, dzwoniąc z zimna zębami. Wziąłem ją w ramiona, rozebrałem, nie napotykając z jej strony na żaden gest sprzeciwu, i lodowato zimną zaniósłem do łóżka.

Usiadłem obok niej i próbowałem ją rozgrzać moimi pieściami. Nie mówiła ani słowa, tylko się do mnie uśmiechała.

Och, była to przedziwna noc. Całe życie Małgorzaty jak gdyby skupiło się w pocałunkach, którymi mnie okrywała. Kochałem ją tak, że w uniesieniu miłosnym przychodziło mi na myśl, czy nie zabić jej, aby nie należała do nikogo.

Aż do rana nie zmrużyliśmy oka. Małgorzata była bardzo blada. Wciąż nie mówiła ani słowa. Wielkie łzy coraz to staczały się z jej oczu i zastygały na policzku, błyszcząc jak diamenty. Jej szczupłe ramiona rozwierały się, aby mnie objąć, i bezwładnie opadały na łóżko.

W pewnej chwili wydało mi się, że mógłbym zapomnieć o wszystkim, co zaszło od dnia mego wyjazdu z Bougival, i powiedziałem:

— Chcesz, abyśmy wyjechali, abyśmy opuścili Paryż?

— Nie, nie — odparła niemal przerażona — bylibyśmy bardzo nieszczęśliwi, nie mogę już dać ci szczęścia, ale póki starczy mi tchu, będę niewolnicą twoich kaprysów. O każdej godzinie dnia i nocy możesz przyjść, będę twoja, ale nie myśl o wspólnej przyszłości ze mną. Będę jeszcze przez jakiś czas ładną dziewczyną, korzystaj z tego, ale nie żądaj niczego więcej.

Kiedy wyszła, poczułem się straszliwie samotny. W dwie godziny po odejściu Małgorzaty siedziałem jeszcze na łóżku opuszczonym przez nią, patrzyłem na poduszkę, w której odcisnięty był jeszcze kształt jej głowy, i zastanawiałem się nad tym, jak będę żył w ogniu miłości i zazdrości.

O piątej, nie wiedząc, po co tam idę, udałem się na ulicę d'Antin.

Otworzyła mi Nanine.

— Pani nie może pana przyjąć — powiedziała zakłopotana.

— Dlaczego?

— Bo jest u niej hrabia N., który słyszał, że mam nikogo nie wpuszczać.

— Prawda — odrzekłem bełkocąc — zapomniałem. Wróciłem do domu jak pijany, i wie pan, co się we mnie działo na minutę przed haniebnym czynem, jaki miałem popełnić? Myślałem, że ta kobieta drwi sobie ze mnie, wyobrażałem ją sobie w czułym sam na sam z hrabią, powtarzającą te same słowa, jakie mówiła mi w nocy. Wreszcie wziąłem pięćsetfrankowy banknot i posłałem go jej wraz z kartką, która zawierała te oto słowa:

Dziś rano wyszła pani tak szybko, że zapomniałem pani zapłacić. Załączam opłatę za jedną noc.

Kiedy list został już wysłany, wybiegłem na miasto jak człowiek, który popełniwszy nikczemność chce umknąć przed wyrzutami sumienia.

Poszedłem do Olimpii. Przymierzała nowe suknie, a gdy zostaliśmy sami, śpiewała mi sprośne piosenki, żeby mnie rozerwać.

Był to typ bezwstydnej kurtyzany, bez duszy i serca, przynajmniej dla mnie, bo przecież inny mężczyzna mógł przeżyć z nią to, co ja przeżyłem z Małgorzatą.

Poprosiła mnie o pieniądze, które jej dałem, i wolny już od obowiązków wróciłem do domu.

Małgorzata nie odpowiedziała.

Nie muszę panu opisywać, w jakim podnieceniu spędziłem następny dzień.

O wpół do szóstej posłaniec przyniósł mi kopertę, która zawierała mój list oraz pięćsetfrankowy banknot. I nic poza tym.

— Kto to panu wręczył?— zapytałem posłańca.

— Jakaś pani, która z pokojówką wyjeżdżała pocztową karetką do Boulogne. Poleciała mi odnieść to dopiero wtedy, kiedy karetka będzie już w drodze.

Pobiegłem do Małgorzaty.

— Pani wyjechała dzisiaj o szóstej wieczór do Anglii — powiedział mi odźwierny.

Nic nie zatrzymywało mnie już w Paryżu: ani nienawiść, ani miłość. Byłem wyczerpany wszystkimi przeżyciami. Jeden z moich przyjaciół wybierał się w podróż na Wschód. Oświadczyłem ojcu, że chciałbym mu towarzyszyć. Ojciec dał mi listy kredytowe i polecające, i w osiem czy dziesięć dni później wsiadłem na okręt w Marsylii.

W Aleksandrii attache ambasady, którego spotykałem czasami u Małgorzaty, przekazał mi wiadomość o jej chorobie. Wówczas napisałem do niej list. Odpowiedź, którą pan zna, otrzymałem w Tulonie. Wyjechałem natychmiast i wszystko, co nastąpiło później, jest już panu wiadome.

A teraz pozostaje panu tylko przeczytać kilka kartek, które doręczyła mi Julia Duprat, a które stanowią niezbędne uzupełnienie tego, co panu opowiedziałem.

Armand, znużony długą opowieścią, położył obie dłonie na czole i przymknął powieki: może chciał jeszcze oddać się rozmyślaniom, a może, wręczywszy mi stronicę zapisane ręką Małgorzaty, próbował zasnąć.

Po krótkiej chwili szybszy nieco oddech powiedział mi, że Armand śpi, ale owym lekkim snem, który przez najłżejszy hałas może być zakłócony.

Oto co przeczytałem i co przepisuję, nie dodawszy i nie ująwszy ani jednej zgłoski:

Dzisiaj jest 15 grudnia. Jestem chora od trzech czy czterech dni. Dziś rano pozostałam, w łóżku, dzień jest posepny, jestem smutna. Nie ma koło mnie nikogo, myślę o panu, Armandzie. A pan, gdzie pan jest w chwili, gdy piszę te słowa? Daleko od Paryża, bardzo daleko, jak mi powiedziano, i może zapomniał pan już o Małgorzacie. Tak czy owak, życzę panu szczęścia, bo panu zawdzięczam jedyne radosne chwile mego życia.

Nie mogłam się oprzeć chęci wyjaśnienia panu swego postępowania i napisałam do pana list. Ale list, pisany przez taką dziewczynę jak ja, może być uważany za kłamstwo, chyba że śmierć usankcjonuje go swoją powagą, a wtedy list zamieni się w spowiedź.

Jestem teraz chora. Mogę z tej choroby nie wyjść żywa, bo zawsze miałam przecucie, że umrę młodo. Moja matka umarła na płuca. Życie, jakie prowadziłam dotychczas, mogło tylko zaostriżyć moją chorobę, jedyny spadek po matce. Ale nie chcę umrzeć nie powiedziawszy panu całej prawdy o sobie, na wypadek gdyby po swym powrocie zaniepokoił się pan jeszcze losem biednej dziewczyny, którą kochał pan przed wyjazdem.

Oto co zawierał ów list, który piszę od nowa z głęboką satysfakcją, bo pozwala mi się ponownie i ostatecznie usprawiedliwić.

Przypomina pan sobie, Armandzie, jak przyjazd ojca pańskiego zaskoczył nas w Bougival. Pamięta pan, jakim strachem przyjazd ten przejął mnie mimo woli, pamięta pan, jak opowiadał mi pan wieczorem scenę, która się rozegrała między panem i ojcem.

Nazajutrz, podczas gdy był pan w Paryżu i czekał na ojca, który nie nadchodził, zjawił się u mnie ktoś, kto wręczył mi list od pana Duval.

List ten, który załączam, zawierał prośbę wypowiedzianą w sposób jak najbardziej poważny, abym pod jakimkolwiek pretekstem wyprawiła pana z domu i przyjęła pańskiego ojca. Ojciec chciał ze mną pomówić i domagał się przede wszystkim, aby nic panu o tym nie wspominać.

Pamięta pan, jak po pańskim powrocie usilnie doradzałam panu jechać powtórnie do Paryża następnego dnia.

W godzinę po odjeździe pana zjawił się pański ojciec. Nie będę opisywać wrażenia, jakie sprawiło na mnie jego surowe oblicze. Ojciec pana jest przesiąknięty starymi zasadami, według których każda kurtyzana jest istotą bez serca i bez rozumu, czymś w rodzaju maszyny do wyciągania złota, zawsze gotowej zmiążyć rękę, która jej cokolwiek daje, bezlitośnie i bezmyślnie rozszarpać tego, który pozwala jej żyć i działać.

List, w którym ojciec prosił mnie o przyjęcie go w moim domu, utrzymany był w tonie bardzo poprawnym. Osobiście jednak nie zaprezentował się tak, jakby to mogło wynikać z jego listu. Okazał się tak wyniosły, tak zuchwały i nawet w pierwszych swych słowach tak skory do gróźb, iż musiałam mu dać do zrozumienia, że jestem u siebie w domu i że jeśli uznaję za możliwe tłumaczyć mu się z mego życia, to jedynie ze względu na szczere uczucie, jakie żywię dla jego syna.

Pan Duval uspokoił się trochę, niemniej jednak zaczął mi tłumaczyć, że nie może dłużej znosić, aby

jego syn rujnował się dla mnie, że jestem co prawda piękna, ale nie powinnam korzystać ze swej piękności w ten sposób, by niszczyć przyszłość młodego człowieka przez narażanie go na takie wydatki, do jakich przywykłam.

Na to mogła być jedna tylko odpowiedź, nieprawda? Udowodnić, że odkąd jestem pańską kochanką, nie wyrzekłam się żadnej ofiary, aby pozostać panu wierną, nie wymagałam więcej pieniędzy, niż był pan w stanie dać. Pokazałam ojcu kwity lombardowe, pokwitowania ludzi, którym sprzedawałam rzeczy nie dające się zastawić, wyjawiałam swoją decyzję pozbycia się mebli, żeby móc zapłacić długi i zamieszkać razem z panem, nie będąc dlań zbyt wielkim ciężarem. Opowiedziałam mu, jak jesteśmy szczęśliwi, i to, że dzięki panu poznałam spokojniejsze, szczęśliwsze życie. W końcu musiał uznać słuszość moich słów i podał mi rękę, przeprasząc za sposób, w jaki zaprezentował się na początku.

Po czym powiedział:

— W takim razie, droga pani, niczego już pani nie wypominam ani nie grożę, lecz zwracając się do pani z prośbą spróbuję skłonić panią do ofiary większej niż te, które poniosła już pani dla mego syna.

Wobec takich słów — zadrżałam. Ojciec pana podszedł do mnie, ujął obie moje ręce i mówił dalej tonem pełnym czułości:

— Moje dziecko, proszę nie brać mi za złe tego, co powiem. Proszę tylko zrozumieć, że w pewnych chwilach życie narzuca sercu konieczności okrutne, którym trzeba się poddać. Jest pani dobra, zdolna do takiej szlachetności, o jakiej nie mają pojęcia kobiety, które panią gardzą, a nie są pani warte. Niechże pani sobie uprzytomni, że poza kochanką istnieje rodzina, poza miłością — obowiązki, że po wieku namiętności następuje wiek, w którym mężczyzna, aby być szanowany, musi mieć solidne, poważne stanowisko. Syn mój nie ma majątku, a jednak gotów jest oddać pani spadek po swej matce. Gdyby zgodził się na ofiarę, jaką chce pani ponieść, musiałby w zamian, w imię honoru i godności, uczynić pani ten dar, który mógłby zapewnić pani skromną egzystencję. Ale właśnie na ofiarę pani nie może się zgodzić, bo świat, który pani nie zna, dopatrzyłby się w tym czegoś nieuczciwego, co nie powinno splamić naszego nazwiska. Nikt by nie rozważał, czy Armand kocha panią, czy pani jego kocha, czy ta wzajemna miłość jest szczęściem dla niego i rehabilitacją dla pani. Widziano by tylko jedno: że Armand Duval zgodził się, aby dziewczyna lekkich obyczajów — wybaczy pani, że muszę to powiedzieć — sprzedała dla niego wszystko, co posiadała. Potem musiałby nadejść dzień żalów i wyrzutów zarówno dla was, jak i dla innych, i oboje znaleźlibyście się w kajdanach nie do rozerwania. I co wtedy? Młodość pani byłaby zmarnowana, przyszłość mego syna — zburzona. A ja, jego ojciec, zamiast mieć pociechę z dwojga dzieci, miałbym tylko z jednego.

Jest pani młoda, jest pani piękna, życie jakoś panią pocieszy. Jest pani szlachetna i wspomnienie dobrego uczynku okupi dla pani wiele rzeczy minionych. Od sześciu miesięcy, to znaczy od chwili, kiedy panią poznał, Armand zapomina o mnie. Napisałem doń cztery listy, a jemu nie przyszło nawet na myśl, aby odpowiedzieć na jeden z nich. Mógłbym umrzeć, a nic by o tym nie wiedział!

Jakkolwiek szczerą byłaby decyzja pani zerwania z dawnym życiem, Armand, kochając panią, nie zgodzi się na izolację, na którą musiałaby was skazać jego skromna pozycja majątkowa, nieodpowiednia dla pani. Kto wie, co wtedy by począł! Grał w karty, wiem o tym, i nic pani o tym nie mówił, o tym wiem również. Otóż, podniecony hazardem, mógłby w jakimś momencie przegrać część tego, co gromadzę od lat na posag dla córki, dla niego i na zabezpieczenie mojej starości. To, co mogłoby się stać, może się jeszcze wydarzyć.

A poza tym, czy jest pani pewna, że to życie, z którym gotowa jest pani zerwać, nie pociągnie pani

od no wa? Czy jest pani pewna, że nie pokocha pani kogo innego? I wreszcie, czy nie będzie pani przykro, jeśli z wiekiem w kochanku pani ambicja weźmie górę nad miłością i okaże się, że ambicja ta spętana jest więzami waszego stosunku, więzami, których nie potrafi już pani rozluźnić? Niech pani to wszystko rozważy. Kocha pani Armanda, niech mu pani to udowodni w jedyny sposób, jaki pani jeszcze pozostaje — poświęcając dla jego przyszłości swoją miłość. Nic złego jeszcze się nie stało, ale nieszczęście może przyjść, i to większe, niż przewiduję. Armand może stać się zazdrosny o człowieka, który kiedyś kochał panią, może go wyzwać, bić się i ponieść śmierć. Jakże będzie pani cierpiała wobec ojca, który zapyta panią: „Cóżś zrobiła z życiem mego syna?”

I wreszcie niechże się pani dowie, bo nie powiedziałem wszystkiego, co mnie sprowadza do Paryża. Mam córkę, jak już wspomniałem, młodą, piękną i czystą jak anioł. Ona również kocha i dla niej również miłość jest marzeniem całego życia. Pisałem o tym do Armanda, ale on, całkowicie zajęty panią, nie odpowiedział. Otóż córka moja wychodzi za mąż. Ma poślubić człowieka, którego kocha, i wejść do rodziny czcigodnej, która pragnie, aby i mojej rodzinie pod tym względem nic nie można było zarzucić. Rodzina mego przyszłego zięcia dowiedziała się, jak Armand żyje w Paryżu, i oświadczyła mi, że cofnie zgodę na małżeństwo, jeżeli Armand nie zmieni swego trybu życia. Przyszłość dziecka, które nie zrobiło pani nic złego, jest w pani rękach.

Czy ma pani prawo i czuje się pani na siłach niweczyć jej przyszłość? W imię miłości pani i skruchy, Małgorzato, proszę ocalić szczęście mojej córki.

Drogi przyjacielu, płakałam cicho, słuchając wywodów, które nieraz snułam sama, a które w ustach pańskiego ojca nabierały prawdziwej powagi. Mówiłam so bie to wszystko, czego ojciec nie śmiał mi powiedzieć, a co wiele razy cisnęło mi się na usta: że jestem przecież tylko dziewczyną lekkich obyczajów i że gdybym znalazła jakiegokolwiek usprawiedliwienie dla naszego związku, zawsze będzie się ono wydawało wyrachowaniem; że moje dawne życie nie daje mi żadnego prawa, by marzyć o podobnej przyszłości, i że biorę na siebie odpowiedzialność, której ani moje nawyki, ani moja reputacja nie mogą poprzeć żadną gwarancją. Poza tym, kochałam pana, Armandzie. Ojcowski ton, jakim przemawiał do mnie pan Duval, czyste uczucia, jakie we mnie budził, szacunek, jaki mi ofiarował ten dostojny starszy człowiek, szacunek pana, jaki z całą pewnością zyskałabym później — wszystko to wzniecało w moim sercu szlachetne myśli, które podnosiły mnie we własnych oczach i rozbudzały nie znane mi dotąd ambicje. Na myśl o tym, że ten starszy pan, który błaga mnie o litość w imię przyszłości syna, powie kiedyś swej córce, aby w modlitwach wymieniła także moje imię, jako imię tajemnicznej przyjaciółki — przeistaczałam się i byłam dumna z siebie.

Egzaltacja wyolbrzymiała może w owej chwili moje ówczesne przeżycia, ale tak czułam, drogi przyjacielu. Nowe uczucia zagłuszały we mnie pamięć o naszym wspólnie przeżytym szczęściu.

Ocierając łzy powiedziałam do pańskiego ojca:

— A więc dobrze, proszę pana. Czy wierzy pan, że kocham pańskiego syna?

— Tak — odrzekł pan Duval.

— Ze kocham miłością bezinteresowną?

— Tak.

— Czy wierzy pan, że ta miłość jest marzeniem mojego życia, jego nadzieją i szansą oczyszczenia?

— Oczywiście.

— No, to niech mnie pan raz tylko pocałuje tak, jak pan całuje swą córkę, a przysięgam panu, że ten jedyny czysty pocałunek uzbroi mnie przeciw mojej miłości i że nim upłynie tydzień, syn powróci do pana i będzie może nieszczęśliwy przez jakiś czas, ale uleczony na zawsze.

— Jest pani szlachetną kobietą — odpowiedział ojciec całując mnie w czoło. — Bóg panią

wynagrodzi za to, co pani czyni. Boję się jednak, że nic pani nie wskóra u mego syna.

— O, niech pan będzie spokojny, znieńwidzi mnie! Napisałam do Prudencji, że godzę się na propozycje hrabiego N. i że ma go zawiadomić, iż pójdę na kolację z nim i z nią.

Zapieczętowałam list i nic nie mówiąc o jego treści poprosiłam pańskiego ojca, aby go przekazał zaraz po przybyciu do Paryża.

Ojciec zapytał mnie jednak, co list zawiera.

— Szczęście pańskiego syna — odpowiedziałam.

Ojciec pana pocałował mnie po raz drugi i ostatni. Poczułam na czole dwie łzy wdzięczności, które były jakby odpuszczeniem moich dawnych grzechów, i w chwili kiedy właśnie zgodziłam się oddać innemu mężczyźnie, promieniałam dumą na myśl o tym, co okupuję tym nowym grzechem.

To było naturalne, Armandzie. Czyż nie powiedział mi pan, że ojciec jego jest jednym z najuczciwszych ludzi, jakich można spotkać w życiu?

Pan Duval wsiadł do powozu i odjechał.

Jednakże jestem kobietą. Kiedy zobaczyłam pana, nie mogłam powstrzymać się od płaczu, ale nie załamalam się.

Czy dobrze zrobiłam? Oto pytanie, jakie zadaję sobie dzisiaj, kiedy, chora, kładę się do łóżka, z którego już chyba nie wstanę.

Był pan świadkiem tego, co przeżywałam, w miarę jak zbliżała się godzina naszego rozstania. Nie było już przy mnie pańskiego ojca, który by mnie podtrzymał na duchu, i to pewnej chwili byłam bliska tego, by wyznać panu wszystko, tak bardzo przerażała mnie myśl, że ściągam na siebie pańską nienawiść i pogardę.

Nie uwierzy pan chyba, Armandzie, ale prosiłam Boga o dodanie mi siły, a dowodem, że przyzwolił na moje poświęcenie, jest to, że dał mi siły, o które błagałam.

Potrzebę pomocy odczułam jeszcze przy kolacji, bo nie chciałam wiedzieć, co za chwilę zrobię, tak bardzo bałam się, że zabraknie mi odwagi! Któż by to powiedział, że ja, Małgorzata Gautier, tak straszliwie cierpieć będę na samą myśl o jakimś nowym kochanku?

Piłam, aby zapomnieć, i nazajutrz rano obudziłam się w łóżku hrabiego.

Oto cała prawda, przyjacielu. Proszę mnie osądzić i wybaczyć, tak jak ja wybaczyłam panu wszystkie krzywdy, jakie mi pan wyrządził od owego dnia.

Co nastąpiło po tej fatalnej nocy, wie pan równie dobrze jak ja, ale nie wie pan i nawet nie podejrzewa, ile wycierpiałam od chwili naszego rozstania.

Dowiedziałam się, że ojciec zabrał pana z sobą, ale byłam prawie pewna, że nie wytrzyma pan długo z dala ode mnie, i tego dnia, kiedy spotkałam pana na Polach Elizejskich, byłam wprawdzie wzruszona, ale nie zdziwiona.

Zaczęły się dni, z których każdy przynosił mi nową zniewagę ze strony pana, zniewagę, którą znosiłam prawie z radością, bo była dowodem, że kocha mnie pan jeszcze. Poza tym sądziłam, że im więcej będzie mnie pan prześladował, tym bardziej urosnę w oczach pana wtedy, gdy dowie się pan prawdy.

Niech pana nie dziwi, Armandzie, ta ofiara przynosząca mi radość — miłość pana wyrobiła we mnie zdolność do wzniosłych uczuć.

Jednakże nie od razu stałam się tak silna.

Między decyzją poniesienia dla pana ofiary a pańskim powrotem upłynął dość długi czas, kiedy musiałam uciekać się do różnych środków, aby nie oszaleć. Musiałam być ciągle w stanie odurzenia, by nie odczuć zbyt boleśnie powrotu do dawnego życia. Prudencja mówiła panu chyba, że nie omijałam żadnej zabawy, żadnego balu, żadnej orgii.

Miałam jak gdyby nadzieję, że te ekscesy dobiją mnie szybciej, i sądzę, że ta nadzieja wkrótce się spełni. Mój stan pogarszał się coraz bardziej i tego dnia, kiedy wysłałam do pana panią Duvernoy z prośbą o łaskę, byłam już wyczerpana fizycznie i duchowo.

Nie będę panu przypominać, Armandzie, jak się pan odwdzięczył za ostatni dowód miłości i jak brutalnie wypędził pan z Paryża kobietę, która, bliska śmierci, nie mogła się panu oprzeć, kiedy zażądał pan jeszcze jednej nocy miłosnej, która uwierzyła niemądrze, że można od nowa skleić przeszłość z przyszłością. Miał pan prawo zrobić to, co pan zrobił, Armandzie: nie zawsze płacono mi za noc tak drogo!

Rzuciłam więc wszystko! Olimpia zastąpiła mnie przy boku pana N. i, jak mi mówiono, podjęła się wyjaśnienia mu przyczyny mego odejścia. Hrabia G. był w Londynie. Jest to jeden z tych ludzi, którzy przywiązując do stosunków miłosnych z kobietami swojego pokroju akurat tyle uwagi, aby były one przyjemnym spędzeniem czasu, pozostają jednak przyjaciółmi tych kobiet i nie czują nienawiści, tak jak nigdy nie czuli zazdrości. Jest to wreszcie jeden z tych wielkich panów, którzy otwierają przed nami tylko połowę serca, ale za to obie połowy swej sakiewki. Wówczas od razu pomyślałam o nim. Pojechałam za nim do Londynu. Przyjął mnie nadzwyczajnie, ale był wtedy kochankiem kobiety z towarzystwa i z obawy przed kompromitacją nie chciał afiszować się ze mną. Przedstawił mnie swoim znajomym, którzy zaprosili mnie na kolację, po czym jeden z nich zabrał mnie do siebie.

Cóż miałam robić, przyjacielu? Zabić się? Tym samym obarczyłabym pana niepotrzebnym wyrzutem, a powinien pan być szczęśliwy. Zresztą, po co się zabijać, skoro się jest tak bliską śmierci?

Stałam się ciałem bez duszy, przedmiotem bez świadomości. Przez jakiś czas żyłam jak automat, potem wróciłam do Paryża i pytałam o pana. Dowiedziałam się, że wyjechał pan w długą podróż. Nic już nie mogło podtrzymać mnie na duchu. Egzystencja moja stała się znowu taka sama, jak dwa lata przed naszym poznaniem. Próbowałam odzyskać księcia, ale zbyt boleśnie zraniłam tego człowieka, a starzy ludzie nie są cierpliwi zapewne dlatego, że zdają sobie sprawę, iż nie będą żyli

wiecznie. Z dnia na dzień choroba zżerała mnie coraz bardziej, byłam blada, smutna, coraz chudsza. Mężczyźni kupujący miłość badają towar, zanim go wezmą. W Paryżu były kobiety zdrowsze ode mnie. Zapomniano o mnie. Taka była moja przeszłość do niedawna.

Teraz jestem bardzo chora. Napisałam do księcia list, w którym proszę go o pieniądze, bo nie mam już nic, a wierzyciele wracają i podsuwają mi nieubłagane swoje rachunki. Czy książę mi odpowie? Czemu nie ma pana w Paryżu, Armandzie! Odwiedzałby mnie pan, a te wizyty byłyby dla mnie pocieszeniem.

20 grudnia Pogoda jest okropna, pada śnieg, jestem w domu sama. Przez trzy dni miałam taką gorączkę, że nie mogłam napisać do pana ani słowa. Nic nowego, drogi przyjacielu. Co dzień wypatruję listu od pana, ale nie nadchodzi i chyba nie nadejdzie nigdy. Tylko mężczyźni nie umieją wybaczać. Książę mi nie odpowiedział.

Prudencja zaczęła znowu chodzić do lombardu.

Bez ustanku pluję krwią. Och, przeraziłabym pana, gdyby mnie pan zobaczył. Jest pan szczęśliwy, że może przebywać gdzieś pod ciepłym niebem i nie czuć na piersi, jak ja, ucisku lodowatej zimy. Dzisiaj wstałam na kilka chwil i spoza firanek patrzyłam na życie Paryża, z którym, zdaje się, zerwałam ostatecznie. W przelocie mignęło mi parę znajomych twarzy, wesołych i beztroskich. Żadna nie podniosła oczu ku moim oknom. A przecież kilku młodych ludzi złożyło u mnie swe karty wizytowe. Dawniej, kiedy byłam chora, pan, który mnie nie znał, który nie usłyszał ode mnie nic prócz impertynencji tego dnia, gdy go zobaczyłam po raz pierwszy, pan przychodził co rano, aby się dowiedzieć o moje zdrowie. I oto znowu jestem chora. Spędziliśmy razem sześć miesięcy. Kochałam pana tak, jak tylko serce kobiety może kochać, a pan jest daleko i przeklina mnie, i nie otrzymuję od pana ani słowa pocieszenia. Ale jestem pewna, że tylko przypadek jest sprawcą mojego opuszczenia, bo gdyby pan był w Paryżu, nie opuszczałby pan mego pokoju i mego węgłowia.

25 grudnia

Lekarz zabrania mi pisać co dzień. Rzeczywiście, wspomnienia potęgują tylko moją gorączkę. Ale wczoraj otrzymałam list, który sprawił mi ulgę, i to bardziej dzięki uczuciom, jakich jest wyrazem, niż pomocy materialnej, którą zapowiada. Mogę więc dzisiaj napisać panu — list ten pochodzi od pańskiego ojca i oto co zawiera:

„Pani!

Dowiadują się właśnie, że jest pani chora. Gdybym był w Paryżu, odwiedziłbym panią. Gdyby był przy mnie mój syn, poleciłbym mu zrobić to samo, ale nie mogę opuścić C, Armand zaś jest daleko stąd, o sześćset czy siedemset mil. Niech mi więc wolno będzie napisać po prostu, jak bardzo martwi mnie choroba pani i niech pani uwierzy w szczerą moich życzeń szybkiego powrotu do zdrowia.

Zgłosi się do pani jeden z moich przyjaciół, pan H., zechce go pani przyjąć. Powierzyłem mu sprawę, której wyników oczekują z niecierpliwością.

Zechce pani przyjąć wyrazy moich najszczerzych uczuć.”

Taki otrzymałam list. Ojciec pana ma szlachetne serce, kochaj go, mój przyjacielu, bo mało jest na świecie ludzi tak godnych tego, by ich kochano. Kartka podpisana jego nazwiskiem zrobiła mi więcej dobrego niż wszystkie recepty naszego wielkiego lekarza.

Pan H. przyszedł dzisiaj rano. Wydawał się bardzo zakłopotany delikatną misją, jaką obarczył go pan Duval. Przyszedł po prostu po to, aby mi wręczyć tysiąc talarów w imieniu pańskiego ojca. Z początku nie chciałam przyjąć tych pieniędzy, ale pan H. powiedział, że odmowa obraziłaby pana Duval, który polecił mi przede wszystkim dać mi tę sumę, a ponadto dostarczyć mi wszystko, czego

bym jeszcze potrzebowała. Przyjęłam tę pomoc, która ze strony pańskiego ojca nie może być jałmużną. Jeżeli po powrocie pana nie będę już żyła, proszę pokazać ojcu to, co tu napisałam, i proszę mu powiedzieć, że kreśląc te słowa biedna dziewczyna, do której raczył napisać list pełen pocieszenia, płakała z wdzięczności i modliła się za niego do Boga.

4 stycznia

Przeżyłam szereg ciężkich dni. Nie wiedziałam, że cierpienia ciała mogą być aż tak wielkie. Och, moja przeszłość. Dzisiaj płacę za nią podwójnie.

Czuwano przy mnie przez wszystkie te noce. Nie mogłam już oddychać. Gorączka i kaszel podzieliły między siebie resztki mojej nędznej egzystencji.

W jadalni pełno cukierków, wszelkiego rodzaju prezentów przesłanych przez przyjaciół. Są wśród nich prawdopodobnie mężczyźni, którzy mają nadzieję, że później stanę się ich kochanką. Gdyby widzieli, co ze mnie zrobiła choroba, uciekliby przerażeni.

Prudencja rozdaje moje prezenty jako podarki noworoczne.

Znosi się na mróz i doktor powiedział mi, że za parę dni będę mogła wyjść, jeżeli ładna pogoda się utrzyma.

8 stycznia

Wyjechałam na miasto powozem. Pogoda była wspaniała. Na Polach Elizejskich — pełno. Można by powiedzieć — pierwszy uśmiech wiosny. Wszystko dookoła mnie miało wygląd świąteczny. Nigdy nie podejrzewałam, że promień słoneczny może przynieść tyle radości, słodyczy i pocieszenia.

Spotkałam prawie wszystkich znajomych, którzy byli, jak zwykle, weseli, pochłonięci swoimi przyjemnościami. Iluż to ludzi szczęśliwych nie wie, że są szczęśliwi! Olimpia przejechała w eleganckim powozie, który podarował jej pan N. Próbowала ubliżyć mi wzrokiem. Ona nie wie, jak bardzo daleka już jestem od tych próżnostek. Pewien poczciwy chłopiec, którego znam od dawna, zapytał mnie, czy nie chciałabym pójść na kolację z nim i jednym z jego przyjaciół, który, jak mówił, bardzo pragnie mnie poznać. Ze smutnym uśmiechem podałam mu rozpaloną od gorączki rękę. Nigdy nie widziałam na twarzy większego zdumienia.

Wróciłam do domu o czwartej, zjadłam obiad z dość dużym apetytem. Ta przejażdżka dobrze mi zrobiła.

Czyżbym miała wyzdrowieć!

Jakże widok życia i szczęścia innych ludzi budzi pragnienie życia w tych, co wczoraj jeszcze w samotności ducha i w mroku swego pokoju chcieli umrzeć jak najprędzej!

10 stycznia

Nadzieja wyzdrowienia była mrzonką. Znowu leżę w łóżku, z kompresami, które mnie pieką. Idź, zaproponuj to ciało, za które dawniej płacono tak drogo, i przekonaj się, co ci dadzą dzisiaj!

Przed urodzeniem popelniliśmy chyba zbyt wiele złego i życie nasze Bóg wypełnił torturami i pokutą po to, aby po śmierci czekała nas wielka radość.

12 stycznia

Wciąż jestem chora.

Hrabia N. przysłał mi wczoraj pieniądze, nie przyjąłam ich. Nie chcę nic zawdzięczać temu człowiekowi. To za jego sprawą nie jest pan dzisiaj przy mnie,

Och, piękne dni w Bougival! Gdzież jesteście?

Jeśli wyjdę żywa z tego pokoju, to przede wszystkim odbędę pielgrzymkę do wiejskiego domu, gdzieśmy mieszkali razem. Ale nie wyjdę stąd żywa.

Kto wie, czy jutro będę jeszcze mogła pisać?

25 stycznia

Oto mija jedenasta noc, jak nie śpię, duszę się w każdej chwili myślę, że umieram. Lekarz zostawił polecenie, aby nie pozwolono mi dotknąć pióra. Julia Duprat, która czuwa przy mnie, pozwala mi jeszcze napisać kilka wierszy. Więc nie wróci pan, zanim umrę? Wszystko więc między nami skończone na wieki? Zdaje mi się, że gdyby pan przyszedł, wróciłabym do zdrowia. Ale po co wracać do zdrowia?

28 stycznia

Dziś rano obudził mnie wielki hałas. Julia, która spała w moim pokoju, wbiegła do jadalni. Usłyszałam męskie głosy, z którymi na próżno walczył głos Julii. Wróciła z płaczem.

Przyszli zrobić zajęcie. Powiedziałam jej, żeby pozwoliła im wykonać to, co nazywają sprawiedliwością. Do mego pokoju wszedł komornik w kapeluszu na głowie. Pootwierał szuflady, zajął wszystko, co mu się rzuciło w oczy, i zdawało się, iż nie zauważa, że kobieta umiera w łóżku, które na szczęście zostawia jej jeszcze miłosierne prawo.

Raczył mi powiedzieć, że na odchodnym, że mogę założyć sprzeciw w ciągu dziewięciu dni, ale zostawił strażnika. Co ze mną będzie, mój Boże! Ta scena pogorszyła jeszcze mój stan. Prudencja chciała się zwrócić o pieniądze do przyjaciela pańskiego ojca, ale sprzeciwiłam się temu.

List pana otrzymałam dziś rano. Był mi bardzo potrzebny. Czy moją odpowiedź otrzyma pan w porę? Czy zobaczymy się jeszcze? Oto szczęśliwy dzień, który pozwala mi zapomnieć o minionych sześciu tygodniach. Mam wrażenie, że czuję się lepiej mimo uczucia smutku, jakie towarzyszyło mojej odpowiedzi.

Ostatecznie, nie można być ciągle nieszczęśliwą.

Kiedy pomyślę, że może jednak nie umrę, że pan powróci, że znowu ujrzę wiosnę, że pan mnie jeszcze kocha i że rozpoczniemy od nowa nasze życie sprzed minionego roku!...

Jakaż jestem szalona! Ledwo trzymam w ręku pióro, którym zapisuję nedorzeczne marzenia mego serca.

Cokolwiek się stanie, kochałam pana, Armandzie, i byłabym już dawno umarła, gdyby nie podtrzymywało mnie wspomnienie tej miłości i mglista nadzieja, że ujrzę jeszcze pana koło siebie.

4 lutego

Wrócił hrabia G. Jego kochanka zdradziła go. Jest bardzo smutny, kochał ją bardzo. Przyszedł, aby mi to wszystko opowiedzieć. Biedny chłopiec ma dość zagmatwane sprawy, co jednak nie przeszkodziło mu zapłacić mojemu komornikowi i odprawić strażnika.

Wspomniałam mu o panu. Przyrzekł pomówić z panem o mnie. Podczas rozmowy zupełnie zapomniałam, że byłam jego kochanką, a i on sam wszelkimi siłami starał się nie przypominać mi tego! To szlachetne serce.

Wczoraj książe dowiadywał się o moje zdrowie, a dziś rano złożył mi wizytę. Nie wiem, co jeszcze utrzymuje przy życiu tego starca. Siedział u mnie trzy godziny, a nie powiedział dwudziestu słów. Kiedy ujrzał moją bladą twarz, dwie duże łzy stoczyły mu się po policzkach. Łzy wywołane chyba wspomnieniem śmierci jego córki. Patrząc na mnie widzi ją umierającą po raz drugi. Jest zgarbiony, głowa chyli się ku ziemi, wargi ma obwisłe, wzrok — zgaszony. Wiek i strapienia obciążają podwójnym brzemieniem jego wycieńczone ciało. Nie zrobił mi ani jednego wyrzutu. Można by powiedzieć, że w skrytości ducha cieszył się, iż trzyma się na nogach, podczas gdy ja, jeszcze młoda, leżę złamana cierpieniem.

Znowu jest brzydka pogoda. Nikt mnie nie odwiedza. Julia pielęgnuje mnie i zostaje tak długo, jak tylko może. Prudencja, której nie daję już tyle pieniędzy co dawnej, zaczyna się wymawiać różnymi sprawami, aby jak najrzadziej bywać u mnie.

Teraz, kiedy jestem bliska śmierci, mimo to co mówią lekarze, bo mam ich kilku — dowód, że mój

stan się pogarsza — żałuję prawie, że posłuchałam pańskiego ojca. Gdybym mogła z przyszłości pana wyrwać jeszcze jeden tylko rok, nie oparłabym się chęci spędzenia tego roku z panem i umarłabym trzymając rękę przyjaciela w mojej ręce. Co prawda, gdybyśmy przeżyli ten rok razem, nie umarłabym tak prędko.

Niech się dzieje wola Boga!

5 lutego

Och, przyjdź, Armandzie, przyjdź, cierpię straszliwie, mój Boże, umieram! Byłam wczoraj tak smutna, że zapragnęłam spędzić wieczór poza domem, aby nie dłużył się tak jak wczorajszy. Rano był u mnie książe. Zdaje mi się ciągle, że obraz tego starca, zapomnianego przez śmierć, przyśpiesza mój koniec.

Mimo że miałam wysoką gorączkę, kazałam się ubrać i zawieźć do Wodewilu. Julia uszmiłkowała mnie, bo inaczej wyglądałabym jak trup. Zajęłam tę samą lożę, w której umówiłam się z panem po raz pierwszy. Przez cały czas miałam wzrok utkwiony w to miejsce, które pan wówczas zajmował, a które wczoraj zajmował jakiś prostak. Osobnik ten śmiał się hałaśliwie ze wszystkich bzdur, jakimi sypali aktorzy. Zawieziono mnie do domu na wpół martwą. Kaszlałam i plułam krwią przez całą noc. Dzisiaj nie mogę już mówić, z trudem poruszam rękoma. Mój Boże, umieram! Oczekiwałam tego, ale nie wierzę, by można było cierpieć więcej, niż cierpię, i jeśli...

Od tego słowa począwszy litery, jakie Małgorzata usi łowała jeszcze nakreślić, były nieczytelne i dalszy ciąg pisała już Julia Duprat.

28 lutego

Panie Armandzie,

od dnia kiedy Małgorzata zapragnęła pójść do teatru, była coraz bardziej chora. Straciła zupełnie głos, a potem zdolność poruszania rękami i nogami. Jak bardzo cierpi nasza biedna przyjaciółka, nie da się opisać. Nie przywykłam do tego rodzaju wzruszeń i żyję w ustawicznym strachu.

Jakżebym chciała, aby pan się znalazł koło nas! Małgorzata jest prawie stale w malignie, ale w malignie czy na jawie zawsze wymienia imię pana, o ile może wymówić choćby jedno słowo.

Lekarz powiedział mi, że ona długo nie pociągnie. Odkąd jest tak chora, książe przestał ją odwiedzać. Powiedział lekarzowi, że ten widok źle na niego działa.

Pani Duvernoy nie zachowuje się jak należy. Ta kobieta, sądząc, że uda jej się wyciągnąć trochę pieniędzy od Małgorzaty, na której koszt żyła prawie całkowicie, podjęła jakieś zobowiązania i nie może ich dotrzymać. Widząc, że jej sąsiadka na nic już jej się nie przyda, przestała nawet do niej zaglądać. Wszyscy ją opuszczają. Pan G., osaczony przez długi, musiał ponownie wyjechać do Londynu. Wyjeżdżając przysłał nam trochę pieniędzy. Uczynił wszystko, co mógł, mimo to znowu zrobiono zajęcie. Wierzyście czekają już tylko na śmierć Małgorzaty, aby móc urządzić licytację.

Chciałam zużytkować moje ostatnie zasoby, aby położyć kres zajęciom, ale komornik powiedział mi, że to byłoby bezcelowe, bo ma jeszcze inne egzekucje do wykonania. Skoro i tak ma umrzeć, lepiej machnąć na wszystko ręką niż ratować cokolwiek dla rodziny, której nie chciała nigdy widzieć i która jej nie lubiła. Nie może pan sobie wyobrazić, w jakiej „pozłacanej” nędzy umiera biedna Małgorzata. Wczoraj nie miałyśmy ani grosza. Srebra, klejnoty, kaszmiry, wszystko jest zastawione, reszta sprzedana albo zajęta. Małgorzata ma jeszcze świadomość tego, co się wokół niej dzieje, i cierpi ciałem, sercem i duchem. Łzy toczą się po jej policzkach zapadłych i bladych. Gdyby pan mógł ją zobaczyć, nie poznałby pan twarzy, którą pan tak kochał. Wymusiła na mnie obietnicę, że będę do pana pisała, kiedy ona już nie będzie mogła, i teraz piszę w jej obecności. Spogląda ku mnie, ale mnie nie widzi, jej oczy są już zasnuwane bielmem śmierci. A przecież uśmiecha się, jestem pewna, że cała jej dusza jest pochłonięta myślą o panu.

Ilekroć ktoś otwiera drzwi, oczy jej rozświetlają się — ona wciąż wierzy, że pan wejdzie lada chwila. A potem, widząc, że to nie pan, jej twarz przybiera znowu męczeński wyraz, pokrywa się zimnym potem, a policzki stają się purpurowe.

19 lutego, północ

Jakże smutny był dzisiejszy dzień, mój biedny panie Armandzie! Dziś rano Małgorzata miała duszność, lekarz puścił jej krew i na chwilę odzyskała głos. Doktor poradził jej wezwać księdza. Powiedziała, że się zgodzi, i lekarz sam poszedł po księdza do Świętego Rocha.

Tymczasem Małgorzata przywołała mnie do swego łóżka, poprosiła, abym otworzyła szafę, wskazała mi czepek i długą koszulę przybraną w koronki, i powiedziała gasnącym głosem:

— Zaraz po spowiedzi umrę, wtedy ubierzesz mnie w to wszystko.

Pocałowała mnie płacząc i dodała:

— Mogę jeszcze mówić, ale kiedy mówię, duszę się. Duszę się! Powietrza!

Rozplakałam się, otworzyłam okno i wkrótce potem wszedł ksiądz.

Poszłam mu na spotkanie. Kiedy się dowiedział, u kogo się znajduje, okazał jakby lęk, że zostanie źle przyjęty. Powiedziałam mu:

— Proszę wejść śmiało, księżę dobrodzieju. Posiedział krótko w pokoju chorej i wyszedł mówiąc:

— Żyła jak grzesznica, ale umrze jak chrześcijanka. Wrócił po kilku chwilach w towarzystwie ministranta niosącego krucyfiks oraz zakrystiana, który szedł przed nimi dzwoniąc na znak, że Bóg przybywa do umierającej.

Wszyscy trzej weszli do sypialni, która niegdyś rozbrzmiewała tylu dziwnymi słowami, a w tej chwili była już tylko świętym przybytkiem.

Padłam na kolana. Nie wiem, jak długo będę pamiętała to, co widziałam. Nie sądzę, aby do chwili, kiedy sama znajdę się w podobnym stanie, cokolwiek mogło zrobić na mnie takie wrażenie.

Ksiądz namaścił olejami świętymi stopy, ręce i czoło umierającej, odmówił krótką modlitwę i Małgorzata była gotowa pójść do nieba, dokąd dostanie się na pewno, jeśli Bóg widział, jakie próby przechodziła w życiu i jak święta była jej śmierć.

Od owej chwili nie powiedziała już ani słowa i nie zrobiła ani jednego ruchu. Wiele razy mogłabym ją uważać za umarłą, gdyby nie to, że słyszałam jej ciężki oddech.

20 lutego, piąta wieczór

Wszystko skończone.

Tej nocy, około drugiej, zaczęła się agonia Małgorzaty. Nigdy żadna męczennica nie znosiła podobnych cierpień, jak można sądzić po krzykach, jakie wydawała.

Dwa albo trzy razy wyprężała się na łóżku, jak gdyby chciała przytrzymać życie ulatujące do Boga.

Dwa albo trzy razy również wypowiadała imię pana, potem zamilkła i wyczerpana opadła na łóżko. Ciche łzy potoczyły jej się z oczu, i umarła.

Podeszłam do niej, zawołałam ją, a ponieważ nie odpowiadała, zamknęłam jej oczy i pocałowałam w czoło.

Biedna, kochana Małgorzato, chciałabym być świętą, aby ten pocałunek mógł cię polecić Bogu.

Ubrałam ją tak, jak sobie tego życzyła, poszłam po księdza do Świętego Rocha, zapaliłam dwie świece i przez godzinę modliłam się w kościele.

Rozdałam żebrakom trochę jej pieniędzy.

Nie znam się na sprawach religii, ale myślę, że Pan Bóg uzna moje łzy za prawdziwe, modlitwę za żarliwą, jałmużnę za szczerą i że ulituje się chyba nad Małgorzatą, która, tak młoda i piękna, umarła mając w ostatnich chwilach jedynie mnie przy sobie.

22 lutego

Dzisiaj odbył się pogrzeb. Wielu znajomych i przyjaciół Małgorzaty przyszło do kościoła. Niektórzy szczerze płakali. Kiedy kondukt wyruszył na Montmartre, poszło za nim dwóch tylko mężczyzn: hrabia G., który specjalnie przyjechał z Londynu, i księżę, podtrzymywany przez dwóch lokajów.

Piszę do pana w jej pokoju, zapłakana, przy smutno płonącej lampie. Przedemną, na stole, stoi obiad, którego oczywiście nie tknę. Przygotowała mi go Nanine, wiedząc, że nie jadłam od przeszło dwudziestu czterech godzin.

Moje życie nie pozwoli mi zachować na czas dłuższy tych smutnych wrażeń, bo moje życie nie należy do mnie bardziej, niż życie Małgorzaty należało do niej. Oto dlaczego opisuję te sprawy tam właśnie, gdzie się rozegrały, bo jeśli między nimi a powrotem pana upłynie długi czas, obawiam się, że nie będę mogła opisać ich z całą dokładnością.

— Przeczytał pan? — zapytał mnie Armand, kiedy doczytałem rękopis do końca.

— Rozumiem, drogi przyjacielu, ile pan musiał wycierpieć, jeśli to wszystko, co przeczytałem, jest prawdą.

— Ojciec mój potwierdził mi to w liście. Rozmawialiśmy jeszcze przez jakiś czas o smutnym losie, jaki się dokonał, i wróciłem do domu, aby trochę odpocząć.

Armand, ciągle jeszcze smutny, ale jak gdyby już trochę uspokojony przez opowiedzenie mi tej historii, szybko wyzdrowiał i razem wybraliśmy się z wizytą do Prudencji i Julii Duprat.

Prudencja straciła wszystko. Oświadczyła nam, że przyczyniła się do tego Małgorzata, której w czasie choroby dała dużo pieniędzy, że te pieniądze sama pożyczyła od kogoś na weksle, których nie mogła spłacić, gdyż Małgorzata umarła nie zwróciwszy jej długu i nie zostawiwszy jej pokwitowań, które pozwoliłyby jej wystąpić w charakterze wierzycielki.

Za pomocą tej bajeczki, którą pani Duvernoy opowiadała wszędzie, aby usprawiedliwić swoje bankructwo, wyłudziła od Armanda tysiąc franków. Armand, choć nie wierzył jej, udał jednak, że wierzy, tak bardzo szanował wszystko, co kiedykolwiek miało jakiś związek z Małgorzatą.

Potem odwiedziliśmy Julię Duprat. Smutne wydarzenia, których była świadkiem, opowiedziała nam płacząc. Łzy te, wywołane wspomnieniem przyjaciółki, były szczere.

Wreszcie poszliśmy na grób Małgorzaty, na którym w promieniach kwietniowego słońca zieleniły się już pierwsze liście.

Ostatni obowiązek, jaki pozostawał Armandowi do spełnienia, to było spotkanie z ojcem. I tym razem wyraził życzenie, abym mu towarzyszył.

Przybyliśmy do C. Pan Duval okazał się taki właśnie, jakim go sobie wyobrażałem na podstawie opowieści syna: wysoki, dostoyny, życzliwy. Powitał Armanda ze łzami w oczach, a mnie serdecznie uścisnął dłoń. Spostrzegłem rychło, że sentyment ojcowski górował nad wszystkimi innymi uczuciami.

Córka jego, Blanche, miała oczy o jasnym wejrzeniu, usta tchnące pogodą, świadcząca, że w duszy Blanche rodzą się tylko świątobliwe myśli i że jej wargi wymawiają jedynie zbożne słowa. Powrót brata powitała uśmiechem, który mówił mi, iż cnotliwe dziewczę nic nie wiedziało o tym, że pewna kurtyzana poświęciła dla niej swoje szczęście.

Spędziłem jakiś czas w szczęśliwej rodzinie, całkowicie oddany temu, który jej zawierzył uzdrowienie swego serca.

Powróciłem do Paryża, gdzie napisałem tę historię tak, jak mi ją opowiedziano. Ma ona jedną tylko zaletę, która może będzie kwestionowana: mianowicie tę, że jest prawdziwa.

Nie wyciągam z tej opowieści wniosku, iż wszystkie dziewczęta w rodzaju Małgorzaty zdolne są do tego, do czego ona okazała się zdolna. Daleki od tej myśli, sądzę tylko, że udało mi się poznać jedną spośród nich, taką, która zaznała w życiu miłości prawdziwej, która cierpiała i na skutek tego umarła. Opowiedziałem czytelnikowi to, czego się po prostu dowiedziałem. Był to mój obowiązek.

Powtarzam: historia Małgorzaty jest wyjątkiem. Gdyby była czymś zwykłym i pospolitym, nie warto byłoby jej napisać.